NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



PRAWDZIWA HISTORIA FUNDAMENTEM POLSKOŚCI

Polska narracja historyczna musi zacząć się od polskiej nauki i polskiej szkoły

cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #183 09/2021

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI FOTADOBE STOCK (2)

ISSN 1895-4960
9 771895 496100 09

eprasa.pl 32b92d6aea

TEMAT NUMERU ▼ 4–10



Polska narracja historyczna musi zacząć się od polskiej nauki... / 4

IDEE ▼ 12–31



Rewolucja już trwa. Uniwersytety są jej rozsadnikiem / 12

HISTORIA ▼ 32–53



Najlepszy pływak II RP. Metą był Katyń, a nie Monte Carlo / 32

KULTURA ▼ 58–64



„Rojst": ciemne bagno, ciemne miasto / 58

ŚWIAT ▼ 66–97



Afganistan – odrodzone imperium terroryzmu? / 66

Spis treści

TEMAT NUMERU

Z prof. Grzegorzem Kucharczykiem rozmawia Maciej Kożuszek
Polska narracja historyczna musi zacząć się od polskiej nauki i polskiej szkoły /4

Ryszard Czarnecki
Polska w krzywym zwierciadle, czyli w obcych podręcznikach... /10

IDEE

Z prof. Ryszardem Legutką rozmawia Grzegorz Wszołek
Rewolucja już trwa. Uniwersytety są jej rozsadnikiem /12

Małgorzata Matuszak
Pułapki szkolnego lockdownu /17

Jakub Augustyn Maciejewski
Wielki Toynbee i jego „Studium historii" /20

Ewa Polak-Pałkiewicz
Skandal z klapsem /26

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Najlepszy pływak II RP. Metą był Katyń, a nie Monte Carlo /32

Dariusz Jarosiński
Bo był nazbyt patriotyczny /38

Agnieszka Kowalczyk
Nienasycona świata, klęską porażona /44

Józef Mackiewicz
Filosemityzm na rojstach /50

Mieczysław Grydzewski
Jak polski rząd nie pozwolił zamilczeć Katynia /52

Mieczysław Grydzewski
Patiomkinowski numer „Litieraturnoj Gaziety" /53

KULTURA

Krzysztof Karnkowski
„Rojst": ciemne bagno, ciemne miasto /58

Sylwia Krasnodębska
Teresa Żylis-Gara – artystka, która nie umiera /62

ŚWIAT

Piotr Grochmalski
Afganistan – odrodzone imperium terroryzmu? /66

Antoni Rybczyński
Igranie z ogniem. Taliban przechytrzy Moskwę? /74

Z Lailą Noor rozmawia Olga Doleśniak-Harczuk
Zostawili nas w opałach, to niech teraz negocjują /78

Hanna Shen
Kulisy chińskiej fabryki medali /80

Stefan Czerniecki
Wózek, niedźwiedź i wielki kamień /84

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /94

oprac. Antoni Rybczyński
Mińsk balansuje na krawędzi niebezpiecznej eskalacji /96

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Rosyjska piąta kolumna
NA POCZĄTEK 3



Małgorzata Matuszak
Czym jest... szkoła
KATECHIZM INTELIGENTA 11



Krzysztof Wołodźko
Ocalony. Tom Waits i Ameryka
DZIENNIK LEKTUR 54



Marek Kalinowski
Na powstańczej fotografii
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 64



Ryszard Czarnecki
Polskie dramaty olimpijskie
CZARNECKO TO WIDZĘ 65



Olga Doleśniak-Harczuk
Pamięci profesora Hohendorfa
Z GLOBALNEGO TYGLA 92



Marcin Wolski
Rozkosze wiedzy
PAPKULTURA 98



Tomasz Sakiewicz
Kiedy zaczyna się zdrada
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 32b92d6aea



Katarzyna Gójska

Rosyjska piąta kolumna

To prawdziwa siła Putina i jego Łukaszenki. Nie siedzący w namiotach Irakijczycy czy Somalijczycy, lecz ludzie z polskim obywatelstwem, manipulujący współrodaków chwytami rosyjskiej propagandy, i politycy gotowi zdeptać interes swojego państwa, walcząc jak lwy o sukces moskiewskiego planu wobec naszej części Europy.

Wielu komentatorów szczerze zatroskanych przyszłością Rzeczypospolitej zastanawia się, dlaczego garstka ludzi przy naszej granicy mogła tak rozpalić emocje. Otóż nie imigranci są ich źródłem i im szybciej sobie to uświadomimy, tym lepiej. Stawiam tezę, że gdyby po stronie białoruskiej siedział tylko jeden Irakijczyk – w mediach zapewne przedstawiany jako zbieg z Kabulu – szaleństwo byłoby takie samo. Nawet więcej. Gdyby zamiast niego przechadzał się kot, to w Polsce byłyby media, byliby komentatorzy, politycy i różnego rodzaju Kramki, walczący o biednego zwierzaka, który zbiegł przed talibami i prosi o azyl w RP. Bo mamy do czynienia nie ze spontaniczną akcją pomagania i empatii, lecz z dobrze zaplanowaną strategią nakierowaną na destabilizowanie sytuacji w kraju, w której los jakiegoś migranta kompletnie nie ma znaczenia. W tej grze chodzi wyłącznie o chaos, którego efektem mogą być załamanie się większości rządzącej i nowe wybory. Wiele miesięcy temu pisałam, że represje wobec Polaków na Białorusi to zwiastun poważnej antypolskiej ofensywy, być może z eskalacją na naszej wschodniej granicy. Dziś ten scenariusz jest już znacznie bardziej czytelny. Źródło ataku na nasz kraj jest w Moskwie. Łukaszenka nie jest i już nie będzie bytem niezależnym, bo jego trwanie u władzy jest dziś wyłącznie związane z Federacją Rosyjską. Taka opcja jest dla Kremla wygodna – działa niby nie swoimi rękami. Może ustawiać się nawet jako niezależny rozjemca czy strona jakichś międzynarodowych formatów. A satrapa z Mińska bierze na własną twarz odpowiedzialność za bandyterkę. Ale taki scenariusz nie mógłby przynieść oczekiwanych profitów, gdyby nie wsparcie z wnętrza Polski. Tusk niby mówi, że granic trzeba pilnować, ale w swoich wywodach koncentruje się na „prymitywnym antyhumanitaryzmie dzisiejszej władzy", jego posłowie dali sygnał do boju o zwożonych przez ludzi Łukaszenki Irakijczyków, kolejni przedzierali się już przez kordony wojska lub wmawiali opinii publicznej, iż granica przebiega gdzie indziej, niż twierdzi Straż Graniczna. Potężny front medialno-celebrycki domaga się, by państwo polskie ustąpiło przed wschodnią prowokacją. Wmawiając ludziom, że strzeżenie granicy własnej ojczyzny to kompromitacja, z powodu której cały świat patrzy na nas z obrzydzeniem. To prawdziwa siła Putina i jego Łukaszenki. Nie siedzący w namiotach Irakijczycy czy Somalijczycy, lecz ludzie z polskim obywatelstwem, manipulujący współrodaków chwytami rosyjskiej propagandy, i politycy gotowi zdeptać interes swojego państwa, walcząc jak lwy o sukces moskiewskiego planu wobec naszej części Europy. I jeśli dziś zastanawiamy się, jakie kolejne antypolskie działa wytoczy jeszcze Kreml, to musimy mieć świadomość, iż jego arcysilne wsparcie ulokowane jest wewnątrz naszego państwa. Już dziś widać, iż jest silniejsze i bardziej rozległe, niż mogliśmy przypuszczać. ■

POTĘŻNY FRONT MEDIALNO-CELEBRYCKI DOMAGA SIĘ, BY PAŃSTWO POLSKIE USTĄPIŁO PRZED WSCHODNIĄ PROWOKACJĄ. WMAWIAJĄC LUDZIOM, ŻE STRZEŻENIE GRANICY WŁASNEJ OJCZYZNY TO KOMPROMITACJA, Z POWODU KTÓREJ CAŁY ŚWIAT PATRZY NA NAS Z OBRZYDZENIEM.

eprasa.pl 32b92d6aea

Polska narracja historyczna musi zacząć się od polskiej nauki i polskiej szkoły



Dlaczego polscy uczniowie nie dowiedzą się z podręczników, że przez długie dziesięciolecia dla Niemców z księstwa pruskiego Rzeczpospolita była atrakcyjnym modelem wolności i prawa? Dlaczego uczeń w Polsce nie może się dowiedzieć, że aż do końca XVII wieku językiem elit moskiewskich był polski, bo polski model kulturowy był uważany, nie tylko geograficznie, za zachodni? To nie jest jakaś kwestia narodowej megalomanii, to są po prostu fakty historyczne. Jeśli my mówimy dzisiaj tyle o tym, że za granicą brakuje polskiej narracji, że tylko reagujemy na dyfamację, a nie tworzymy jakiegoś pozytywnego projektu, to odpowiedzi musimy szukać u siebie, w edukacji, w nauczaniu naszej młodzieży – z prof. GRZEGORZEM KUCHARCZYKIEM rozmawia MACIEJ KOŻUSZEK.

eprasa.pl 32b92d6aea



ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI FOT. ADOBE STOCK (2), TYTUS ŻMIJEWSKI/PAP

eprasa.pl 32b92d6aea

▶ Gdy myślimy o tym, co nazywa się wojną kulturową pomiędzy lewicą a konserwatystami, to postrzegamy ją w kategoriach absurdów, z których można się pośmiać. Dziwne wytyczne dotyczące języka, nowe zaimki czy spory o to, czy „Murzynek Bambo" jest dziełem rasistowskim. Potem jednak pojawiają się sytuacje, z jakimi mieliśmy do czynienia ostatnio w USA, gdzie rodzice zaczęli protestować przeciwko temu, czego ich dzieci uczą się w szkołach, gdzie białym uczniom wpajano poczucie winy ze względu na ich kolor skóry czy nakazywano uświadomienie sobie ich „białego przywileju". Czy podobny proces zachodzi w Polsce, gdzie edukacja staje się kluczowym polem walki?

To już właściwie ma miejsce. Przy czym należałoby powiedzieć, że ta wojna nie toczy się pomiędzy lewicą a konserwatystami, lecz pomiędzy lewicą a zdrowym rozsądkiem. Po drugie, rzeczywiście jest tak, że coś, co wydaje się na pierwszy rzut oka jakąś anegdotyczną aberracją, jest jednocześnie sygnałem, że zachodzi tu jakiś głębszy proces. Szczególnie jeśli ten proces trwa długie lata. Tak było w Stanach Zjednoczonych. Coś, co wydawało się na początku nonsensem, na przykład skreślanie w latach 80. z programów uniwersyteckich takiego przedmiotu jak „kanon kultury zachodniej", nagle zaczęło przynosić rezultaty. Skończyło się szturmem na pomniki, a na wielu uniwersytetach amerykańskich czy generalnie zachodnich króluje tzw. krytyczna teoria rasy. Niedawno w stanie Oregon władze edukacyjne zakazały stawiania „dwój" uczniom, którzy nie umieją dodawać, odejmować czy nie opanowali tabliczki mnożenia. Uznano bowiem, że matematyka u swoich podstaw jest owocem pewnej konkretnej kultury, a tego nie można pogodzić z zasadą wielokulturowości.

▶ Pojawiło się uzasadnienie, że wymaganie właściwych i prawidłowych odpowiedzi od czarnych uczniów w zadaniach matematycznych jest elementem białej dominacji, bo to biali wymyślili matematykę...

Te rzeczy wydają się absurdalne, bo są absurdalne. To nie zmienia jednak faktu, że te absurdy stały się już częścią polityki edukacyjnej, ze wszystkimi tego konsekwencjami, z których podstawową jest po prostu ogłupienie. W Polsce ten sposób myślenia nie znalazł jeszcze swojej instytucjonalnej obecności, w profilach kształcenia czy w polityce naukowej. Jednocześnie widać, że powoli zachodzi ta ekspansja ideologii, która przebiera się za naukę. Weźmy chociażby tzw. studia gender, które pojawiają się na nawet najlepszych uczelniach, to jest pewna forpoczta tych zmian.

▶ To jest chyba podwójny problem. Z jednej strony uderzanie w pewne podstawy kultury, z drugiej to proces, który zmienia także charakter nauki i edukacji. Skoro uczniów uczymy, że nie ma czegoś takiego jak poprawna odpowiedź w matematyce czy brak jakichkolwiek kryteriów w przypadku badań w tych nowych dziedzinach.

Krótko mówiąc, żyjemy w takiej sytuacji, że twierdzenie „dwa plus dwa jest równe cztery" będzie niedługo traktowane jako dowód tendencji faszystowskich albo ulegania kulturowym stereotypom. Podobnie jak na przykład traktuje się z oburzeniem fakt, że ktoś domaga się, by była toaleta damska i toaleta męska albo rubryki w dokumentach „imię ojca, imię matki". W wielu krajach to już jest traktowane jako przejaw dyskryminacji. Rzeczy, które urągają zdrowemu rozsądkowi, stają się prawdą urzędową. Jak mawiał Chesterton, oznaką upadku cywilizacji jest to, że kwestionowane są prawdy oczywiste.

▶ Jakie zagrożenia widzi Pan w Polsce? Wydaje się, że przełożenie na nasze warunki spraw dotyczących wielokulturowości czy różnorodności rasowej trochę nie ma sensu, bo jesteśmy krajem ciągle w dużym stopniu monoetnicznym. W Polsce lewica skupia się na kwestiach związanych z płciowością człowieka, tzw. prawem do aborcji itp.

Wbrew pozorom to przedsięwzięcie ideologicznej rekonstrukcji polskiej nauki, zwłaszcza humanistyki, idzie znacznie szerzej. Niby nie mamy swoich Murzynów, ale jednak można ich odnaleźć. Wystarczy poczytać coraz bardziej modne w ostatnim czasie prace nurtu historycznego, który stawia tezę, że jako Polacy mieliśmy swoje imperium kolonialne, czytaj: Kresy dawnej Rzeczypospolitej przedrozbiorowej. W środowiskach marksistowsko-genderowych coraz bardziej popularne jest szukanie „polskiego niewolnika", którym miałby być chłop pańszczyźniany na Kresach. Taką wizję wspierają różne autorytety, w rodzaju Olgi Tokarczuk, która eksploatuje ten motyw w swojej twórczości. Jest jeszcze inny wątek: przedstawiania dziejów Polski w XIX wieku, w epoce rozbiorowej przez pryzmat szansy modernizacyjnej. Zaborcy, na przykład Prusacy, mieli dać nam szansę modernizacji, budowali koleje, bite drogi, nowoczesną infrastrukturę kanalizacyjną w miastach, towarzystwa ubezpieczeniowe. A wszystkie te tendencje spaja to przedsięwzięcie, w którym szuka się tzw. polskiego współudziału w Holocauście. Mamy więc całą panoramę prób re-

eprasa.pl 32b92d6aea

konstrukcji polskiej historii, do tego stopnia, że matka rodzona by jej nie poznała.

▶ Czy to nie jest jednak robione trochę na siłę? Czy nie jest to bezmyślne małpowanie wzorców z Zachodu? Skoro oni podważają swoją tożsamość, wątpią w siebie, to my musimy zrobić to samo, znaleźć grupy prześladowane, „polskiego Murzyna".

Rzeczywiście, to jest małpowanie. Wystarczy przypomnieć sobie te sceny z ulic niektórych polskich miast, widziałem to na przykład w Poznaniu. Gdy w USA wybuchły protesty ruchu Black Lives Matter po śmierci George'a Floyda, to w Polsce też jacyś studenci czy działacze nowej lewicy kładli się na ziemię w proteście nie wiadomo dokładnie przeciwko czemu. Ale istnieje taki imperatyw podłączenia się. Małpujemy te modne zachodnie ideologie. To byłoby może nawet nieszkodliwe, można byłoby sobie z tego dworować, ale sytuacja zmienia się, gdy za tym stoi już pewien establishment finansowo-organizacyjny czy, mówiąc prościej, sposób finansowania nauki, wtedy mamy do czynienia z problemem.

▶ Jak wygląda ten mechanizm?

Tu dochodzimy do istoty sprawy, do dwóch poważnych chorób, które nękają polską naukę, czyli „punktozy" i „grantozy". Można mieć tylko nadzieję, że po pozbyciu się z rządu Jarosława Gowina obecne Ministerstwo Edukacji i Nauki przejdzie wreszcie od słów do czynów i zdecyduje się na pewną korektę, która przynajmniej pozwoliłaby na redukcję tych dolegliwości. „Punktoza" to po prostu zbieranie punktów. Wielu czytelników nie zdaje sobie z tego być może sprawy, ale obecnie w nauce przede wszystkim liczą się punkty, a nie na przykład wielkie dzieła, które mogą porywać, inspirować, które mogą być punktem odniesienia dla innych badaczy, wokół których powstawać mogą szkoły myślenia.

▶ Mówimy o punktach przyznawanych za publikacje naukowe.

Tak. Istotne jest to, gdzie można zdobyć najwięcej punktów. To są na przykład publikacje w pismach zachodnich, choćby z tzw. Listy Filadelfijskiej, w tych pismach oczywiście królują różne odmiany marksizmu-genderyzmu. Zawsze powtarzam, że pewnie najwięcej punktów zdobyłbym, gdybym zajął się na przykład tematem prześladowania czarnych lesbijek w monarchii Fryderyka II w XVIII wieku w Prusach. Mógłbym to wysłać gdzieś do jakiegoś pisma feministycznego z Nowej Zelandii i, stosując odpowiednią metodologię, udowodniłbym, że fakt, że źródła milczą na ten temat, jest dowodem spisku białych mężczyzn, którzy te źródła wytwarzali. Mieliśmy zresztą we współczesnej nauce tego typu prowokacje, chociażby te przeprowadzone przez Alana Sokala, gdzie do publikacji były kierowane zupełnie zmyślone artykuły naukowe, kompletne idiotyzmy, tylko dlatego, że posługiwały się odpowiednimi kategoriami.

NIKT NIE BĘDZIE PROFESOREM, JEŚLI NIE BĘDZIE MIAŁ GRANTU ALBO UDZIAŁU W GRANCIE, OCZYWIŚCIE NAJLEPIEJ EUROPEJSKIM. KTO DOSTAJE TE GRANTY EUROPEJSKIE? JAKI PROFIL BADACZY? OTÓŻ SĄ ONE TAK SPROFILOWANE, BY PROMOWAĆ WARTOŚCI TAKIE JAK „INKLUZYWNOŚĆ", „TOLERANCJA", „RÓŻNORODNOŚĆ", „WIELOKULTUROWOŚĆ", CZYLI, MÓWIĄC KRÓTKO, IDEOLOGIĘ NOWEJ LEWICY.

▶ Czym w takim razie jest druga choroba, „grantoza"?

Granty, uzyskanie finansowania na badania, które w obecnym porządku prawnym są też przepustką do uzyskania tytułu profesora. Nikt nie będzie profesorem, jeśli nie będzie miał grantu albo udziału w grancie, oczywiście najlepiej europejskim. Kto dostaje te granty europejskie? Jaki profil badaczy? Otóż są one tak sprofilowane, by promować wartości takie jak „inkluzywność", „tolerancja", „różnorodność", „wielokulturowość", czyli, mówiąc krótko, ideologię nowej lewicy, w takiej czy innej postaci. To są naczynia połączone. Z jednej strony uczelnie i indywidualni naukowcy otrzymują najwięcej punktów za publika-

eprasa.pl 32b92d6aea

cje w czasopismach o takim, a nie innym profilu. Z drugiej strony mamy granty, z których też najbardziej „punktodajne" są te europejskie. To jest koło zamknięte i czas najwyższy, by państwo polskie, a konkretnie Ministerstwo Edukacji i Nauki, w końcu zmieniło ten chory system.

▶ Czy ten system finansowania nie powoduje sytuacji podobnej do tej, którą obserwujemy w polityce? Pewne koncepcje i ideologie są promowane, choć nie ma na nie popytu w polskim społeczeństwie, bo stoi za nimi finansowanie z zewnątrz.

Tak dokładnie to wygląda. Warto jeszcze zaznaczyć dodatkowo: od ludzi zarządzających nauką w latach koalicji PO-PSL, ale też niestety podczas ministrowania Jarosława Gowina, cały czas słyszeliśmy, że w nauce kluczowa jest innowacyjność. Nawet jeśli przyjmiemy tę logikę, to przecież i tak nie mamy tu do czynienia z jakąkolwiek innowacyjnością, ale z kopiowaniem, wpisywaniem się w schematy ideologiczne, które już dawno, od lat 60. czy 70. obecne są na Zachodzie.

▶ Jak ten proces wygląda w Pana dziedzinie, w historii. Z jednej strony mamy spore zainteresowanie zwykłych Polaków tematami historycznymi. Z drugiej – akademia nie odpowiada na to zapotrzebowanie, jest jakby gdzieś obok.

To wynika z tych schorzeń, o których powiedziałem wcześniej. Posłużę się takim przykładem: kilka lat temu rozmawiałem z ważną osobą, która odpowiadała za zarządzanie polską nauką historyczną. Usłyszałem wtedy opinię, że zajmowanie się teraz w Polsce, na początku XXI wieku, takim tematem jak synteza historii Niemiec, to dowód na to, że jestem nienowoczesnym historykiem. To mnie zaintrygowało i wtedy zadałem pytanie: „Czym w takim razie zajmują się nowocześni historycy?" Usłyszałem odpowiedź: zajmują się dwiema rzeczami – edycją źródeł i pisaniem słowników historyczno-geograficznych. Te tematy są nowoczesne i ważne, bo dzięki nim można uzyskać granty.

To jest ten system, który został odziedziczony po poprzednich rządach, ale niestety został też utrwalony przez ministra Jarosława Gowina. To on na przykład powoduje chorobliwy strach przed pisaniem syntez. Od 1989 roku minęło 30 lat, a jeszcze nie dorobiliśmy się polskiej syntezy dziejów Rosji i syntezy dziejów Niemiec. To są przecież kluczowi sąsiedzi, istotni ze względu nie tylko na naszą historię, lecz także rozumienie współczesności. To, co mamy na rynku, to są tłumaczenia dzieł obcojęzycznych. Ale przecież historyk brytyjski czy australijski ma inną wrażliwość, postawi inne pytania niż my postawilibyśmy z polskiej perspektywy. Ta obawa przed pisaniem syntez, ambitnych prac jest dowodem na kryzys polskiej humanistyki. On nie wynika z tego, że umysły są jałowe, lecz z tego, że ten system organizowania finansowania nauki stanowi taką niewidzialną, ale bardzo twardą przeszkodę.

> W JEDNYM Z PODRĘCZNIKÓW W TEKŚCIE WPROWADZAJĄCYM DO II WOJNY ŚWIATOWEJ, NA PIERWSZEJ STRONIE PODRĘCZNIKA, NIE POJAWIA SIĘ ŻADNA INFORMACJA, KTO BYŁ AGRESOREM, KTO BYŁ OFIARĄ, NIE MA ŻADNEJ INFORMACJI O TYM, ŻE BYŁ SPISEK NIEMIECKO-SOWIECKI. JEDYNA NAZWA PAŃSTWA, KTÓRA SIĘ POJAWIA, TO „III RZESZA". NIE WIADOMO, JAKA TO BYŁA RZESZA.

▶ Pisanie ambitnych dzieł się nie opłaca?

Popatrzmy na to od strony praktycznej. Taki historyk patrzy na to w ten sposób: musiałbym odłożyć wszystko, żeby na przykład napisać jednoosobowo historię Rosji czy Niemiec. Patrząc na to optymistycznie, trzeba byłoby na to poświęcić 5–7 lat. To oznaczałoby brak „robienia punktów" w tym czasie. Taki naukowiec zostałby po dwóch latach wezwany do dziekana i usłyszałby: „Panie kolego, jest pan parametrycznym obciążeniem dla naszej uczelni. Potrzebne są nam punkty. Proszę odłożyć swoje opus magnum, pojechać na pięć konferencji, są wydawnictwa. Poza tym potrzebuje pan grantu, może opracuje pan jakiś temat, który przejdzie".

eprasa.pl 32b92d6aea

▶ Jak wyglądają te procesy na niższych szczeblach edukacji? Pracując w szkole przed rokiem 2016, obserwowałem już, jak zadomawiają się w polskiej szkole różne organizacje lewicowe, prowadzące na przykład tzw. szkolenia antydyskryminacyjne i propagujące ideologię. Jak to wygląda w tej chwili?

Ten proces postępuje. Z jednej strony można byłoby powiedzieć, że to jest poza instytucjonalną kontrolą państwa, bo dochodzą czynniki zewnętrzne, na przykład wpływ Internetu. Dla wielu uczniów, na przykład w liceum, influencerzy czy influencerki mogą być ważniejszymi autorytetami niż nauczyciele pokazujący rzetelny obraz polskiej historii. Z drugiej strony mamy przecież sporą grupę młodych ludzi, którzy interesują się historią, z tego wynikał cały renesans pamięci o Żołnierza Niezłomnych. To był w dużej mierze wynik działania młodych ludzi. Ale trzeba mieć też świadomość, że jest pewnie grupa młodych ludzi, trudno określić jak duża, która pozostaje pod wpływem takiej wizji, którą wyraził Donald Tusk, że „polskość to nienormalność", czy w nowszej wersji, że „polskość to udręka". To jest wizja, w której polska historia jest jakimś zbiorem krwawych plam, czasami jeszcze nieodkrytych.

Z tym wszystkim trzeba się liczyć, ale nie można, mając tę świadomość, nic nie robić. Ja dobrze przyjmuję te deklaracje, że ma zostać wprowadzony nowy przedmiot pod nazwą „historia XX wieku". To byłby dobry krok, bo oznaczałby też konieczność napisania nowych podręczników.

▶ Według raportu Ministerstwa Edukacji i Nauki na temat szkolnych podręczników, pojawiają się w nich pewne elementy patrzenia na historię, o których już mówiliśmy. Dotyczą na przykład postrzegania szlachty jako grupy wstecznej i prześladującej chłopów czy „zapóźnienia Polski i Kościoła za tendencjami nowatorskimi". Czy te tendencje z polskiej nauki zaczynają „przeciekać" do podręczników, z których korzystają polscy uczniowie?

„Przeciekać" to jest właściwe słowo, bo to odbywa się na zasadzie takiej metody kropelkowej. Gdy przyglądamy się podręcznikom, to warto też zwrócić uwagę na to, czego w nich nie ma. W podręcznikach na przykład brakuje wątków, które pokazywałyby atrakcyjność cywilizacyjną Polski przez długie wieki, choćby w epoce nowożytnej. Dlaczego polscy uczniowie nie dowiedzą się z podręczników, że przez długie dziesięciolecia dla Niemców z księstwa pruskiego, Rzeczypospolita była atrakcyjnym modelem wolności i prawa? Dlaczego uczeń w Polsce nie może się dowiedzieć, że aż do końca XVII wieku językiem elit moskiewskich był polski, bo polski model kulturowy był uważany, nie tylko geograficznie, za zachodni? To nie jest jakaś kwestia narodowej megalomanii, to są po prostu fakty historyczne. Jeśli my mówimy dzisiaj tyle o tym, że za granicą brakuje polskiej narracji, że tylko reagujemy na dyfamację, a nie tworzymy jakiegoś pozytywnego projektu, to odpowiedzi musimy szukać u siebie, w edukacji, w nauczaniu naszej młodzieży.

To jest problem wizji, którą przekazują polskie podręczniki. Gdy patrzę na takie nagłówki jak „Bitwa pod Monte Cassino. Symbol polskiego tułactwa", to zadaję sobie pytanie: o co w tym wszystkim chodzi? W jednym z podręczników w tekście wprowadzającym do II wojny światowej, na pierwszej stronie podręcznika, nie pojawia się żadna informacja, kto był agresorem, kto był ofiarą, nie ma żadnej informacji o tym, że był spisek niemiecko-sowiecki. Jedyna nazwa państwa, która się pojawia, to „III Rzesza". Nie wiadomo, jaka to była rzesza. Może polska? Brakuje podstawowych wiadomości. Można to byłoby oczywiście usprawiedliwiać, że to są rzeczy oczywiste, wiadomo, kto na kogo napadł, ale pamiętajmy, że żyjemy w takich czasach, że te oczywiste prawdy są kwestionowane. Dlatego ma znaczenie, że nie piszemy „1 września 1939 roku Niemcy hitlerowskie napadły na Polskę", tylko zamiast tego „1 września 1939 roku rozpoczęła się II wojna światowa, która była najkrwawszym konfliktem w dziejach" i ma znaczenie, że w dalszej części tekstu słowa takie jak „Niemcy" czy „niemieckie" nie padają.

▶ Wszystko wydaje się sprowadzać do tego, że jeśli wśród autorów podręczników dla polskich uczniów nie ma woli do zaznaczenia pewnych ważnych dla polskiej historii faktów, to trudno będzie oczekiwać, że świat będzie na tę polską perspektywę wrażliwy.

Tak. Autorzy tych podręczników często używają takiej wymówki, że na przykład nie możemy uzupełnić treści dwoma zdaniami, które zaznaczyłyby, że autorzy zamachu na Hitlera w 1944 roku podzielali wszystkie jego antypolskie poglądy, bo to wykracza poza podstawę programową. To jest szczegół, ale to właśnie taki szczegół, w którym tkwi diabeł, bo on zakłóca faktyczną wizję historii. Trzeba zwracać uwagę na te szczegóły, nie bać się oskarżeń, że czepiamy się detali. Z drugiej strony trzeba też wyzbyć się takiego myślenia, że wymagamy pisania o rzeczach banalnych, bo żyjemy w epoce, w której wielu ludzi na niewiedzy, na tym ogłupieniu próbuje budować różne ideologiczne projekty. Trzeba przeciwstawiać się temu, po prostu pisząc prawdę, nawet jeśli wydawałoby się, że jest ona banalna. ■

eprasa.pl 32b92d6aea



Ryszard Czarnecki

Polska w krzywym zwierciadle, czyli w obcych podręcznikach...

„Polska nie istnieje w zagranicznych podręcznikach historii" – alarmowały media przed 15 laty. Jeden z tygodników sprawdził podręczniki dla uczniów szkół średnich w czterech państwach członkowskich UE: Niemczech, Francji, Szwecji i Litwie, a także w Rosji i na Ukrainie.

W rosyjskich szkołach o Polsce najwięcej można przeczytać jako o twórcy wielkiej Rzeczypospolitej. Przekaz jest jasny: Polacy wykorzystali osłabienie Rosji, broniącej się przed najazdami Tatarów, i przeprowadzili ekspansję na Wschód... Jest też mowa o rozbiorach, ale – co charakterystyczne – rosyjskie podręczniki podkreślają, że ich inicjatywa wyszła z Berlina i Wiednia, a caryca Katarzyna tylko... uległa temu niechętnie, bojąc się przymierza Prus i Austrii przeciwko Moskwie.

W rosyjskich podręcznikach nie ma ani słowa o niemiecko-rosyjskim pakcie Ribbentrop–Mołotow, a początek II wojny światowej przypada na napaść Niemiec na Związek Sowiecki w czerwcu 1941, a nie napaść Niemiec na Polskę 1 września 1939 roku.

We Francji w podręczniku do historii była mapa pokazującą rozmieszczenie niemieckich obozów śmierci – tyle że... w granicach Polski z 1937 roku! Skojarzenie jest proste: podczas II wojny światowej Polska była suwerenna, a Polacy kolaborowali z Niemcami.

W Niemczech są różne podręczniki w różnych landach. W Bawarii na przykład najwięcej o Polsce pisze się w kontekście... „wypędzenia" Niemców z naszego kraju po II wojnie światowej! Trzeba przyznać, że Niemcy rozliczają się z epoką Hitlera, ale więcej niż skąpo informują, że ofiarami niemieckiego nacjonalizmu byli Polacy. Tak było w 2006 roku.

Z kolei w 2010 roku powstał raport, zamówiony przez MSZ, który obrazował, jak Polska przedstawiana jest w podręcznikach do nauki historii na poziomie szkół średnich. O naszym kraju pisano głównie w kontekście wybuchu II wojny światowej, Holocaustu, upadku komunizmu. Autorzy raportu podkreślali, że najbardziej nierzetelnie o Polsce pisze się w podręcznikach... we Francji. Przy czym – uwaga! – podręczniki te nie były zmieniane od 40 lat. Równie dziwnie jest we francuskich podręcznikach licealnych do geografii: Polska w nich nie istnieje, a gdy mowa o Unii Europejskiej, to jedyne wymienione państwo z krajów „ nowej Unii" to... Słowacja, przedstawiona jako „tygrys" regionu.

W nauczaniu historii w całej Europie nie ma słowa o świetności Polski w czasach I Rzeczypospolitej. Nie ma faktów rozbiorów Polski (ani kto brał w nich udział...). Nie ma również żadnych informacji o udziale Polski w II wojnie światowej i naszej roli w wyzwalaniu innych państw.

Kwestia żydowska przedstawiana była nierzetelnie i tendencyjnie: skupiono się na „antysemityzmie" Polaków i rzekomym donoszeniu podczas okupacji niemieckiej. Skrupulatnie też minimalizowano zasługi Polaków w obalaniu komunizmu.

Polska w podręcznikach niemieckich to krzywe zwierciadło. Krótka informacja o ataku Niemiec na Polskę w 1939 roku, ale gdy chodzi o skutki wojny, to autorzy koncentrują się na: 1. wypędzeniu Niemców, 2. niemieckich stratach terytorialnych i 3. zniszczeniach na... terenie Niemiec! Na całkowitym marginesie znalazły się informacje na temat polskich strat: w ludziach i zniszczeń wojennych.

Zdarzają się też w niektórych krajach sformułowania o „polskich obozach koncentracyjnych". W Belgii, a konkretnie we flamandzkojęzycznej Flandrii, w podręczniku historii zamieszczono ilustrację dotyczącą II wojny światowej: nowoczesne niemieckie czołgi atakują... polskich ułanów z szablami na koniach. Po interwencjach strony polskiej obiecano zmianę – ale owa nie nastąpiła.

W podręcznikach na Białorusi Polska od średniowiecza jawi się jako główna przeszkoda w... emancypacji ziem białoruskich (!). Rozbiory opisane są w tonie pełnym akceptacji i zrozumienia. Na siłę „zbiałoruszcza" się Kościuszkę, Niemcewicza, Traugutta, Mickiewicza, Orzeszkową czy Moniuszkę.

Paradoksalnie – albo nie – Polska obiektywnie jest przedstawiana w podręcznikach w odległym Kazachstanie – ale już nie w Niemczech, Francji, Rosji czy na Białorusi... ■

eprasa.pl 32b92d6aea

Małgorzata Matuszak

Czym jest... szkoła

Słowa „szkoła" używamy, nie tylko w naszym języku, często, a rzadko zastanawiamy się, co ono znaczy. Zwykle poprzez „szkołę" rozumiemy miejsce edukacji, gdzie następuje rozwój w dziedzinie intelektu. Istotnie, szkoła – jak definiują ten termin różne słowniki i encyklopedie – to instytucja oświatowo-wychowawcza zajmująca się kształceniem, głównie dzieci i młodzieży, a także siedziba (budynek) tej instytucji oraz jej uczniów i pracowników. Szkoła i kościół (świątynia) są najstarszymi i najważniejszymi instytucjami społecznymi stworzonymi przez człowieka, mającymi kształtować jego osobowość; Kościół – duszę, szkoła zaś – umysł.

Termin „szkoła" używany jest jednak również w wielu innych znaczeniach. Mianem tym określamy zarówno kurs, na którym uczymy się czegoś z konkretnej dziedziny lub zdobywamy jakąś umiejętność, jak i kierunek w sztuce czy nauce, którego przedstawicieli łączą jakieś wspólne, podstawowe poglądy i metody pracy bądź znajdują się oni w kręgu tych samych oddziaływań lub związanych z jakąś wybitną osobą (na przykład szkoła lwowska czy kantowska w filozofii). Szkołą nazywamy także sytuację, ciąg wydarzeń, które nas zmieniły, ukształtowały, były dla nas swoistą „szkołą życia".

W polszczyźnie, podobnie jak w innych językach słowiańskich, słowo „szkoła", używane od XIV wieku, zapożyczone zostało z łaciny, w której „schola/scola" oznacza „szkołę, lekcję, wykład, naukę; grono uczniów, szkołę filozoficzną". W łacinie pojawiło się zaś za sprawą greki, w której „schole", co zrazu może wydawać się niezrozumiałe, rozumiano jako „czas wolny, odpoczynek, bezczynność; spokój, wolny czas przeznaczony na nauki". Jak to się stało, że słowem oznaczającym „czas beztroski i bezczynności" zaczęto nazywać czas, który z bezczynnością i odpoczynkiem nam się w ogóle nie kojarzy? Otóż dla Greka czas wolny, czas, w którym może robić to, co chce, stanowił miarę wolności człowieka. W czasie wolnym od innych zajęć ludzie wolni gromadzili się, by dyskutować o różnych ważkich sprawach, słuchać wykładów. Wtedy też rozkwitła filozofia, która, jak pisze Arystoteles w „Metafizyce", może pojawić się wtedy, gdy prawie wszystkie potrzeby człowieka zostaną zaspokojone – dopiero wtedy możliwe staje się bezinteresowne poznanie, zwrot ku temu, co wzniosłe, ponad codzienne zaspokajanie potrzeb. Terminem „schole" później zaczęto określać także miejsce, w którym owemu „beztroskiemu odpoczynkowi" ludzie się oddawali.

„Schole" była czasem na rozwijanie swoich zainteresowań i upodobań, w szczególności tych sprawiających przyjemność i radość. Miała służyć rozwijaniu osobowości i uszlachetniać tych, którzy zdecydowali się swój wolny czas poświęcić zaspokajaniu wyższych, ludzkich potrzeb, intelektualnych i emocjonalnych. W swym zamyśle była więc czymś niezwykle wzniosłym i – z gruntu – przyjemnym, dającym wytchnienie. Szkoda, że w trakcie swej ewolucji szkoła zatraciła to swoje, rzec można etymologiczne, przesłanie, że stała się obowiązkiem, dla niektórych niestety wręcz przykrym.

> SZKOŁA I KOŚCIÓŁ (ŚWIĄTYNIA) SĄ NAJSTARSZYMI I NAJWAŻNIEJSZYMI INSTYTUCJAMI SPOŁECZNYMI STWORZONYMI PRZEZ CZŁOWIEKA, MAJĄCYMI KSZTAŁTOWAĆ JEGO OSOBOWOŚĆ.

Współczesna szkoła jako instytucja doświadcza krytyki płynącej z różnych stron. Zarzuca się jej nieuzasadnioną represję i społeczną manipulację, podważa się zarówno treści, których uczy, jak i kompetencje tych, którzy wysiłku nauczania się podejmują. Wyrzuca się jej to, iż nie zapewnia nabywania kompetencji potrzebnych nam do radzenia sobie we współczesnej rzeczywistości i nie przygotowuje ludzi do życia, a co najwyżej do wejścia na rynek pracy, choć i to przychodzi jej z trudem. Że nauczanie w szkołach jest zbyt sformalizowane i nieadekwatne do potrzeb indywidualnego rozwoju uczniów.

Niemniej nikt z nas nie wyobraża sobie dzisiaj życia bez szkoły. Jest ona niezbędna dla każdego i nawet mimo licznych niedomagań i tak stanowi najlepszą instytucję przygotowującą młodych ludzi do życia w rodzinie i społeczeństwie. Dlatego warto zabiegać o to, by czynić szkołę jak najlepszą, w szczególności dla tych, którzy do niej uczęszczają. ■

eprasa.pl 32b92d6aea

REWOLUCJA JUŻ TRWA. UNIWERSYTETY SĄ JEJ ROZSADNIKIEM



Kadra profesorska i część studentów już płyną z nową falą. Bardziej umiarkowani zaś siedzą cicho i nie chcą się wychylać, co samo w sobie zabija idee uniwersytetu – z prof. **RYSZARDEM LEGUTKĄ** rozmawia **GRZEGORZ WSZOŁEK.**



FOT. FILIP BLAZEJOWSKI/GAZETA POLSKA

▶ Czy rewolucja kulturowa, która się obecnie toczy w europejskim i amerykańskim społeczeństwie, dotyczy tylko rywalizacji między wartościami prawicy i lewicy? Czy może ma jakieś inne konotacje, których nie da się zaszufladkować?

Trwa obecnie spór między zwolennikami rewolucji a tymi, którzy optują za ciągłością kultury europejskiej, ciągłością jako pewną zasadą cywilizacyjną. Lewica od zawsze miała skłonność do gwałtownego przyspieszania procesów i oddawania się wielkiej inżynierii społecznej, by jak najszybciej stworzyć nowego człowieka i nowy porządek. Dlatego buntowała się zawsze wobec porządku naturalnego i negowała go. Rewolucja francuska, bolszewizm, komunizm, liberalizm – to wszystko było tworzeniem czegoś od początku, a jednocześnie pogardą i deprecjonowaniem starych zasad. Obecny impet rewolucyjny obrócił się przeciw naturze człowieka.

▶ Co to oznacza?

Twierdzi się, że nie ma czegoś takiego jak natura ludzka. Karol Marks również podsuwał takie tezy, z których czerpali bolszewicy po rewolucji, ale nie kwestionowali na przykład płci, podziału na mężczyzn i kobiety. Domagali się rewolucji seksualnej, a nawet ją zrobili, lecz po kilku latach Stalin z tego zrezygnował. Lewicowa rewolucja odbywa się zawsze z góry na dół, a więc korzysta się z mas, lecz władzę ma ośrodek centralny. Obecnie lewicowym ciągotom przewodzą instytucje międzynarodowe, na czym polega paradoks sytuacji: aktywiści lewicowi szczycą się niezależnością i swobodą w podejmowaniu działań, a tak naprawdę działają przez wielkie instytucje. Lud ma słuchać i podporządkować się.

▶ Silne oddziaływanie Black Lives Matter, lewicowe postulaty LGBT, które są uwypuklone w ostatnich latach w produkcji masowej – czy nie jest to również starcie na atrakcyjność przekazu?

Niewątpliwie w pewnym sensie tak jest, ponieważ staliśmy się w dużej mierze społeczeństwem zinfantylizowanym. Liczy się dla nas opakowanie, narracja, a nie zawartość. Przekaz ma być przede wszystkim ładny i prosty w odbiorze, gdyż wszyscy się bawią. Cały świat korzysta z uroków życia, a to sprzyja lewicowemu stylowi myślenia. Hasła przekształcenia naszego społeczeństwa sprzedają się znacznie lepiej z modelem zabawy, bowiem coś poważniejszego, gdy mowa o cnotach i odpowiedzialności, jest nieprzystające do obecnych realiów. Proszę zwrócić uwagę na przemysł rozrywkowy – został zupełnie zdominowany przez myślenie lewicowe.

▶ Dla przykładu podam Netflix – to powszechna rozrywka, którą zna już każdy w wieku 16–30 lat, niczym YouTube'a. Jak wszędzie, oprócz świetnych seriali czy filmów, zdarza się chłam. A jednak dobrze to wygląda, jest proste w odbiorze, zapewnia rozrywkę, popularną na całym świecie. Może twórczość konserwatywna tego nie zapewnia?

I to jest kolejny przykład na potwierdzenie tezy o pojedynku „na zabawę". Chodzi o to, kto lepiej zabawi tłumy, więc im dosadniejsza rozrywka, bardziej zbrutalizowana, obfitująca w seks, tym lepsze wyniki. Z tym trendem rzeczywiście trudno wygrać. Samo to, że mówimy o pojedynku w tej sferze, już jest zwycięstwem lewicy. Myślenie konserwatywne zakłada przecież subtelność, unikanie wyrazistości w przekazie czy kulturze, refleksyjność w działaniu. Z kolei lewicowcy proponowali natychmiastową rewolucję proletariacką, upaństwowienie gospodarstw rolnych i przemysłu, kwestionowanie instytucji małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny – niesłychanie proste, szokująco proste rozwiązania. Technika również sprzyja myśleniu lewicowemu. Technika zmusza nas do modernizowania wszystkiego. Mamy nieustanny postęp techniczny, a to, co stare, jest wypierane przez nowe. Dlatego starożytni twierdzili, że „techne" czyni człowieka pokrewnym bogom, istotą dążącą do doskonałości, a z drugiej strony staje się źródłem jego upadku z powodu potęgowania grzechu pychy. Człowiek łamiąc wszelkie ograniczenia popełnia błędy, wpada w samozachwyt i to go gubi. Sięgnijmy do „Antygony" Sofoklesa, do ody na cześć człowieka, gdzie mówi się, jak człowiek podporządkowując sobie świat i udoskonalając go może popaść w samodestrukcję.

▶ Panie Profesorze, mamy swoje problemy. Nie chodzi o bicie się w pierś bez refleksji, użalanie się – niedawno rozmawiałem z jednym z uznanych producentów filmowych, kojarzonych z prawicą. Oprócz cierpkich słów pod adresem mecenatu państwa na poważne produkcje, zauważył, że za wielkie polskie historie w kinie biorą się ludzie po prostu bez warsztatu. Bo i też nie ma na to pieniędzy. Netflix akurat fundusze ma. Może to jest kolejna przewaga w sferze kina?

Pieniądze i umiejętności to niesłychanie istotne kwestie, choć środowisko kultury jest głęboko lewicowe, znacznie bardziej niż przed II wojną światową. Zwróćmy uwagę na laureatów nagród literackich, takiego – nie boję się użyć tego słowa – „lewactwa" jak dziś nie było tam nigdy! Przed wojną, a zwłaszcza po niej nie brakowało komunistów, ale popularnością cieszyła się choćby literatura chrześcijańska. Zofia Kossak-Szczucka, Anna Malewska – wymienię

eprasa.pl 32b92d6aea

pierwsze przykłady z brzegu. Nagradzano poważnych pisarzy, powstawała wówczas poważna literatura patriotyczna, którą obecnie się tworzy, ale o nieco mniejszym zasięgu. Rzeczywiście, mogłaby ona stanowić kanwę dla produkcji filmowych. Przyznam się otwarcie, że nie śledzę nowości i nurtów w kinematografii czy serialach. Jasne, że przydałyby się produkcje popularne, dające nam zespół symboli, sensu, odniesień do naszej tradycji i kultury, choćby po to, by zapełnić świadomość i wyobraźnię, karmioną dotąd głównie amerykańskimi hitami. Młodzi naśladują nawet gesty i mimikę twarzy, którą zauważą w filmach. Obyczaj jest ważnym, aczkolwiek niedocenionym czynnikiem tożsamości. Jeśli tworzyć atrakcyjne hity na masową skalę, to trzeba to robić z klasą i znawstwem. Często słyszę propozycję: „Zamówmy pozycję patriotyczną w Hollywood!". Tyle że nie będzie to polski film, a amerykański, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

▶ Nie powstała wysokobudżetowa produkcja o Józefie Piłsudskim. Wciąż aż się prosi o naprawdę ogromny film o „Solidarności" czy Armii Krajowej, Witoldzie Pileckim, ks. Maksymilianie Kolbe. Nawet hit Andrzeja Wajdy o Lechu Wałęsie – „Człowiek z nadziei" – był daleki od czegoś akceptowalnego. Mamy też problem z brakiem biografii wpływowych postaci w III RP. Jesteśmy leniwi?

Zawsze lepiej pracować więcej niż mniej – to nie ulega wątpliwości. Z drugiej strony, kiedy popatrzymy na prawicowy rynek, to jednak jesteśmy ewenementem w całym świecie zachodnim! Tyle publikacji konserwatywnych nie ma nigdzie indziej w Europie, zdominowanej przez styl myślenia lewicy. Zatem chyba prawica nie jest leniwa, skoro wykorzystała koniunkturę. Jeżeli pyta pan o biografię, to jestem skłonny się zgodzić. Jeden z moich znajomych poetów słusznie zauważył, że Andrzej Franaszek – autor gigantycznej biografii Zbigniewa Herberta – wyprzedził naszą stronę. Podobnie sprawa się ma z opisem życia Czesława Miłosza, ale też z historią uczelni. Gdybym nie zajmował się czymś innym, powinienem napisać o Instytucie Filozofii UJ od 1945 roku i w ogóle idei uniwersytetu, zmianach w placówkach akademickich. Różnimy się w tym, że ja twierdzę, że coś zostało zrobione, a obaj zgadzamy się w tym, że jeszcze wiele jest do zrobienia. Dobrze byłoby zadziałać w sposób instytucjonalny: granty, stypendia, zlecenia dla najlepszych na napisanie biografii.

▶ Kiedyś na kierunki filozoficzne, polonistykę, nie mówiąc o historii, przyciągały studentów elity. One wyznaczały trendy, pewien kodeks wartości, szczególnie w latach 80. Dziś tego nie ma. Studia inteligenckie zastępowane są przez młodzież studiami praktycznymi. Wiedza stanowi odnośnik do kariery i wysokich zarobków, a nie rozwoju intelektualnego.

Na uniwersytetach zachodzą zmiany, wzbudzające mieszane uczucia – szczególnie jeśli chodzi o moją Alma Mater. Rozpocząłem naukę w okolicach Marca'68, a w kolejnej dekadzie pracowałem już na Uniwersytecie Jagiellońskim. Przez to, że uczelnia była odcięta od zachodnich prądów edukacyjnych, zostało tam trochę przedwojennego ducha. Studiowało się dla przyjemności i z ciekawości, nie istniał wtedy rynek pracy. W przeciwieństwie do obecnych czasów, wtedy nikt nie zastanawiał się, gdzie trafi po uzyskaniu dyplomu czy będzie zarabiał i w jakich kwotach. Naturalnie, jeśli ktoś poszedł na prawo lub medycynę, miał większą gwarancję pewnego i dobrze płatnego zawodu. Humanistyka nie miała związku z przyszłą karierą zawodową, przyszła praca zależała od wielu okoliczności, ale nie ocen na dyplomie i ukończonej placówki. Bunt przeciw niepraktyczności studiowania istniał także, lecz nie miał dużej siły. Gdy dotknęły nas nurty zachodnioeuropejskie, weszliśmy w pragmatyzm studiowania. Już od końca XIX wieku widoczna była zmiana ku pragmatyzmowi. Dzisiaj ma on wielu zwolenników, a przeciwnicy są w mniejszości. Ale to ma swoje skutki. Doprowadziło to do tego, że nie istnieje już w Polsce coś takiego jak warstwa inteligencji. Po raz ostatni jej mocnym akcentem były lata 80. – fala „Solidarności" i eksperckie wsparcie dla robotników, kontestujących system komunistyczny. Czym wyróżniał się polski inteligent? Mógł nim być profesor lub inżynier lub aptekarz, którzy nie tylko wykonywali swój zawód, lecz także pełnili rolę społeczną podnoszenia tożsamości narodowej, poziomu wykształcenia, obowiązków obywatelskich. Mieli w domach wielkie biblioteki, organizowali spotkania, koncerty, czytanie poezji i tym podobne. Obecnie inżynier buduje drogi i mosty, aptekarz sprzedaje leki, a nauczyciel akademicki wykłada i pisze książki. W schyłkowej fazie PRL społeczność aspirowała do rozmawiania o wyższych wartościach, żywiołowo dyskutowano o ważnych rzeczach z zakresu humanistyki na spotkaniach. To było naprawdę niezwykłe. Następnie pada komunizm, co stanowiło marzenie życia wielu osób, i wraz z jego upadkiem rozpoczął się proces dekulturacji, który trwa do dzisiaj, a końca nie widać. Specjalizacja stała się *en masse* priorytetem. Jeszcze raz powtarzam: inteligencja rozumiana jako warstwa społeczna, której początek datujemy na XIX wiek i epokę romantyzmu, już nie istnieje.

▶ Jeśli jesteśmy przy placówkach akademickich i ich różnorodności: niedawno Uniwersytet Jagielloński wystosował ankietę do studentów z różnymi opcjami płci do wyboru. Pan Profesor zaprotestował w liście do rektora uczelni, prof. Jacka Popiela, pytając, gdzie podział się etos wykładowców. Właśnie, gdzie? Czy istnieje kodeks wartości, etyka w polskiej nauce?

eprasa.pl 32b92d6aea

Rewolucja doszła do polskich uczelni. W czasach internacjonalizacji nauki – międzynarodowe współprace, granty, stypendia zagraniczne – niezależność trudno utrzymać. Internacjonalizacja przynosi doskonałe rezultaty w naukach ścisłych i przyrodniczych, ale fatalne w naukach humanistycznych, społecznych. Uczelnie zachodnie i amerykańskie, jak też australijskie czy kanadyjskie, poddały się kolejnej fali rewolucji i postawiły się w awangardzie postępu. Stały się rozsadnikami lewicowej ideologii, co jest nie tylko żałosne, lecz także dyskredytujące dla nauki. Ideologia genderowa – powstała pół wieku temu – zakłada, że nie istnieje podział na płcie, tylko kilkadziesiąt genderów, które są płynne i amorficzne. Tę dość karkołomną teorię świat zachodni 15 lat temu przyjął jako powszechnie obowiązującą ortodoksję. Normalna reakcja akademików powinna opierać się na głębokim sceptycyzmie, tym bardziej, że nie ma żadnych podstaw naukowych dla genderu. W ogóle nieufność do takich nowalijek jest warunkiem postawy badawczej. A tymczasem dominuje bezrefleksyjne przyjęcie lewicowych koncepcji, w dodatku sekuje się osoby o innych poglądach, czego sam doświadczyłem na własnej skórze. Poniekąd zatem rozumiem moich kolegów z uniwersytetu i rektorów. Gdyby zapragnęli zasiać sceptycyzm, to mogą spodziewać się zakończenia programu stypendiów, wysokich grantów, nagle zetkną się z niemiłym dla kogokolwiek ostracyzmem. Podsumowując, uniwersytety stały się miejscami nieprzyjemnymi i zamordystycznymi.

▶ Część konserwatystów ostrzegała przed tzw. strajkiem kobiet, ale nie w kontekście podburzania emocji, lecz próby przeprowadzenia rewolucji kulturowej pod lewicowymi sztandarami. Stąd niektórzy demonstranci obrali kierunek na Msze święte i pochody pod kościołami, dlatego używali gromkich przekleństw w stronę polityków kojarzonych z prawicą. Już wiemy, że jeśli nawet gdzieś kiełkowała myśl stworzenia ogromnego ruchu, to tak się nie stało. Protesty – liczne szczególnie na początku, po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji – osłabły. Czy inicjatywa Marty Lempart rzeczywiście mogła zmienić pejzaż społeczno-polityczny i kulturowy w Polsce?

Uważam, że strajk kobiet zmienił uczelnie. Jeśli Konferencja Rektorów Polskich oficjalnie poparła studentów uczestniczących w protestach, to o czym to świadczy? Młodzi ludzie brutalnie atakowali profesorów członków Trybunału Konstytucyjnego i duchownych. Środowisko uczelni opowiedziało się *de facto* za „hunwejbinizację" obyczajów uniwersyteckich, czyli za tym, co dzieje się w wielkiej skali w Stanach Zjednoczonych i w Europie Zachodniej. Czy Rektorzy wstawili się za prof. Ewą Budzyńską na Uniwersytecie Śląskim [prof. Budzyńska została ukarana naganą za mówienie na wykładach m.in. o rodzinie jako związku kobiety i mężczyzny czy potępienie eutanazji – przyp. red.]? Skąd! Czy słychać było jakikolwiek sprzeciw władz uczelni wokół skandalu ze skazaniem ks. Dariusza Oko za publikację w sprawie lawendowej mafii w Kościele? Nikt się nie odezwał, paraliżuje ich strach. Reasumując, strajk kobiet nie przemielił jeszcze uniwersytetów, ale coś się jednak zmieniło. Kadra profesorska i część studentów już płyną z nową falą. Bardziej umiarkowani zaś siedzą cicho i nie chcą się wychylać, co samo w sobie zabija idee uniwersytetu.

▶ Na granicy polsko-białoruskiej toczy się wojna hybrydowa, którą wypowiedział Unii Europejskiej Aleksandr Łukaszenka. Z drugiej strony, ewakuowaliśmy kilkuset Afgańczyków, przede wszystkim elity i klasę średnią z Kabulu. Załóżmy, że to nie koniec i w końcu granice się otworzą jeszcze szerzej przed imigrantami w Europie niż to miało miejsce dotychczas. Czy istnieje cień nadziei na asymilację i zaakceptowanie naszej kultury, zwyczajów przez przybyszów z Bliskiego Wschodu?

Skoro nie udało się to w krajach zachodnich, jak może się udać w Polsce? Asymilacja jest procesem indywidualnym. W gronie imigrantów na pewno ktoś pokocha kraj docelowy, przyjmie jego wzorce kulturowe. Działa jednak bezwzględne prawo wielkich liczb: musi być jakiś dominujący wzorzec. Pesymistyczny wariant rozlania się imigrantów po Europie w niekontrolowany sposób to gwarancja katastrofy. Zauważmy, że tutaj też mamy do czynienia ze stylem myślenia lewicy, która zakłada, że nie ma czegoś takiego jak natura w społeczeństwie, a więc można w nim dowolnie mieszać, łączyć wszystkich ze wszystkimi i dokonywać różnych społecznych eksperymentów. Kto będzie ponosił konsekwencje tych eksperymentów? My wszyscy. Polska lewica napędzana jest dodatkowo nienawiścią do polskiej tradycji narodowej i religijnej. Wpuszczanie imigrantów traktują jako lekarstwo na to, co uważają za zgnuśnienie polskiego grajdoła: imigranci w dużej ilości rozcieńczą, a może nawet wyrugują polską tożsamość i dominującą pozycję katolicyzmu. To jest dokładnie ten sposób myślenia, który towarzyszył twórcom PRL-u. Ale żeby takie nowe wielokulturowe społeczeństwo zaistniało, potrzebne są potężne struktury biurokratyczno-prawne, które tego wszystkiego będą pilnować, karać niepokornych, tropić homofobię, islamofobię i inne fobie. Represyjne narzędzia są nieodłączną częścią świata genderu. Bo żeby ten świat zaistniał, trzeba zastraszyć lub uciszyć wszystkie siły zdrowego rozsądku, które przeciwko tej szalonej inżynierii społecznej się buntują. ■

eprasa.pl 32b92d6aea



Małgorzata Matuszak



Pułapki szkolnego lockdownu

Uczniowie – dzieci i młodzież – stanowią grupę, która najbardziej dotkliwie mogła odczuwać psychiczne, emocjonalne i rozwojowe skutki przedłużającego się lockdownu.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 32b92d6aea

Lata szkolne 2019/2020 i 2020/2021 były bardzo trudne. Dla uczniów i nauczycieli, a także dla rodziców dzieci uczęszczających do szkoły. Pierwszy został przerwany w drugim półroczu, po czym zakończony w trybie nauki zdalnej. Drugi wprawdzie zaczął się „normalnie", jednakże sytuacja pandemiczna w kraju szybko wymusiła przejście nauczania z trybu stacjonarnego na powrót w tryb zdalny. Cena, którą musimy zapłacić za zdalną edukację, jest wysoka, ale teraz najważniejsze jest to, by z okresu nauki zdalnej wyciągnąć wnioski, ograniczyć negatywne jego skutki i wzmacniać pozytywne, bo mimo wszystko i takie można w tej niełatwej sytuacji zauważyć.

Narastający stres

Informacja o pierwszym zamknięciu szkół zdezorganizowała całe szkolne życie. Nikt nie wiedział, jak długo ta sytuacja potrwa, wszyscy mieli nadzieję, że jest to tylko chwilowe rozwiązanie. Niestety, sytuacja epidemiologiczna wymuszała przedłużanie terminu lockdawnu i wypracowanie zupełnie nowego modelu nauczania. Nowego dla wszystkich – uczniów, nauczycieli, rodziców. Trzeba było opracować nowe metody dotyczące wszystkich aspektów kształcenia szkolnego i odnaleźć się w tej nietypowej sytuacji. Nie wszyscy to potrafili.

Uczniowie – dzieci i młodzież – tworzą jedną z grup najbardziej wrażliwych na stres wynikający z epidemii. Wpływ na to miała nie tylko nauka zdalna, lecz także inne konsekwencje niewychodzenia z domu przez długi czas. Niektórzy nie mieli dostępu do narzędzi technicznych umożliwiających im naukę, jeśli zaś posiadali rodzeństwo w wieku szkolnym, a w domu dodatkowo rodzice również pracowali zdalnie, warunki nie sprzyjały efektywnej pracy w tym trudnym czasie. W rodzinach z problemami sprawa wyglądała jeszcze poważniej.

Dlatego też o ile dzieci i młodzież są grupą stosunkowo najmniej zagrożoną ciężkim przebiegiem choroby wywołanej wirusem COVID-19, o tyle właśnie oni stanowią grupę, która najbardziej dotkliwie mogła odczuwać psychiczne, emocjonalne i rozwojowe skutki przedłużającego się lockdownu. I – jak wynika z przeprowadzanych w tym czasie badań zebranych w raporcie przygotowanym przez Instytut Profilaktyki Zintegrowanej (IPZIN) na zlecenie Ministerstwa Edukacji i Nauki, zatytułowanym „Jak wspierać uczniów po roku epidemii? Wyzwania i rekomendacje dla wychowania, profilaktyki i zdrowia psychicznego", opublikowanym przed powrotem do szkół uczniów na koniec ubiegłego roku szkolnego – odczuwała coraz bardziej wraz z wydłużającym się czasem odosobnienia. Wart szczególnej uwagi jest fakt, że uczniowie o słabszej kondycji psychicznej zakończyli okres nauki zdalnej zarówno w najgorszej formie psychofizycznej, jak i z największymi zaległościami i lukami w nauce. Ci zaś w dobrej kondycji psychicznej doświadczali nawet mniejszego stresu szkolnego w porównaniu z okresem przed lockdawnem. Oczywiście zdarzały się odstępstwa od tej reguły. Nie zmienia to jednak faktu, że uczniowie słabszej kondycji psychicznej, jedynacy, mający mniejsze wsparcie ze strony rodziców – nierozmawiający z nimi o swoich problemach, obawach, nieodczuwający z ich strony zrozumienia, uczniowie nieuczestniczący w praktykach religijnych i mający niewiele kontaktów społecznych z rówieśnikami i przyjaciółmi. Z badań wynika również, że poczucia osamotnienia, smutku, braku energii, poirytowania i obaw częściej doświadczały dziewczynki.

Niebezpieczeństwa izolacji

Izolacja przyczyniła się do wzrostu wielu innych niekorzystnych zjawisk i zachowań uderzających w dobrostan psychiczny dzieci i młodzieży. W okresie nauczania zdalnego i izolacji społecznej stwierdzono, wskazują na to badania IPZIN, wzrost zachowań ryzykownych i problemowych – cyberprzemocy i uzależnień związanych z korzystaniem z Internetu i urządzeń cyfrowych. Wzrósł również odsetek młodych osób korzystających z pornografii poprzez Internet. Zachwianiu uległa tzw. higiena cyfrowa – młodzi ludzie spędzali przed ekranem komputera czy telefonu nadmierną ilość godzin. Niektórzy nawet całe dnie. Godziny spędzone codziennie przed komputerem w połączeniu z brakiem aktywności fizycznej przyczyniają się zaś dodatkowo do nasilenia bądź powstania problemów zdrowotnych, wad postawy, wad wzroku, spadku sprawności fizycznej i otyłości, co pociąga za sobą również zmiany w sferze psychicznej młodego człowieka.

W czasie izolacji, jako że niewiele było sytuacji umożliwiających wywieranie przemocy w formie fizycznej, ta przeniosła się „do sieci". Trzeba pamiętać jednak o tym, co przypominają badacze w raporcie IPZIN – cyberprzemoc niesie z sobą szczególne, wzmocnione zagrożenie, nie jest bowiem zdarzeniem jednorazowym, ale łatwo staje się publicznym, ulegającym zwielokrotnieniu poprzez kolejne odsłony, komentarze itp.

Stan psychiczny i stres mogą również przyczynić się do wzrostu częstotliwości korzystania z substancji psychoaktywnych – alkoholu, narkotyków, leków. Dlatego tak ważna jest profilaktyka i wczesna interwencja. Psycholodzy ostrzegają, że psychiczne symp-

eprasa.pl 32b92d6aea

tomy stresu po pandemii mogą pojawić się nawet w okresie od trzech do sześciu miesięcy po jej ustaniu i utrzymywać się przez kilka lat. Psychiatrzy twierdzą wręcz, że skutkiem koronawirusa będzie kolejna pandemia – wzrost liczby zapadalności na zaburzenia psychiczne.

Nastolatki w domach

Pierwsze badania wskazywały na to, że przygnębienie uczniów panującą sytuacją nie zależało ani od wieku, ani od sytuacji materialnej, ani od wielkości miejscowości zamieszkania. Z późniejszych badań wynikało, że im uczeń starszy, tym gorzej znosił izolację.

Najbardziej lockdown odczuli uczniowie nastoletni. W ich przypadku nastąpiło skumulowanie problemów – na trudności wynikające z wieku dorastania nałożyły się te związane z epidemią i społeczną izolacją. Eksperci zwracają uwagę, że nastolatkowie w sposób szczególny odczuli brak możliwości kontaktu z koleżankami i kolegami z klasy czy spoza szkoły. Ograniczanie do przebywania w towarzystwie dorosłych domowników zaburza normalny proces rozwojowy, którego naturalną konsekwencją jest powolne uniezależnianie się od rodziców. Do tego dochodzą zmartwienia o swoich bliskich – młodzi ludzie odczuwają ich niepokoje związane z pandemią, a dotyczące na przykład pracy, spłaty kredytu, widzą ich zmęczenie, złe emocje. I tu pojawia się problem – nastolatkowie odcięci od swoich znajomych, od swojego środowiska czują się osamotnieni, a skumulowane w nich problemy nie znajdują ujścia na zewnątrz.

Niektórzy odczuwali zaistniałą sytuację w dramatyczny wręcz sposób. Pedagog specjalny, dr Joanna Ławicka w wywiadzie dla TOK FM przeprowadzonym w kwietniu mówiła, że niemal codziennie zgłaszają się do niej rodzice szukający pomocy dla swoich dzieci, które nie radzą sobie w pandemicznej sytuacji. Przywołała przykład 14-letniej Oli, która do czasu przejścia na naukę zdalną była najlepszą uczennicą w klasie. Miała świetne oceny, wygrywała konkursy, przygotowywała się do olimpiady z języka angielskiego. I nagle pandemia zmieniła w jej życiu wszystko. Przestała wstawać na lekcje, miała dość wirtualnych spotkań. W końcu zaczęła w łóżku spędzać całe dnie. W jej życie wdarła się depresja. Podobnie jak w życie innej nastoletniej dziewczynki. Dotychczas towarzyska, otwarta, pogodna, niemająca problemów w szkole oraz w kontaktach z przyjaciółmi i nauczycielami, w okresie izolacji przestała rozmawiać i zaczęła unikać kontaktu z innymi ludźmi. Bywały dni, że nie wstawała z łóżka, nie myła się, nie miała ochoty na jedzenie. W walce z depresją musiał pomóc jej psycholog.

Lęk przed powrotem do szkoły

Aż u 73 proc. uczniów dominuje stres, niepewność i zniechęcenie związane z powrotem do szkół po tych niemal trzech semestrach nauki zdalnej.

NAJBARDZIEJ LOCKDOWN ODCZULI UCZNIOWIE NASTOLETNI. W ICH PRZYPADKU NASTĄPIŁO SKUMULOWANIE PROBLEMÓW – NA TRUDNOŚCI WYNIKAJĄCE Z WIEKU DORASTANIA NAŁOŻYŁY SIĘ TE ZWIĄZANE Z EPIDEMIĄ I SPOŁECZNĄ IZOLACJĄ.

W raporcie przygotowanym przez IPZIN czytamy, że najważniejsza i najbardziej potrzebna w tym momencie jest „maksymalna intensyfikacja działań mających na celu: (1) podniesienie kondycji psychicznej uczniów, (2) zbudowanie dobrych relacji i ponowną integrację klas, (3) pomoc w adaptacji do rytmu nauki stacjonarnej lub hybrydowej (a być może także pomoc w adaptacji do kolejnego okresu zamknięcia szkół). Potrzebna jest dawka »uderzeniowa« takich działań". I dalej: „Konieczne jest podjęcie konkretnych działań mających na celu troskę o dobre wzajemne relacje w środowisku szkolnym pomiędzy jego głównymi podgrupami: uczniami, rodzicami i nauczycielami". Wszyscy mamy nadzieję, że tak będzie. Uczniowie potrzebują czasu na to, by ponownie odnaleźć się w szkole.

Chcielibyśmy też móc żywić nadzieję, że rozpoczynający się rok szkolny przebiegnie bez zakłóceń, że dzieci i młodzież będą mogły chodzić do szkoły. Że stwierdzenie „szkoła w czasie pandemii" dotyczyć będzie czasu przeszłego i można go będzie zastąpić bez żadnych wątpliwości określeniem „szkoła po pandemii". ■

eprasa.pl 32b92d6aea



Jakub Augustyn Maciejewski

WIELKI TOYNBEE I JEGO „STUDIUM HISTORII”



Nazywany historiozofem wszech czasów, erudytą i polihistorem, brytyjski badacz Arnold Toynbee (1889–1972) miał odwagę opisać całe dzieje świata przez pryzmat cywilizacji. Brytyjczyk nieodwołalnie wplótł człowieka w otaczającą go naturę, warunki geograficzne, klimat, ale przede wszystkim – we wspólnotowość i w więzi z drugim człowiekiem.

FOT. WIKIPEDIA

Jego „Studium historii" to gigantyczne, dwunastotomowe dzieło, obejmujące zakresem historię ludzkości, ba – prehistorię nawet, od dolin chińskich rzek przez europejski dorobek i dzieje kolonizacji, z uwzględnieniem lekceważonego geniuszu Polinezyjczyków (kto dziś o tym wie!) czy uporczywego patu w walce Eskimosów z podbiegunowym lodem. Badacz przyglądał się wszystkim dziedzinom życia, od tak oczywistych, jak religia czy organizacja armii przez handel i literaturę po tak mniej rozważane konteksty jak mentalność człowieka po przeprawie przez morze lub przejściu przez step albo nawet postrzeganiu owłosienia ciała przez Japończyków.

To nie jest podręcznik dziejów

Jeśli ktoś myśli, że ta nawałnica informacji zmieszczona na ponad 10 tysiącach stron przytłacza, to warto wspomnieć o dwóch ułatwieniach. Po pierwsze, Toynbee, jak na dawnego dziejopisa z anglosaskiej szkoły przystało, pisze językiem niemal literackim czy nawet poetyckim – stosuje barwne porównania, odwołuje się do literatury, mitów, Biblii, ciekawostek. Na przykład niektóre cywilizacje, takie jak Celtów czy Wikingów, nazywa wiecznie nierozwiniętymi, nigdy nie dojrzałymi i wskazuje na podobieństwo do bajkowego „Piotrusia Pana", który nigdy nie osiągnął dorosłego wieku. Historyk opisuje cywilizacje nomadów (Mongołów, Hunów) i porównuje step do morza – można je z wielkim wysiłkiem przebyć, ale nie można na nim ustanowić cywilizacji. Step – jak lądowy ocean – nic bardziej łatwego do wyobrażenia! Świat angloamerykański uznał „Studium historii" za dzieło tak wielkie, tak potrzebne intelektualistom różnych dziedzin, że z entuzjazmem wydano wersję uproszczoną, krótszą, która i tak liczy ponad 800 stron. Skrótu dokonał historyk David Churchill Somerwell (1885–1965), absolwent Oxfordu, autor książek o historii Ameryki i Wielkiej Brytanii. Na język polski przełożono jedynie ten skrót, zaś całość dzieła pozostaje do zdobycia tylko w języku oryginału. Pracę Toynbee tworzył przez lat dwadzieścia (1934–1954), uwzględniając najnowsze odkrycia historyków, ale też w wielu miejscach uczciwie przyznając, że nauka nie dostarczyła jeszcze dowodów na niektóre stwierdzenia (na przykład dotyczące Hetytów czy kultury minojskiej). We wnikliwych analizach historycznych dwóch dekad i z podsumowaniem dorobku nauk historycznych powstało „Studium historii", które nie jest podręcznikiem dziejów, lecz próbą wyjaśnienia związków przyczynowo-skutkowych, odpowiedzią na pytanie, dlaczego jednym cywilizacjom udaje się zbudować

eprasa.pl 32b92d6aea

potęgę, inne upadają, a jeszcze inne zatrzymują się w rozwoju. To jedna z takich lektur, które powinny być przyswajane przez mężów stanu i najważniejszych polityków Zachodu.

Brytyjczyk stuprocentowy

Ród Toynbeego należał do grona inteligenckiego imperium brytyjskiego. Jego siostra była archeologiem, ojciec znanym filantropem, on sam był także wnukiem poważanego otologa i anatoma, Josepha Toynbeego, a jego pradziadem stryjecznym był inny Arnold Toynbee – ekonomista i członek wpływowych środowisk politycznych XIX-wiecznej Wielkiej Brytanii. Sam historyk był ogromnie pracowity, poza i tak monumentalnym „Studium historii" wydał kilkadziesiąt innych książek i artykułów historycznych, zaś swoje dzieło życia dyskutował w kolejnych częściach na uniwersytetach, konferencjach naukowych i licznych spotkaniach środowiskowych.

Ale „brytyjskość" intelektualisty oznacza także specyficzny punkt widzenia na politykę międzynarodową. Nie pierwszy raz Wyspiarze okazywali się germanofilami, lekceważącymi sprawy Europy Wschodniej, także Polski. Realpolitik w pojęciu Toynbeego sprowadzał się do uznania dominacji silniejszych nad słabszymi. Już samo jego badanie nad cywilizacjami było zainspirowane pracą niemieckiego filozofa Oswalda Spenglera (1880–1936), „Zmierzch Zachodu", choć Toynbee odszedł od większości założeń swojego germańskiego poprzednika. Proniemieckość Toynbeego dała o sobie znać podczas I wojny światowej i zaraz po niej – historyk zakładał niewielkie okrojenie niemieckich granic i wiele wyrozumiałości dla przegranego Berlina w traktacie pokojowym. Po 1918 roku Brytyjczyk pisał ekspertyzy, w których odmawiał Polsce prawa do Pomorza Gdańskiego, nazywając je „Prusami Zachodnimi".

Nawet pruskość była dla Brytyjczyka fascynująca. W „Studium historii" pisał m.in.: „Prusacy nauczyli także swych sąsiadów, jak sprawić, by piaszczysta gleba rodziła zboże dzięki użyźnieniu jej sztucznymi nawozami; jak wydźwignąć całą ludność do poziomu bezprecedensowej społecznej wydajności, dzięki systemowi obowiązkowej edukacji, i bezprecedensowego społecznego bezpieczeństwa, dzięki systemowi przymusowych ubezpieczeń zdrowotnych i na wypadek bezrobocia. Możemy ich nie lubić, ale nie możemy zaprzeczyć, iż pobraliśmy od nich doniosłe i nader cenne lekcje". Jeszcze w 1916 roku badacz wydał broszurę „Zniszczenie Polski. Studium niemieckiej skuteczności", w której zachwycał się wilhelmińską Rzeszą i jej postępami na wschodnim froncie – czyli w Polsce. Autor nakreślił obraz arcysprawnej machiny wojennej II Rzeszy, która błyskawicznie podporządkowała ziemie polskie po ich zajęciu w 1914 roku oraz przebudowała infrastrukturę na pożytek prowadzenia wojny. Cóż, jest z tego prosta nauka, że brak tłumaczeń polskich prac i opinii na języki obce skazuje nas na poddanie się narracji niemiecko-, francusko- i anglojęzycznych.

Sam Toynbee spotkał się w latach 30. z kanclerzem Adolfem Hitlerem, licząc po cichu na zdobycie tak wysoko postawionego czytelnika.

Choć Toynbee był zdecydowanym przeciwnikiem komunizmu i sam wykazywał wyższość wartości chrześcijańskich nad innymi, to dwie sprawy z jego życia rozbiegały się z tym przekonaniem. Jedna to niejako współczucie czy zrozumienie dla rewolucji bolszewickiej, w której – dla historyka – Rosja była ofiarą zachodniej inwazji. Z drugiej zaś strony jego drugi syn, Philip (1916–1981), stał się komunistą i skrajnie lewicowym autorem, który kwestionował wiele z fundamentalnych osiągnięć cywilizacji zachodniej, tak wysoko cenionej przez jego ojca. Philip potrafił nawet deprecjonować wielkie powieści Tolkiena, przeczuwając, że są one utrwalaniem chrześcijańskich wartości. Jego córka, a wnuczka Arnolda, Mary, jest dziś skrajnie lewicową autorką, wrogiem chrześcijaństwa, Kościoła, a zaangażowaną działaczką organizacji eutanazyjnych i aborcyjnych.

Przeciwne jest to sensowi prac autora „Studium Historii", a jednak Brytyjczycy w wielu przypadkach lepiej sobie radzą w ocenie przeszłości niż diagnozowaniu współczesności.

Czy Toynbee przewidział obecną Unię Europejską?

Zdaniem Toynbe'ego istniały trzy generacje cywilizacji, z czego wspólnoty pierwszych dwóch już wymarły. W grze pozostały: cywilizacja zachodnia, cywilizacja chrześcijaństwa zachodniego, muzułmańska, hinduska i dalekowschodnia. Co ciekawe, prawosławną wspólnotę historyk widział na Bliskim Wschodzie, zaś Rosję postrzegał jedynie jako jej odnogę. Podobnie z Japonią, która miała być odnogą obszaru dalekowschodniego, którego centrum stanowiły Chiny.

Cywilizacje rozwijały się wedle tego samego schematu – wzrastania, załamania, dezintegracji i rozkładu, przy czym dezintegracja miała swoje fazy: okres zaburzeń, potem budowa państwa uniwersalnego i czasy interregnum. Motyw państwa uniwersalnego zdaje się

eprasa.pl 32b92d6aea

być wspólną cechą większości historyków cywilizacji, którzy uważają, że jedną z form wyjścia (a raczej próby wyjścia) z kryzysu jest budowa wielkiego, zjednoczonego imperium. Tak jak Spengler uznawał, że III Rzesza jest ratunkiem dla Zachodu (sic!), tak Toynbee widział inne imperia jako wyraz nieco skutecznej frustracji cywilizacji. I tak cywilizacja „chrześcijaństwa prawosławnego" (przypomnijmy: Bliski Wschód) zbudowała Imperium Osmańskie, uniwersalne, rozległe, na obszarze którego mogły się rozwijać różne religie. Toynbee tak opisywał szanse karier, jakie Turcy stworzyli dla prawosławnych: „Wołosi [Rumuni – red.] z wyżyn Rumelii osiedlili się w miastach jako kupcy kolonialni; greckojęzyczni Grecy z Wysp Egejskich i turkojęzyczni Grecy ze śródlądowego anatolijskiego Karamanu rozwinęli interesy na ambitniejszą skalę; Albańczycy zostali murarzami; Czarnogórcy oddźwiernymi i posłańcami; nawet sielankowi Bułgarzy znaleźli utrzymanie na przedmieściach jako stajenni i ogrodnicy". Zdaniem Toynbeego cywilizacja syryjska (dziś obumarła, mająca źródła jeszcze w Babilonie i Sumerach) znalazła swoje wielkie imperium w średniowiecznym świecie arabskim (Kalifat Bagdadzki), Zachód – na przykład w starożytnym Rzymie, a Grecy w państwie Aleksandra Wielkiego. Z pozoru te państwa imperialne są potęgą, ale historiozof widzi w nich raczej kolosy na glinianych nogach, które powoli tłumią wewnętrzny rozwój i wytwarzają mechanizmy upadku. Dla cywilizacji takie imperium jest jedynie stadium przedagonalnym: „Jedną z najbardziej uderzających oznak dezintegracji jest [...] występujące w przedostatnim stadium zjawisko zaniku sił i upadku, kiedy to dezintegrująca się cywilizacja zyskuje chwilowe wytchnienie, poddając się przemożnej politycznej unifikacji w ramach państwa uniwersalnego".

Ta unifikacja to jednolitność prawa, waluty i polityki na szerokim obszarze. Trudno dziś uniknąć skojarzenia z ewolucją Unii Europejskiej – czy to także ma być „państwo uniwersalne" w dobie kryzysu Starego Kontynentu?

Zaskakujące więzi człowieka z otoczeniem

Choć w poprzednim stuleciu prac na temat koncepcji cywilizacji powstało wiele, to pewne założenia Toynbe'ego pozostają unikatowe. To on jako pierwszy i jedyny pokazał człowieka siedzącego w swoim miejscu na lądzie, w określonej szerokości geograficznej, w określonej epoce, z konkretnymi drzewami i górami wokoło, ze zwierzętami biegającymi w okolicy i z pogodą nad głową. Historyk szeroko opisuje, jak to wszystko wpływało na człowieka, ale formułuje to inaczej: jak człowiek poddawał się siłom natury lub z nimi walczył, by zbudować swój dom na Ziemi. Z setek przykładów autora „Studium" wyłania się obraz nie człowieka uzależnionego od natury, lecz człowieka uzależnionego od podporządkowywania sobie otoczenia naturalnego. Słowem: nie przyroda wyznacza człowiekowi granicę, lecz siła jego charakteru, jego psychika, która każe mu z przeciwnościami walczyć lub przeciwnościom się poddać. Toynbee idzie w tym jeszcze dalej – uznaje, że zbyt dobre warunki naturalne rozleniwiają społeczeństwo i cofają je w rozwoju. Za przykład autor wskazuje Greków – Ateńczycy na skalistych i suchych wzgórzach rozwinęli kulturę, ustrój i armię, a Beoci na północy, z ziemią żyźniejszą i bezpieczniejszą (bez sąsiedztwa ze zmilitaryzowaną Spartą), pozostali synonimem „prostaków", nie wspominając już o barbarzyńcach znad Dunaju, którzy mieli warunki do stworzenia potęgi. Trudności geografii nie są problemem samym w sobie, a często stymulują rozwój, kształtują determinację i twardość. Badacz zachwyca się kolejnymi przypadkami: „Nie przytoczyliśmy jeszcze przykładu Wenecji – miasta zbudowanego na palach wbitych w bagniste brzegi słonej laguny, które prześcignęło bogactwem, potęgą i chwałą wszystkie miasta zbudowane na terra firma w żyznej dolinie Padu. Nie mówiliśmy też o Holandii – kraju, który został w istocie wydarty morzu, a mimo to odznaczył się w historii o wiele bardziej niż jakikolwiek inny podobny pas ziemi na równinach północno-europejskich; nie wzmiankowaliśmy wreszcie o Szwajcarii, obarczonej majestatycznym brzemieniem gór". Brytyjczyk cytuje badacza kultur andyjskich, który tak ocenił relacje człowieka ze środowiskiem naturalnym: „Środowisko [...] nie jest wyłączną przyczyną kształtowania się kultury [...]. Jest ono niewątpliwie czynnikiem najbardziej rzucającym się w oczy [...]. Ale istnieje jeszcze pewien czynnik niedefiniowalny, który można – szczerze mówiąc – określić najlepiej jako x, niewiadomą o charakterze najwyraźniej psychologicznym [...]". Warto ten wątek przypominać wszystkim narzekającym na niedogodności geograficzne, brak surowców czy złe położenie. W znanej z arcybogatych złóż Rosji obywatele tego kraju żyją w biedzie, a zniszczona 70 lat temu, pozbawiona surowców Korea Południowa jest tygrysem Azji. Czy więc i Polsce nie przyda się poważny egzamin z charakteru?

Człowiek a Bóg

Spośród dwunastotomowego wydania „Studium historii" nie sposób wyłonić wszystkich wątków, skoro sam skrót liczy 800 stron. A jednak opis życia pogrążonych w marazmie mieszkańców Appalachów, geniuszu Celtów, którzy ocalili myśl

eprasa.pl 32b92d6aea

chrześcijańską, by potem zniknąć z historii, czy opowiadanie o potężnym Zachodzie, który potrafił wchłonąć kulturę swych wrogów – wikingów i uczynić ich sojusznikami, przez wiele przykładów funkcjonowania na różnych etapach cywilizacji, wszystkie te liczne przykłady i procesy, które opisuje Toynbee, pokazują, że w centrum rozwoju dziejów stoi człowiek. Nie żaden determinizm, kataklizmy, zmiany klimatu czy zniszczenia – ze wszystkiego można się podnieść, a każdą szansę można zmarnować. To ludzka wola – i to jest właśnie tak chrześcijańskie – ludzka decyzja, siła charakteru, przekonania i współdziałanie, mogą pchnąć historię w różnych kierunkach.

„Studium historii" stanowi tak naprawdę „studium człowieka", jego relacji z otoczeniem, z innymi ludźmi, a nawet z Bogiem lub wierzeniami. Badacz analizuje bowiem mity i święte pisma, jakby rozszyfrowywał ukryte rozdziały ludzkości. Człowiek nie istnieje bez wiary i religii. Wybitne jednostki patrzyły gdzieś w niebo i szukały zrozumienia swojej wielkości. „Tą nieznaną wielkością jest reakcja aktorów na ogniową próbę, gdy ta faktycznie nadejdzie. Te momenty psychologiczne, których nie sposób inherentnie zważyć i zmierzyć, a przeto i z góry ocenić naukowo, są tymi właśnie siłami, które rzeczywiście stanowią o rezultacie, gdy następuje spotkanie. Dlatego też najwięksi militarni geniusze wkalkulowywali w swe sukcesy element nieobliczalności. Jeśli byli osobami religijnymi, przypisywali swe zwycięstwa Bogu, tak jak Cromwell; jeśli zaś byli po prostu przesądni – swej wschodzącej »gwieździe«, tak jak Napoleon". To w religijnych księgach, psalmach i mitach zapisane są przepisy na wielkość ostrzeżenia przed upadkiem. Hiob, Faust, Adam i Ewa, Słońce – w różnych religiach – zmagają się z zewnętrznymi czynnikami (śmiercią bliskich, pychą, wygnaniem, nocą), a do tych trudności dochodzi personalne zło: Szatan, Mefistofeles, bóg nocy, u Skandynawów bóg Loki. „Uśmiercenie smoka: pramacierzy Tiamat, przez boga Marduka i stworzenie świata z jej szczątków oznacza ujarzmienie pierwotnej dżungli i utworzenie krainy Szinear w efekcie skanalizowania wód i osuszenia gleby. Opowieść o potopie upamiętnia rewoltę przyrody, chcącej strząsnąć kajdany, w jakie zakuł ją zuchwały człowiek" – czytamy u Brytyjczyka, który w zapisie wierzeń widział listę sukcesów i porażek danej wspólnoty. Toynbee przeczytał setki mitów z religii każdego zakątka świata i znalazł tam wspólne przesłanie: patrz ku dobru, ku swojemi ponadludzkiemu wierzeniu, a cywilizacja wzrośnie, patrz ku złu, poddaj się bezsilności, światowi zewnętrznemu – twoja cywilizacja przegra. A co cywilizacji zagraża teraz?

Gdy osiągnięcia psują...

Badacz wielokrotnie podkreślał, że zbyt dobre warunki cywilizacyjne prowadzą do rozkładu albo hamują rozwój, że trudności są stymulujące, mobilizujące, potrafią zmusić wspólnotę do skutecznego podejmowania wyzwań. Także własne wynalazki – technologiczne lub społeczne – które mogą być motorem sukcesu, stają się czasem przyczyną upadku albo są marnowane. Rzymianie zorganizowali hierarchię społeczną i silny ustrój, co umożliwiło im podbój znanego świata i połączenie go siecią dróg i zunifikowanych miast. Co natomiast zrobili Egipcjanie ze swoim potencjałem państwowym? Faraon potrafił zapanować nad potężnym Nilem, miał kapłanów badających astronomię, miał armię i całe te zasoby zaowocowały... piramidami. Toynbee obawia się, czy i tym razem kolejna cywilizacja, w tym wypadku zachodnia, nie spożytkuje swojej energii na jakąś bzdurę. „Czy nowe napędowe siły industrializmu i demokracji można wykorzystać do wielkiego konstruktywnego zadania przeorganizowania zwesternizowanego świata w społeczeństwo ekumeniczne, czy też zamierzamy obrócić nasze nowe moce na naszą własną zgubę?" – pyta retorycznie. Historyk opisuje opuszczoną wioskę Town Hill w centralnej Ameryce, która zaraz po zniknięciu mieszkańców zarosła, przyroda ją nieomal „pożarła". Ma to być metafora ludzkości, która musi nieustannie zmagać się zarówno z okolicznościami zewnętrznymi (natura), jak i wewnętrznymi (niepokoje, marazm), wkładać w to ogrom wysiłku, a poddanie tego rozwoju szybko pozostawia zgliszcza. Albo się rozwijasz – albo upadasz, dzieje nie przewidują trzeciej drogi. Nasuwa się skojarzenie już często pojawiające się w podsumowaniach rewolucji technologicznej, że oto pamięć komputera sprzed 50 lat pozwoliła człowiekowi wylądować na Księżycu, a dziś moce komputerowe tysiące i miliony razy większe pozwalają na oglądanie pornografii w dużej rozdzielczości. Zamiast lądować na odległych planetach zyskujemy gadżety, które niekoniecznie nas rozwijają.

To nie obce najazdy czy katastrofy dobijają wspólnoty – to odśrodkowe gnicie zachęca do ataku z zewnątrz albo powoduje upadek w starciu z naturą. „Cywilizacja, która padła ofiarą obcej zwycięskiej ingerencji, uległa już w istocie załamaniu wewnętrznemu" – przekonuje historyk.

Ale w całej gigantycznej pracy Toynbee nieomal zakazuje narzekania i szukania usprawiedliwień. To człowiek trzyma w ręku ster swojego losu i to on jest za wszystko odpowiedzialny. ■

eprasa.pl 32b92d6aea

OFICJALNY FILM BEATYFIKACJI KARDYNAŁA STEFANA WYSZYŃSKIEGO i MATKI RÓŻY CZACKIEJ

MAŁGORZATA **KOŻUCHOWSKA** · AGNIESZKA **KAWIORSKA** · MARCIN **KWAŚNY** · DOMINIK **CHMIELEWSKI** · ADAM **FIDUSIEWICZ** · IDA **NOWAKOWSKA** · WOJCIECH **SUKIENNIK** · JAN **MARCZEWSKI**

KSAWERY **SZLENKIER**

FILM **BRACI SYKÓW**

WYSZYŃSKI

ZEMSTA CZY PRZEBACZENIE

1918·2018

PATRONAT NARODOWY
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ANDRZEJA DUDY
W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

HIGH HOPE FILMS, BRAGA SYKOWIE, BIURO PROGRAMU „NIEPODLEGŁA", KINO ŚWIAT PRZEDSTAWIAJĄ FILM TADEUSZA SYKI: „WYSZYŃSKI - ZEMSTA CZY PRZEBACZENIE" WYSTĘPUJĄ KSAWERY SZLENKIER MAŁGORZATA KOŻUCHOWSKA AGNIESZKA KAWIORSKA MARCIN KWAŚNY DOMINIK CHMIELEWSKI ADAM FIDUSIEWICZ IDA NOWAKOWSKA WOJCIECH SUKIENNIK JAN MARCZEWSKI MARIUSZ DRĘŻEK LECH DYBLIK ROBERT IZEBOTAR ZDJĘCIA KRZYSZTOF MIESZKOWSKI MUZYKA ATANAS VALKOV MONTAŻ MATEUSZ KIELBOWICZ DŹWIĘK DARIUSZ KOWALCZYK EFEKTY SPECJALNE MACIEJ BIAŁOBRZESKI KIEROWNICTWO PRODUKCJI JOANNA JACKOWSKA-SYKA KOSTIUMY MARIA WĘGRZYN CHARAKTERYZACJA AGATA WALEWANDER PRODUCENCI TADEUSZ SYKA MACIEJ SYKA SCENARIUSZ I REŻYSERIA TADEUSZ SYKA

W KINACH OD 17 WRZEŚNIA

MECENASI: KGHM · PGNiG · Grupa Azoty

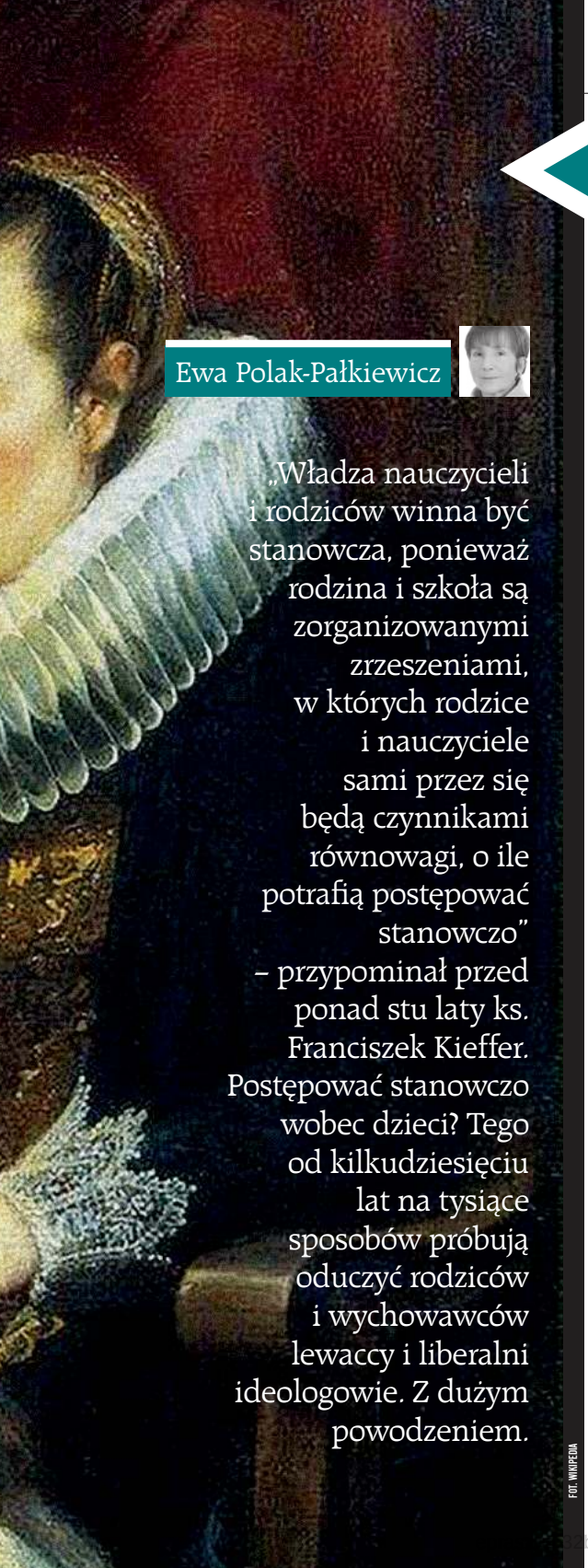
PARTNERZY: PKP Intercity · Gumstal · Nikidw · Argenta

PATRONI MEDIALNI: TVP · Plus · Niedziela · Kai · Do Rzeczy · Sieci · wPolsce.pl · wPolityce.pl · Gość Niedzielny · Gazeta Polska · Gazeta Polska Codziennie · Nowe Państwo · niezależna.pl · Mitujemy się · 1dziemy · Opoka

eprasa.pl szybko i tanio

Skandal z klapsem





Ewa Polak-Pałkiewicz

„Władza nauczycieli i rodziców winna być stanowcza, ponieważ rodzina i szkoła są zorganizowanymi zrzeszeniami, w których rodzice i nauczyciele sami przez się będą czynnikami równowagi, o ile potrafią postępować stanowczo” – przypominał przed ponad stu laty ks. Franciszek Kieffer. Postępować stanowczo wobec dzieci? Tego od kilkudziesięciu lat na tysiące sposobów próbują oduczyć rodziców i wychowawców lewaccy i liberalni ideologowie. Z dużym powodzeniem.

FOT. WIKIPEDIA

Czy może być coś bardziej niewinnego i naturalnego niż klaps dany rodzicielską ręką niepo-słusznemu dziecku? Każdy z nas otrzymał kiedyś jakiegoś klapsa. Nie zgrzytamy ze złości zębami na to wspomnienie i nie wypominamy okrucieństwa naszym rodzicom. Klaps w wielu wspomnieniach to poczucie pierwszego w życiu uczucia upokorzenia. Ale i ozdrowieńczej, kojącej refleksji: nie mogę robić tego, co mi się podoba. Są granice mojej samowoli. Świat jest bezpieczny, o ile uszanuję jego prawa. Nie ja je ustanawiam.

Ksiądz proboszcz z niewielkiej miejscowości na Śląsku, który ośmielił się w kazaniu wygłoszonym dla dzieci przystępujących do I Komunii przypomnieć, że dzieciom czasem należy się nagana rodziców, a nawet klaps, stał się ofiarą nagonki w mediach. Oskarżono go o zachętę do torturowania dzieci, o to, że jest ich wrogiem, że jest po prostu człowiekiem niebezpiecznym. Następnie zmuszono tego kapłana – sprawującego funkcję dziekana, powszechnie szanowanego, nagradzanego przez lokalny samorząd – do publicznych przeprosin.

Oskarżenie księdza, który w kazaniu przywołuje zasady moralne, jest klasycznym lewackim chwytem. Krzyk podnosi się bynajmniej nie „w obronie »katowanych« dzieci”. Ma on zagłuszyć samą możliwość zastanowienia się choćby przez chwilę, czy rzeczywiście rodzice nie mają – nie tylko prawa, ale wręcz obowiązku – egzekwować swoich uprawnień wobec dzieci. Czasem surowo, gdy sytuacja tego wymaga. Jako ci, którym dana jest władza nad dziećmi – w celu ich wychowania.

Chodzi o prawa zwierzchności, prawa władzy rodzicielskiej. Egzekwowanie m.in. konieczności posłuszeństwa rodzicom, czasem poprzez klapsa, to postawienie stanowczego progu samowoli. W innym przypadku dziecko może w ogóle nie przyjąć do wiadomości, że jego wolność jest ograniczona. Ograniczona, bo podlega autorytetowi, którego nie może bezkarnie podważać.

Prawdziwym celem histerycznej nagonki, jaka rozpętała się po kazaniu księdza dziekana Romana Kiwadowicza, jest w istocie samo pojęcie władzy. Jej autorytetu i praw. Ksiądz mówił wszak o prawie rodziców do dania klapsa. Straszliwe słowo „klaps”, zidentyfikowane jako synonim „przemocy”, stało się – nie pierwszy raz zresztą – pretekstem dla demagogów spod znaku antypedagogiki i ideologów równości, by prawo to kwestionować.

Lanie na goło w pałacu

Kary fizyczne, które budzą dziś taką odrazę lewicy, stosowane były w najlepszych katolickich domach. Są na to niezliczone dowody we wspomnieniach ziemian i arystokracji. Ich autorzy piszą o nich najczęściej z hu-

b92d6aea

morem, przywołując cały rytuał „lania", potajemne negocjacje na temat stopnia surowości kary czy wielkoduszne pociechy ex post. Łzy wylewane przez babcie i nianie. Kojące okłady na bolące miejsca. Tak niedawno nikomu jeszcze nie śniło się, by gorszyć się „laniem", jakie otrzymywały dzieci (prawie zawsze chłopcy, nigdy dziewczynki) – paskiem czy dłonią rodzicielską – które na to zasłużyły. Wiedziano, że klaps ma swoje zagwarantowane miejsce w systemie wychowania rodzinnego; bywa potrzebny, bo temperuje emocje, poskramia upór, przywraca dziecku zdolność myślenia. Przypomina, że to nie dziecko tu rządzi. Dziecko uczy się szybciej „z klapsa" niż z długich wywodów, krzyków i połajanek. Z ambony padały często napomnienia do bycia surowym wobec rozkapryszonych czy rozzuchwalonych pociech. (Pamiętam sentencję, jaką powtarzała moja babcia, wychowanka warszawskiej pensji dla panienek: „Różeczką dziateczki Duch Święty bić każe"... Nie uważano tego ani za przykład czarnego humoru, ani za licentia poetica).

Eustachy Seweryn Sapieha (po wojnie emigrant polityczny w Kenii, prowadzący tu z żoną safari dla Europejczyków) w latach 20. ubiegłego wieku obrywał sowite lanie od ojca i wychowawców (nawet gdy był już uczniem gimnazjum). Był też świadkiem, jak jego brat, kilkuletni Lew, niegrzecznie odezwał się do stangreta Procenki (w majątku Spusza, na obecnej Białorusi) „i oberwał za to baty, i to szpicrutą". Angielska niania obolałego chłopca potem potajemnie go pocieszała, wynajdując jakieś przysmaki w spiżarni, ale i pouczała: „Nie trzeba było krzyczeć: »Ja wielki pan jak wszystki diabli«...". Sapieha pisze o tym bez skrępowania w swojej książce („Tak było. Niedemokratyczne wspomnienia"). Zarówno on, jak i brat zachowali dla ojca Eustachego Kajetana Sapiehy, przyszłego ministra spraw zagranicznych II RP, miłość i szacunek.

Kary cielesne stosowano w szkołach katolickich i zakonnych. Nikogo to jakoś dziwnie – aż do ostatniego Soboru – nie przerażało i nie oburzało, a dziś wydaje się jakimś horrendum i najmniejsza nawet wzmianka o tym wywołuje histerię. Klaps stał się symbolem zdziczenia i upodlenia; dziecko, które go otrzymało, staje się z miejsca „ofiarą". Złapanym „na gorącym uczynku" rodzicom grozi się sądem. Dziecko bywa ich oskarżycielem. Samo słowo „klaps" zyskało tak złowieszczą sławę, że jeden z moich znajomych, autor poradnika o wychowaniu dzieci, przetłumaczonej na kilka języków, który nie jest bynajmniej przeciwnikiem klapsa, zmuszony był zamieniać w niej słowo „klaps" na „mops". Co się więc stało? Dlaczego staliśmy się tacy wrażliwi?

Władza, czyli podstawa

Tak naprawdę nie chodzi o „klapsa". Chodzi o to, czy rodzice w dzisiejszym świecie mogą jeszcze skutecznie zabiegać o swój autorytet. Przede wszystkim dla dobra dziecka. Po to, by wyrastało w poczuciu bezpieczeństwa. W świadomości istnienia obiektywnej hierarchii i nieprzekraczalności swoich uprawnień. Inaczej dzieci mogą nigdy nie dorosnąć. Na zawsze pozostaną rozkapryszonymi, nigdy nie zaspokojonymi, roszczeniowymi dużymi dziećmi. Będą nieszczęśliwe.

„Małżeństwo jest ze swej natury ukierunkowane na potomstwo, jednak jego zasadniczym celem jest nie tyle samo posiadanie dzieci, co ich wychowanie" – ta prawda z trudem przebija się dziś do świadomości młodych rodziców. Wielu młodych ludzi „chce mieć dziecko", tak jak chce się mieć pieska, samochód czy modne buty. A wychowanie jest wielkim trudem związanym z obowiązkiem wykonywania władzy. Władza ojca i matki nad dzieckiem jest jednym z najważniejszych elementów fundamentalnych więzi, jakie łączą rodziców i dzieci. Jej stanowcze wykonywanie ma na celu nie tylko dobro dziecka, lecz także dobro wspólne rodziny, a wraz z nim społeczeństwa. „Władza jest podstawą wszelkiej organizacji społecznej tak dalece, że zrzeszenie, w którym władza została bezsprzecznie uznana, daje nam poczucie trwałości i bezpieczeństwa, podczas gdy zrzeszenie z władzą chwiejną daje nam wrażenie nietrwałości i braku bezpieczeństwa", przypominał przed ponad stu laty ks. Franciszek Kieffer. „Władza nauczycieli i rodziców winna być stanowcza, ponieważ rodzina i szkoła są zorganizowanymi zrzeszeniami, w których rodzice i nauczyciele sami przez się będą czynnikami równowagi, o ile potrafią postępować stanowczo". Postępować stanowczo wobec dzieci? Tego od kilkudziesięciu lat na tysiące sposobów próbują oduczyć rodziców i wychowawców lewaccy i liberalni ideologowie. Z dużym powodzeniem.

Dziecko instynktownie szuka „silnej ręki"

Czy ktoś jeszcze pamięta obrazek z pewnego polskiego liceum sprzed wielu lat? Uczniowie jednej z klas włożyli na głowę angliście kosz na śmieci i fotografowali go z wyraźną uciechą. Nauczyciel nie potrafił zareagować. Robiono potem z niego ofiarę „niesprawiedliwości". Nie wspomniano jednak, że celem wybryku – być może zainscenizowanego – było symboliczne odebranie autorytetu nauczycielowi, ukazanie go jako pokonanego pajaca. Rewolucyjne namaszczenie tych, którzy mieli podlegać władzy – a nie być jej „partnerami" – jako tryumfatorów.

Żeby skompromitować tę podstawową zasadę wychowania, szermuje się dziś pojęciem „wolność człowieka". Definiuje się ją jednak na sposób nigdy w historii naszej cywilizacji – poza epizodami rewolucji – nie uznawany: jako wyzwolenie z wszelkich ograniczeń. Niszczy to każdy autorytet. A autorytet jest po to,

eprasa.pl 32b92d6aea

by można było dążyć do dobra i unikać zła. By pomóc ludziom w korzystaniu z wolności.

Cechą dziecięcej psychiki jest słabość i chwiejność. Dziecko „instynktownie szuka silnej ręki, na której mogłoby się oprzeć, szuka również woli stanowczej, nieugiętej nawet, która by je broniła od słabości i chwiejności", przypomina ks. Kieffer. Cytowana przez niego szwajcarska autorka Adrienne Necker de Saussure strofuje matki, które „mniemają, że słabością i pobłażliwością zdobędą przywiązanie swoich dzieci". Przestrzega ona: „Jeżeli będziecie dla niego drugim dzieckiem, jeżeli odpowiecie na jego kaprysy bądź niezadowoleniem bądź uprzedzaniem jego życzeń, to może uważać was za zabawkę, ale nie będzie się czuło szczęśliwe w waszej obecności". Autorka jest surowa w ocenie takich matek: „A gdy ten pierwszy okres rozprężenia i kaprysu minie, wspomnienie o nim złączy się w jego wyobraźni ze wspomnieniem o was. Nie byłyście podporą waszego dziecka, nie chroniłyście go od ciągłych wahań jego woli, tej choroby istot słabych, o żywej wyobraźni, nie zabezpieczyłyście mu ani spokoju, ani rozwagi, ani szczęścia, dlaczego ma was uważać za matkę?".

Adrienne Necker de Saussure (1766–1841) była pisarką i tłumaczką, córką genewskiego uczonego Horacego de Saussure, siostrą fitochemia i botanika, Mikołaja de Saussure oraz żoną botanika Jacquesa Neckera – bratanka słynnego ministra finansów Ludwika XVI o tym samym imieniu i nazwisku. Pomimo znakomitego wykształcenia wycofała się z życia towarzyskiego i poświęciła się wychowaniu dzieci oraz studiom dotyczącym pedagogiki i edukacji. Jej główne dzieło o tym, że postęp w edukacji musi być związany z rozpoznaniem celu ludzkiego życia, zostało nagrodzone przez Akademię Francuską i miało ogromny rozgłos.

Ksiądz Kieffer przestrzega zarazem, że stanowczość władzy nie powinna być w niczym podobna do tej drażliwości, która „mści się srodze za wszystkie uchybienia", czy być „tą fałszywą godnością, która chętnie przyswoiłaby sobie starą dewizę: »nikt mnie nie zaczepi bezkarnie«". Tak, bo ileż to razy rodzice „roszczący sobie prawo do szacunku wyładowują tylko swój gniew, [...] nie mówiąc już o niskim i brutalnym poczuciu zemsty!". W ten sposób niszczą od razu najważniejszy czynnik swej władzy: traktują dziecko na równi z sobą.

Dzieci są bystrzejsze od nas

Stanowczość władzy rodzicielskiej jest siłą, która działa świadomie: oparta jest na znajomości tego, co dzieje się w umyśle i sercu dziecka. Dlatego potrafi wstrzymać zakaz czy karę – lub je przyspieszyć – ustąpić, dostosować się do sytuacji, podać nowe argumenty. Użyć tych narzędzi zręcznie, subtelnie, finezyjnie, rozumnie. Nie może tylko ustępować przed natarczywością dzieci, przed ich przymilaniem się. Nie wolno dać się zmęczyć ich naleganiom i oporowi, nie wolno ustąpić pod presją płaczu, krzyku czy ataku histerii.

„Dziecko uspokoi się daleko prędzej, gdy jest przekonane, że nic nas wzruszyć nie zdoła, niż gdy myśli, że dzięki swemu podnieceniu może nas zmusić do ustępstwa" (ks. Kieffer). Nie doceniamy często faktu, że dzieci są bystrymi obserwatorami, uczą się bardzo szybko reakcji dorosłych. „Zdarza się, że wobec licznych uchybień i nielegalnych postępków władza znosi prawo i zatwierdza, legalizuje bezprawie". Do tego dążą wszystkie te oburzone paniusie i „struchlali z przerażenia" jegomoście, którzy „w obronie dzieci" przystąpili do ataku na księdza ze Śląska.

Trzeba trochę wysiłku intelektualnego, by zrozumieć, że władza sama z siebie nie jest ani celem, ani środkiem; celem jest wychowanie dzieci. Ustępstwa będą wskazane, gdy posłużą osiągnięciu tego celu, równie dobrze, a może nawet skuteczniej niż przymus. Wyjątki tylko potwierdzają regułę.

Ksiądz Franciszek Kieffer nie opiera się w swych rozważaniach na temat stanowczości władzy rodzicielskiej na fenomenologii, tylko na św. Tomaszu. Dlatego jest klarowny, kompetentny, prosty. Nie musi psychologizować. Psychologia nie była jeszcze w jego czasach traktowana jak religia.

Ostateczny cel rewolucji

Dlaczego władza rodziców – tak jak i władza nauczycieli, jak władza w państwie – jest dziś obiektem takiej kampanii nienawiści? Dlaczego podważa się nieustannie jej prawomocność? Główną cechą rewolucji jest wypaczanie wszelkiego porządku. Francuski biskup Jean-Joseph Gaume definiował ją jako „nienawiść do wszelkiego ładu, który nie został ustanowiony przez samego człowieka i w którym nie był by on jednocześnie królem i bogiem". Rewolucja potrafi w subtelny sposób redefiniować dobro i zło. To drugie bierze za najważniejsze kryterium. Dowodzą tego najmodniejsze trendy moralne, które najbardziej plugawe perwersje czynią punktem odniesienia. Tych zaś, którzy próbują się temu przeciwstawić, zniesławia się i wyszydza.

„Prawdziwe niebezpieczeństwo Rewolucji nie polega – jak często sądzimy – na stanie powszechnego chaosu wywołanego przez niektórych jej przywódców, w trakcie którego tłum ulega najniższym swym instynktom. Prawdziwe zwycięstwo Rewolucji polega na instytucjonalizacji nie-Ładu. Taki jest właśnie ostateczny cel rewolucjonistów, którzy wiedzą dobrze, że człowiek jest zasadniczo stworzeniem społecznym, pozostającym pod głębokim wpływem świata, w którym żyje", zauważył jeden z francuskich duchownych, ks. Yves Le Roux.

eprasa.pl 32b92d6aea

Hierarchie są niebiańskie

Mentalność dzisiejsza zdaje się o tym zapominać, dając się pogrążać w morzu skutków rzuconych niegdyś niefrasobliwie haseł o „równości", „braterstwie" i „demokracji", jakże zręcznie maskujących ukryty poza ich fasadą mechanizm coraz bardziej antyludzkiej władzy.

A przecież jak lekko i spokojnie oddychamy, gdy nasze oczy mogą spoglądać ku górze i widzieć tam tego, kogo uznajemy za „wyższego" od siebie. Kto faktycznie nam przewodzi. Wiadomo bowiem, że nie na nim kończy się hierarchia. Ona sięga nieba. Także gdy słyszymy pełne powagi: „Tak mi dopomóż Bóg" podczas przysięgi prezydenta, premiera, ministrów, gdy odczuwamy dumę z posunięć przywódców państwa na arenie międzynarodowej, czy gdy uświadamiamy sobie, że to, co nazywa się „reprezentowaniem naszych interesów", jest w istocie służbą większej sprawie, służy celowi większemu niż tylko nasz dzisiejszy dobrobyt.

Profesor Adrien Loubier, belgijski socjolog, w książce „Grupy redukcyjne" przypomina, że „uznawanie rzeczywistości powinno prowadzić do uznania nierówności: raz, że one istnieją naprawdę, po wtóre, że są one prawdziwym dobrodziejstwem". Realizm w spojrzeniu na własne życie, pracę, sprawowaną władzę czy jakikolwiek rodzaj służby jest fundamentem życia społecznego. Brak realizmu owocuje martwotą i rozpadem. Filozofia św. Tomasza, która zajmuje się bytem, czyli tym, co jest, oraz przyczynami tego, co jest, ze szczególnym odniesieniem się do Praprzyczyny, Pana Boga, nazwana została właśnie filozofią realistyczną. Gdy uzna się te fakty, gdy uzna się fakt objawienia przez Boga prawdy, także tej o naturze władzy – zarówno religijnej, jak i politycznej – będzie mogła ukształtować się hierarchia. W sferze politycznej, rodzinnej, zawodowej, oświatowej etc. A to dlatego, że to Bóg zechciał, by człowiek żył w społeczności, nie sam, nie osobno, izolując się od innych, na własny tylko rachunek (jak usiłował przekonywać J. J. Rousseau). Każda społeczność by przetrwać, musi mieć przywódcę.

Hierarchia, czyli porządek oparty na prawdzie, jest warunkiem wszelkiego faktycznego ładu w społecznościach ludzkich. Także politycznego i ekonomicznego. „Pod wyraźnie określonym kierownictwem" – przypomina belgijski socjolog – „każdy będzie mógł przekazywać innym to, co zna i potrafi najlepiej, a więc poszerzać ich znajomość rzeczywistości. Słowem, ludzie będą się czegoś uczyć zamiast zapominać to, co już umieli; będą się stopniowo wzbogacać prawdą, zamiast ubożeć umysłowo i spadać na coraz niższy poziom; wreszcie będą mogli budować zamiast rozwalać".

Jeśli chcesz uczynić z ludzi niewolników...

Dziś mamy w naszym kraju istny festiwal rozwalania – istnieje bowiem nieograniczona możliwość oskarżania władzy państwowej. Nie tylko przypisuje się jej wszelkie możliwe błędy, ale przede wszystkich odbiera się jej dobre imię, podważa się publicznie jej intencje. Słowem, dokonuje się jawnego oszczerstwa i obmowy, cynicznie powołując się na „wolność słowa", niszcząc przy tym wspólnotę Polaków.

„Jeśli chcesz uczynić z ludzi niewolników, wmów im, że ich prywatne sprawy są sprawami społecznymi" (Nicolás Gómez Dávila). Ogromna większość krytyków władzy za nic nie przyzna się, że przyświeca im podobny koncept. A przecież do każdego, kto stoi o szczebel wyżej w hierarchii społecznej, można się przyczepić – z dowolnego powodu. Nie tylko dlatego, że krzywo na mnie spojrzał, ale że jest tyranem i uzurpatorem oraz złośliwym psychopatą, bo nie zauważa moich osobistych potrzeb i w ten sposób głęboko mnie znieważa.

Sądzenie czyichś intencji jest czynem niepoważnym i nieuprawnionym moralnie. Jest jaskrawym przykładem braku kultury. Szczególnie rażące jest, gdy tego rodzaju ocen dokonują ludzie powołujący się na swój katolicyzm. Gdy czynią to otwarcie i wprost, ale częściej metodą insynuacji i aż nadto czytelnych aluzji, przy każdej okazji, co jest chyba jeszcze gorsze. Naprawdę nie są w stanie dostrzec, że odbiera im to wiarygodność i pozostawia niesmak? Zamiast zachęcać do modlitwy za tych, co za nas nadstawiają głowy, trwa podszyta drobnomieszczańskimi pretensjami („władza za mało daje") i kompleksami obmowa. Zaiste, wytrzebienie szlachty i ziemiaństwa, zdeprawowanie opiniotwórczej inteligencji przez komunistów przynosi dziś skutki w postaci dominacji sfery opinii przez żywioł roszczeniowo-plotkarski. Podważanie zaufania do rządzących, traktowanie ich jak wrogów, jako ludzi zaprzedanych lub niespełna rozumu, knujących przeciw własnym rodakom, to niegodziwość. Sprzyjanie anarchii, z której korzyść odnoszą zawsze nieprzyjaciele naszego państwa.

„...głosząc pochwałę wolności faktycznie miażdżą ją"

Kardynał Ratzinger trafnie rozpoznawał przyczyny kryzysu, jaki ogarnął świat Zachodu, gdy rozpoczynał się ostatni Sobór. Nie pozostawały one bez znaczącego wpływu na sam Sobór, pogłębiając kryzys katolicyzmu i samego Kościoła. Był to, jak mówił przyszły papież, „wpływ rewolucji kulturalnej na Zachodzie: zdobycia przewagi przez średnie mieszczaństwo, nową »trzeciorzędną burżuazję« ze swoją liberalno-radykalną ideologią typu indywidualistycznego, racjonalistycznego i hedonistycznego" („Entretien sur la foi", Paryż 1985). Roz-

eprasa.pl 32b92d6aea

powszechniła się liberalna mentalność, ukierunkowana na szukanie przyjemności, która szerzy się nawet w społeczeństwach o korzeniach chrześcijańskich.

„Średnie mieszczaństwo", „trzeciorzędna burżuazja" – a tak naprawdę ludzie o mentalności drobnomieszczan – roszczeniowi, pełni pychy, zadufani, zainteresowani tylko swoimi korzyściami i wygodami, są skłonni, by wyeliminować wszelką hierarchię, bo nie rozumieją jej roli i znaczenia. Miękko wchłaniają marksistowskie postulaty podrzucane im przez agitatorów ukrywających swoją ideową tożsamość. Liberalizm zawsze musi skończyć się apostazją.

Człowiek, który utracił poczucie zależności od Boga, nie uznaje istnienia pośredników między sobą a Bogiem, żyje w żywiole subiektywnych racji. Tracąc zdrowy rozsądek, a wraz z nim możliwość oceny rzeczywistości, staje się bezbronny wobec opinii publicznej. „Myśl traci swoją tożsamość wobec opinii publicznej, przez którą rozumie się poglądy wszystkich lub większości. Opinia ta jest kształtowana za pomocą technik dynamiki grupy, będących dziełem mediów, które znajdują się w rękach finansjery, polityków itd. Po odrzuceniu przedmiotu doświadczamy zaniku podmiotu, który staje się wystarczająco dojrzały, aby być poddany wszelkim formom niewolnictwa. Subiektywizm, głosząc pochwałę wolności, faktycznie miażdży ją", jak ujął to celnie jeden z francuskich duchownych.

Autor ten podaje także jako jeden z owoców intelektualnego liberalizmu (w zasadzie modernizmu) pułapkę „niezależności jednostki w stosunku do całości społeczeństwa", „[...] wszelkiej władzy naturalnej i hierarchii: niezależność dzieci od rodziców, kobiet od mężów, pracownika wobec pracodawcy, klasy pracującej wobec klasy posiadającej (walka klas)". W tej wizji „podstawową komórką liberalizmu jest jednostka. Jednostka uważa się za absolutny podmiot prawa (»prawa człowieka«), której nie zadaje się pytań o obowiązki wobec Stwórcy, zwierzchnika czy innych stworzeń lub, ponad wszystko, wobec praw Bożych. Liberalizm sprawia, że wszystkie naturalne hierarchie zanikają. Czyniąc to, jednostka staje się ostatecznie samotna i bezbronna wobec tłumu, którego jest tylko wymiennym elementem, a który ją całkowicie wchłonął".

Naród zamieniony w tłum

Liberalizm zawsze prowadzi do rewolucji. Społeczność chrześcijańska, wspólnota, naród zamieniony w tłum jest jego owocem. „Tu jest sedno zagadnienia. To punkt różnicujący. Nie da się pogodzić tych dwóch stanowisk. Pogląd, że wolność musi obyć się bez kar, wynika z odrzucenia grzechu pierworodnego, zakłada idealistyczną wizję natury człowieka, jako kogoś z natury dobrego. Gdyby przyjąć tę wersję, musielibyśmy »zanegować wydarzenia w raju«".

Wychwalanie równości jest sposobem rewolucji na zburzenie całego porządku naturalnego. Revolvere znaczy odwracać. Odwracać co? Właśnie hierarchię. Stawiać na głowie cały ludzki porządek. W rodzinie, w państwie, w Kościele. I zmuszać ludzki umysł, z natury rzeczy nastawiony na przyjmowanie prawdy, do akceptowania absurdalnych założeń, jak postulat „równości", urągających zdolności ludzkiego rozumu do rozpoznawania prawdy i praw naturalnych.

„Równość jest głównie pojęciem matematycznym", przypomina prof. Loubier, „które może być stosowane tylko do mierzenia ilości. Posługiwać się nią, gdy mówi się o osobach, to zupełny absurd na poziomie samych słów". Tłumy gromadzące się w Polsce podczas wystąpień prymasa Wyszyńskiego czy podróży apostolskich Jana Pawła II ujawniały w czasach PRL-u, jak silna i naturalna zarazem jest u człowieka potrzeba hierarchii.

Droga synodalna? Demokracja i „kolegializm" w Kościele? Papież jako jeden z przywódców religijnych? Rezygnacja z prymatu? Te próby wyeliminowania władzy hierarchicznej w Kościele katolickim są równocześnie próbą rozmycia prawdy w Kościele. Hierarcha nie zawsze jest osobiście nieomylny, przeciwnie, jak każdy człowiek może popełniać błędy, jednak oparcie w nieomylnej prawdzie Kościoła zawartej w tradycji dogmatycznej daje mu gwarancję, że w swojej nauce nie pobłądzi. Pójście na kompromis z półprawdami zawsze prowadzi do katastrofy.

Uznanie prawdziwej hierarchii napełnia człowieka duchowym pokojem. Skąd radość i wzruszenie, gdy mamy do czynienia z manifestacją hierarchii? Nicolás Gómez Dávila, kolumbijski pisarz, podpowiada: „Hierarchie są niebiańskie, w piekle wszyscy są równi".

Dla wielu ludzi klaps dany nieposłusznemu dziecku staje się dziś jedynie zawadą w ich dążeniu do niezmąconego niczym spokoju, szczęścia i komfortu. Towarzyszący mu nieraz płacz dziecka jest niemiłym przypomnieniem, że jest ono istotą zależną od nas, do pewnego też stopnia dziką i trzeba ją wychować. A to kosztuje dużo pracy i wyrzeczeń. Wolimy więc od tej żmudnej pracy bezstresowe teorie, pozbawione jakiegokolwiek sensu, i liberalnych wychowawców, którym nawet wolimy słono zapłacić, by swoimi metodami uspokoili nasze dziecko. My nie musimy na to patrzeć...

Trzeba sobie to powiedzieć: dziś tylko to, co jest w kontrze do świata, ma jakąkolwiek wartość. Potwierdza to przypadek księdza proboszcza ze Śląska. Gdy nowym Magisterium stała się opinia publiczna, za wszystko co dobre będziemy wykpiwani, ganieni, a w końcu i prześladowani. Jeśli więc jesteś krytykowany – tym lepiej. Nic tak nie potwierdza wartości Twojego dzieła. ■

eprasa.pl 32b92d6aea



Piotr Lisiewicz

Najlepszy pływak II RP. Metą był Katyń, a nie Monte Carlo



FOT. NAC

„Jak się dowiadujemy, Kazimierz Bocheński, jeden z najlepszych pływaków polskich, o którym rozeszła się pogłoska, iż zginął w 1939 r., żyje i przebywa obecnie w Monte Carlo" – ogłaszał „Kurier Sportowy" 16 lipca 1945 roku. Cztery miesiące później na tych samych łamach pisano: „Co się teraz z nim dzieje – nie wiadomo. Był tym, który przyczynił się do wychowania całej plejady młodych pływaków polskich, wpatrzonych w jego osiągnięcia". Tymi, którym „wiadomo" było wszystko o losach najwybitniejszego polskiego pływaka, 17-krotnego mistrza Polski, były sowieckie władze. Dziś wiemy, że został on zamordowany w zbrodni katyńskiej. Nie znamy wciąż miejsca jego śmierci ani spoczynku jego szczątków.

eprasa.pl 32b92d6aea

Niezwykły triumf młodego Polaka. Kazimierz Bocheński – as światowego pływactwa na ustach całej sportowej Europy" – taki tytuł wielkimi literami wybijał „Nowy Kurier" z 22 lipca 1930 roku. Wynik Bocheńskiego na dystansie 100 m stylem dowolnym (1:00,4 min) miał przetrwać jako rekord Polski aż do lat... 50.

▶ 20-latek stawia dyplomację na nogi

„Kurier Zachodni" tak pisał o tym samym wydarzeniu: „20-letni Kazimierz Bocheński, członek AZS-u warszawskiego, studiujący od dwu lat architekturę na Politechnice Gandawskiej, jest obok Walasiewiczówny, Konopackiej, Jędrzejowskiej, Petkiewicza i Kusocińskiego największym talentem sportu polskiego. Czas, który Polak osiągnął wczoraj na 100 mtr. – 1 min. 0.4 sek. jest wynikiem znakomitym, stawiającym Bocheńskiego na poziomie ekstraklasy pływackiej świata. W Europie znajduje się zaledwie dwu pływaków: Węgier Barany i Francuz Taris, którzy osiągnęli czasy zbliżone do rekordu Polaka".

Była to sensacja tym większa, że polskie pływanie w przeciwieństwie do innych dyscyplin nie reprezentowało wówczas wysokiego poziomu. „Nowy Kurier" wyjaśniał: „Gdyby na Olimpiadzie w Amsterdamie znalazł się jakiś żartowniś, przepowiadający pływactwu polskiemu wkrótce wielki rozgłos – wyśmiano by go bezlitośnie. Istotnie, nikt nie mógł przypuszczać, aby w ciągu dwu lat, dzielących nas od IX Igrzysk, zabłysnął tak wielki talent, jakim jest nasz młody rodak Kazimierz Bocheński". Niespodziewane sukcesy pływaka stały się nawet powodem aktywizacji polskiej... dyplomacji. Gazeta pisała: „Czym są wyniki Bocheńskiego dla propagandy sportu polskiego zagranicą – trudno nam w przybliżeniu ocenić. Dość powiedzieć jednak, iż wszystkie nasze placówki dyplomatyczne w Belgii od dawna opiekują się pływakiem podczas jego startów, które zazwyczaj przynoszą Polsce zwycięstwa".

O Bocheńskim faktycznie pisała prasa w całej Europie. We francuskim piśmie „L'auto" został on nazwany „jedną z najpoważniejszych nadziei europejskiego pływactwa". „Francuscy dziennikarze z podziwem patrzyli na postępy Bocheńskiego, który wspaniałe wyniki osiągał bez jakiejkolwiek opieki trenerskiej, na skromnym i zatłoczonym basenie, w dodatku o zaokrąglonych rogach" – piszą Magdalena Stokłosa i Aleksandra Wójcik, autorki książki „Sportowcy dla Niepodległej".

▶ Pływać uczył się z broszurki. Trafił na jej... ilustrację

Roman Kazimierz Bocheński urodził się 12 maja 1910 roku w Gliniance, obecnie w powiecie otwockim. Jednak jako sportowiec używał wyłącznie imienia Kazimierz i w żadnej przedwojennej publikacji nie natknąłem się na imię Roman, dlatego również w niniejszym tekście używać będę tylko drugiego imienia. To pierwsze wzięło się zapewne stąd, że był synem Romana – pisarza gminnego – i Heleny ze Smykiewiczów.

W internetowych zbiorkach żartów na temat polskich olimpijczyków odnajduję wesołą anegdotę na temat Kazimierza, który w dzieciństwie znany był z dociekliwości. Nauczyciel wychowania fizycznego, by zachęcić chłopców do pływania, opowiedział im, jak w starożytnym Rzymie Cyceron przepływał trzy razy Tybr, by nabrać tężyzny i dobrego samopoczucia przed obradami rzymskiego senatu.

„– Chyba dwa albo cztery razy – poprawił nauczyciela rezolutny chłopak.

– Dlaczego akurat dwa albo cztery, Kaziu? – zapytał nauczyciel. – Cycero miał ochotę na trzy razy i to mu wystarczało.

– W takim razie musiał chodzić do senatu na golasa, bez zostawionych na drugim brzegu rzeczy".

W latach 1924–1928 Bocheński uczęszczał do Państwowej Szkoły Technicznej Kolejowej w Warszawie, gdzie uzyskał tytuł technika drogowo-budowlanego. Skąd wzięło się jego zainteresowanie pływaniem? Autorki książki „Sportowcy dla Niepodległej" piszą: „Może to bliskość rzeki Świder, nad którą położona była wieś, sprawiła, że pływanie stało się jego pasją? Sam Kazik nie wstydził się przyznać, że kraula uczył się z... edukacyjnej broszurki. Wówczas nie mógł przypuszczać, iż do kolejnego wydania »Krótkiego podręcznika pływania« autorstwa Aleksandra Zaleskiego trafi jego zdjęcie w profesjonalnym pływackim stroju".

Nauka pływania w rzece bądź jeziorze nie była wówczas dla przyszłych sportowców czymś niezwykłym. „Rzeczpospolita" tak pisała o przyczynach niezbyt wysokiego poziomu szkolenia polskich pływaków: „Dla powierzchownych krytyków nikłego rozpowszechnienia umiejętności pływania w naszym kraju wystarczał jako argument fakt, że rzek, stawów i jezior, słowem wody naturalnej mieliśmy pod dostatkiem, a jednak... Otóż trzeba to stwierdzić na wstępie, że nic tak nie hamowało rozwoju sportu pływackiego jak owe stojące i bieżące wody gruntowe. Podczas, gdy wszędzie na zachodzie uczono młodzież pływać w specjalnie pobudowanych basenach, zimą – krytych, latem – otwartych, u nas miał je zastąpić kawał Wisły (czy innej rzeki) zagrodzony słupkami i deskami. W tych warunkach, oczywiście o żadnej masowej, systematycznej akcji nie mogło być mowy".

▶ „Toć to talent nie z tej ziemi!"

Jak doszło do tego, że Kazimierz zaczął trenować pływanie w klubie? Stokłosa i Wójcik przytaczają rela-

eprasa.pl 32b92d6aea

cję Tadeusza Makowskiego, autora książki „Kraulem przez Wisłę": „Lato 1928 r. Na pływalni na Jeziorku Kamionkowskim w parku Skaryszewskim zjawia się wysoki, dobrze zbudowany blondyn o wesołej twarzy. Przez chwilę obserwuje trening pływaków AZS, po czym podchodzi do sportowców i prosi o zmierzenie czasu na dystansie 50 m. Trochę zdziwiło nas to śmiałe zachowanie i zupełnie w dobrej wierze ostrzegaliśmy sympatycznego chłopca, ale z lekką ironią, że na basenie jest głęboka woda... Nie dał się przestraszyć... Wacek Moritz nacisnął stoper, a my wszyscy otworzyliśmy usta z podziwu, zobaczywszy upartego młodzieńca prującego wodę. Przepłynął! Czas 37,5 sek. Pierwsza »50-ka« w jego życiu. Rany boskie! – krzyknął któryś z nas – toć to talent nie z tej ziemi!".

„Chłopie, jak się nazywasz? Zacznij uczęszczać na treningi, będziemy pływali razem!" – zapytali nieznanego chłopaka. „Dobrze, będę przychodził, nazywam się Kazimierz Bocheński" – usłyszeli w odpowiedzi.

Skoczył... na plecy innego pływaka

Dwutygodnik „Sport Wodny" tak pisał o tych początkach: „Wychowanek Sekcji pływackiej AZS-u, jeszcze jako młodzik zapowiadał się wspaniale. Crawla przyswoił sobie dziwnie prędko. Spokojny, flegmatyczny nie zdradzał nerwu zawodniczego, to też dość długo chował się wśród narybku".

Początki te nie były jednak pozbawione kłopotów. Stokłosa i Wójcik piszą: „To miała być wielka chwila dla Kazika, ucznia Technicznej Szkoły Kolejowej. Właśnie skończył 18 lat. Po obiecujących indywidualnych występach na dystansie 100 m został zaproszony przez warszawski AZS do sztafety na mistrzostwach Polski w Królewskiej Hucie. Kiedy nadeszła jego kolej, Bocheński rzucił się po odbiór pałeczki. Nawet się nie zorientował, że wpłynął na sąsiedni tor...".

Sam Bocheński to wydarzenie wspominać będzie na wesoło po kilku latach na łamach pisma „Stadion" (nr 6/1931): „Zamknąłem oczy i nieprzytomny prawie sadziłem naprzód. Oprzytomniałem i otworzyłem oczy po jakimś zderzeniu. Jeszcze parę ruchów na oślep i znalazłem się na plecach drugiego pływaka. Całe szczęście, że umiałem jako tako pływać, bo z przerażenia mogłem utonąć".

Wtedy jednak nie było mu do śmiechu. Przejął się na tyle, że postanowił na jakiś czas przestać trenować pływanie. Wyjechał na studia do Gandawy w Belgii, ale tam też wybrał się na pływalnię. Z podobnym efektem: kiedy okazało się, że gandawskiej drużynie brakuje jednego zawodnika do sztafety, został namówiony do występu. I zaraz jego kariera ruszyła z kopyta.

„Kariera w iście amerykańskim stylu"

„Kariera sportowa Bocheńskiego była tak zawrotna, jak rzadko spotyka się w Europie. Przypomina ona nam owych asów amerykańskich, o których w jednym roku nie wie się nic, a którzy w następnym roku sięgają po laury Weissmullera" – pisał Tadeusz Semadeni w „Przeglądzie Sportowym" z listopada 1929 roku.

Portal Olimpijski.pl pisze o tym podobnie: „Karierę sportową zrobił w iście amerykańskim stylu i tempie, stając się rewelacją sportu polskiego pod koniec lat dwudziestych. Niemały wpływ na błyskawiczne postępy i rewelacyjne wyniki (bliskie rekordom Europy i najlepszym wynikom świata) miał fakt przejścia Bocheńskiego na całoroczny trening na krytym basenie w Ghent Swimming Club".

Tadeusz Grabowski w czasopiśmie „Radjo" w artykule „1929 – rok nowych talentów sportowych" pisał o efektach tych treningów: „Po powrocie w roku bieżącym do Polski koledzy nie poznali sympatycznego Kazia. Ze smukłego chłopca Bocheński wyrósł na barczystego mężczyznę o potężnych, długich rękach, silnych nogach, wspaniale rozwiniętej klatce piersiowej".

Sukcesy w Gandawie zaczynają przeplatać się z tymi w reprezentacji Polski, co relacjonował szczegółowo dwutygodnik „Sport Wodny": „W lecie 1929 r. na meczu z Belgją poprawia rekord setki na 1:06,8. W zimie 29/30 r. parokrotnie przewraca tabelę, będąc bohaterem spotkania Gandawa – Paryż, Gandawa – Bruksela. W lecie stanął w obronie barw Polski na meczu z Czechosłowacją. Zwycięstwem na 100, 400 mtr. w czasach 1:03,2, 5:31 z świetnymi sztafetami zapewnił nam pierwszy sukces międzynarodowy". To w Gandawie w 1930 ustanowił słynny rekord Polski na 100 m czasem 1:00:4, który był trzecim wynikiem w Europie. Stał się w Belgii bardzo popularny, Belgowie z dumą podkreślali, że to u nich wyszkolony został mistrz. Notabene uczelni w Gandawie nigdy nie ukończył, bo zabrakło mu na ten cel funduszy...

Wywiad transmitowany przez „wszystkie stacje polskie"

To zrobiło wielkie wrażenie. „Sport Wodny" tak pisał o jego popularności: „Z chwilą nadejścia zimy polski sport pływacki pilnie nadsłuchuje z zagranicy odgłosów sławy Kazika Bocheńskiego, studiującego w Belgii. Co parę tygodni nadchodzą wiadomości o jego startach i sukcesach, jakie osiąga".

W Plebiscycie „Przeglądu Sportowego" na najpopularniejszych sportowców roku 1930 Bocheński zajął

eprasa.pl 32b92d6aea

niezwykle wysokie, drugie miejsce! Każdy przyjazd Bocheńskiego z Belgii wywoływał entuzjazm polskich kibiców. „Kiedy w lipcu 1931 r. zawodnik przyjechał do Warszawy, AZS zorganizowało nieformalne, wewnętrzne zawody. Widzowie nie mogli wyjść ze zdumienia – Kazik osiągnął wynik lepszy nie tylko od rekordu Polski, ale też od rekordu Europy! Dystans 50 m pokonał w 26,6 s" – piszą Stokłosa i Wójcik.

Miarą popularności sportowca były także występy w najnowocześniejszym z ówczesnych mediów, czyli w radiu. Podczas najpopularniejszych audycji ulice wyludniały się, a mieszkańcy zbierali się u tych spośród sąsiadów, którzy mieli radioodbiornik. „Echo" z 11 stycznia 1931 roku zamieszczało zapowiedź: „Bocheński przed mikrofonem. Wywiad z fenomenalnym pływakiem. W poniedziałek 12 b. m. o godz. 20 przemówi do radiosłuchaczy fenomenalny pływak polski Kazimierz Bocheński. Bocheński w wywiadzie swym opowie kilka szczegółów ze swej kariery sportowej, które jeszcze nie były drukowane w prasie. Wywiad z Bocheńskim przeprowadzi referent sportowy Polskiego Radia p. Włodarkiewicz. Słuchowisko będzie transmitowane przez wszystkie stacje polskie".

▶ „Najlepszy pływak okresu międzywojennego"

Był zdecydowanie najwybitniejszym przedwojennym polskim pływakiem. Mistrzem Polski był 17 razy, natomiast rekordzistą Polski 18 razy. Portal Olimpijski.pl szczegółowo wylicza te osiągnięcia. Wymieńmy je dla porządku: „Najlepszy pływak okresu międzywojennego był 17-krotnym mistrzem Polski, w tym 11-krotnym w stylu dowolnym na indywidualnych dystansach od 100 m (1929, 1931, 1933–1935, 1937, 1939), 200 m (1931, 1933, 1935) do 400 m (1931) oraz w sztafetach 5×50 m dow. (1929), 4×200 m dow. (1929, 1931, 1932) i 4×100 m zm. (1931, 1932); 18-krotny rekordzista Polski (basen 25 m): 50 m dow. – 28,6 (1930 Brugge), 27,4 (10.08.1931 Warszawa); 100 m dow. – 1.08,8 (03.08.1929 Warszawa), 1.06,8 (25.08.1929 Warszawa), 1.05,0 (1929 Gandawa), 1.04,6 (1929 Gandawa), 1.03,6 (30.10.1929 Bruksela), 1.01,8 (1930 Brugge), 1.00,4 (11.11.1930 Gandawa); 200 m dow. – 2.34,4 (10.08.1929 Kraków), 2.29,8 (09.1929 Bruksela), 2.26,8 (06.1930 Bruksela), 2.24,8 (10.1930 Brugge), 2.20,6 (9.07.1932 Warszawa); 400 m dow. – 5.36,0 (17.08.1929 Warszawa), 5.32,6 (25.08.1929 Warszawa), 5.31,0 (08.1930 Warszawa), 5.17,0 (16.11.1930 Gandawa)".

Uff... Bocheńskiemu wróżono olimpijskie sukcesy, jednak w czasie Olimpiady w Berlinie w 1936 roku nie był już w najlepszej formie, do tego start ten okazał się pechowy. Kazimierz wystartował w sztafecie 4×200 m, która jednak została zdyskwalifikowana z powodu falstartu jego kolegi, także świetnego pływaka Joachima Karliczka.

▶ Zdyskwalifikowani za wrogie okrzyki pod adresem sędziego

Dodajmy, że Bocheński występował także z dużymi sukcesami w meczach piłki wodnej. „Sport Wodny" z lipca 1931 roku pisał o meczu piłki wodnej Warszawa–Śląsk, zakończonym tryumfem drużyny stołecznej 9:1 (do przerwy 5:0): „Zwycięstwo Warszawy zasłużone, choć może zbyt wysokie. Bramki dla AZS. strzelili: Bocheński – 7 i Błażejowski – 2. Dla Śląska – honorową bramkę strzelił Rotter".

Piłka wodna wzbudzała niemałe emocje. Gazeta „Echo" z 29 października 1931 roku informowała: „PZP zdyskwalifikował na przeciąg trzech miesięcy drużynę waterpolo AZS-u, w skład której wchodzi również między innymi Kazimierz Bocheński, za wrogie okrzyki pod adresem sędziego i drużyn na decydującym meczu o mistrzostwo Polski w waterpolo Cracovia – Makkabi. Obok Bocheńskiego w skład zespołu AZS-u wchodzą czołowi pływacy polscy jak Matysiak, Krotochwila, Kowalski, Karpiński i Jastrzębski".

W 1933 roku odszedł z AZS, jak pisała prasa, w wyniku „wewnątrz klubowych nieporozumień". W tym samym roku odbył wojskowe ćwiczenia. Jak pisał „Kurier Poznański": „Kazimierz Bocheński, został wezwany do wojska i otrzymał przydział do Szkoły Podchorążych w Słonimie".

▶ Niespełnione marzenie

Koledzy zapamiętali go jako osobę bardzo towarzyską i mającą niepodrabialne poczucie humoru. „Był kumplem, jeszcze lepszym organizatorem życia koleżeńskiego, przejawiał dużo energii twórczej, ponadto był bardzo dowcipny" – wspominał cytowany już Tadeusz Makowski.

O czym myślał Kazimierz, gdy szczyt swojej kariery miał już za sobą? Noworoczny numer „Expressu Wieczornego Ilustrowanego" z 1 stycznia 1936 roku w dziale „Życzenia gwiazd sportowych stolicy" zamieszcza taką oto z nim rozmowę, którą zagaja sportowiec:

„– Nie wiem więc, czegóż sobie teraz życzyć. Chyba aby się człowiek wreszcie ustatkował...

– Jak to mam rozumieć?

– No, przecież trzeba kiedyś wreszcie się ustabilizować; całe życie przepłynąć nie można, trzeba pomyśleć o przyszłości.

– Więc czyżby... małżeństwo?

– Tak daleko jeszcze nie, ale to byłby niewątpliwie mocny argument do ustabilizowania się".

Niestety, to marzenie nie miało się nigdy spełnić...

eprasa.pl 32b92d6aea

Woda pomyjowata i obskurne kolory

Póki co Bocheński został także sportowym dziennikarzem, w czasopiśmie „Sport Wodny" prowadził dział pływania. W 1937 roku w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym" odnajdujemy jego list krytyczny na temat otwarcia krytej pływalni w Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego na Bielanach, wtedy pod Warszawą. Pływalnia, jak pisano, miała być „ostatnim krzykiem nowości i postępu, jakie w ostatnich czasach zaobserwowano w tej dziedzinie".

Tymczasem Kazimierz pisze o owym otwarciu: „Zaczęto się od niewinnego figielka organizatorów. Oto nielicznych zresztą entuzjastów bez zaproszeń (zawody były publiczne i w gazetach ogłoszone) – na teren CIWF nie wpuszczono. Entuzjaści, jak entuzjaści, nawymyślali nieco, poklęli odrobinę i, rozmyślając nad figlarnym zarządzeniem poważnej »inwestycji«, szli sobie z powrotem spacerkiem 10 km w mglisty, listopadowy ziąb... A trybuny na pływalni mogły z powodzeniem pomieścić dwa razy tyle osób bez najmniejszego szwanku dla honorowiczów".

Dalej jest już bezlitosna krytyka: „Trybuny (trochę za daleko od wody), dobrze pomyślane, nie psujące ogólnej harmonii. Zgrabna trampolina i... pomyjowata, prawie czarna woda. »Efekt« ten osiągnięto, wykładając dno i ściany basenu ciemno-zielonymi płytami (żeby brudu nie było widać?!). Przy świetle elektrycznym (trochę za skąpym) płyty wydają się brudno-szaro-czarne, a woda, jak wyżej... Z wysokości trybun ciemny jej prostokąt (właśnie jedyne obskurne kolory w całej sali) zieje niechęcią i odpychającym zimnem".

Przez most w Zaleszczykach, ale w drugą stronę

Natura ciągnęła wilka do lasu i Kazimierz wiele razy wznawiał pływackie treningi. „Były mistrz Polski Kazimierz Bocheński zatęsknił widocznie do zawodów pływackich, bo trenuje znowu z dawno u niego niewidzianą zaciętością. Obserwujący Bocheńskiego w akcji twierdzą, że jest on zdolny powtórzyć swoje rekordowe wyniki" – relacjonował „Sport Wodny".

Jak piszą Stokłosa i Wójcik, na początku 1939 roku polscy piłkarze wodni wyjechali na obóz na Wyspę Małgorzaty, położoną na Dunaju na Węgrzech. Makowski wspominał, że był to czas beztroskiej zabawy, ale i życiowych wyników wielu członków AZS – także Bocheńskiego, który na 100 m stylem dowolnym uzyskał czas 59,4 s (lepszy od własnego oficjalnego rekordu Polski). „Ostatnie dni sierpnia 1939 r. Kazik Bocheński bierze udział w akademickich mistrzostwach świata w Monte Carlo i tam zastaje go wieść o wybuchu wojny. Sportowiec postanawia natychmiast wrócić do kraju – jest oficerem rezerwy" – relacjonują autorki „Sportowców dla Niepodległej".

W drodze powrotnej droga przez Niemcy była odcięta. Polskim sportowcom udało się dojechać do Polski przez Włochy, Jugosławię i Rumunię. Most w Zaleszczykach kojarzy się w polskiej historii ze smutnymi wspomnieniami ucieczek z Polski po przegranej kampanii wrześniowej. Tymczasem Bocheński przekroczył go... w druga stronę. Konkretnie 2 września, by przedostać się do swojego macierzystego 20. Pułku Piechoty Ziemi Krakowskiej. „Prawdopodobnie nie dotarły tam tragiczne wieści z Warszawy, gdzie podczas działań obronnych poległ jego brat Tadeusz, również pływak" – piszą Stokłosa i Wójcik.

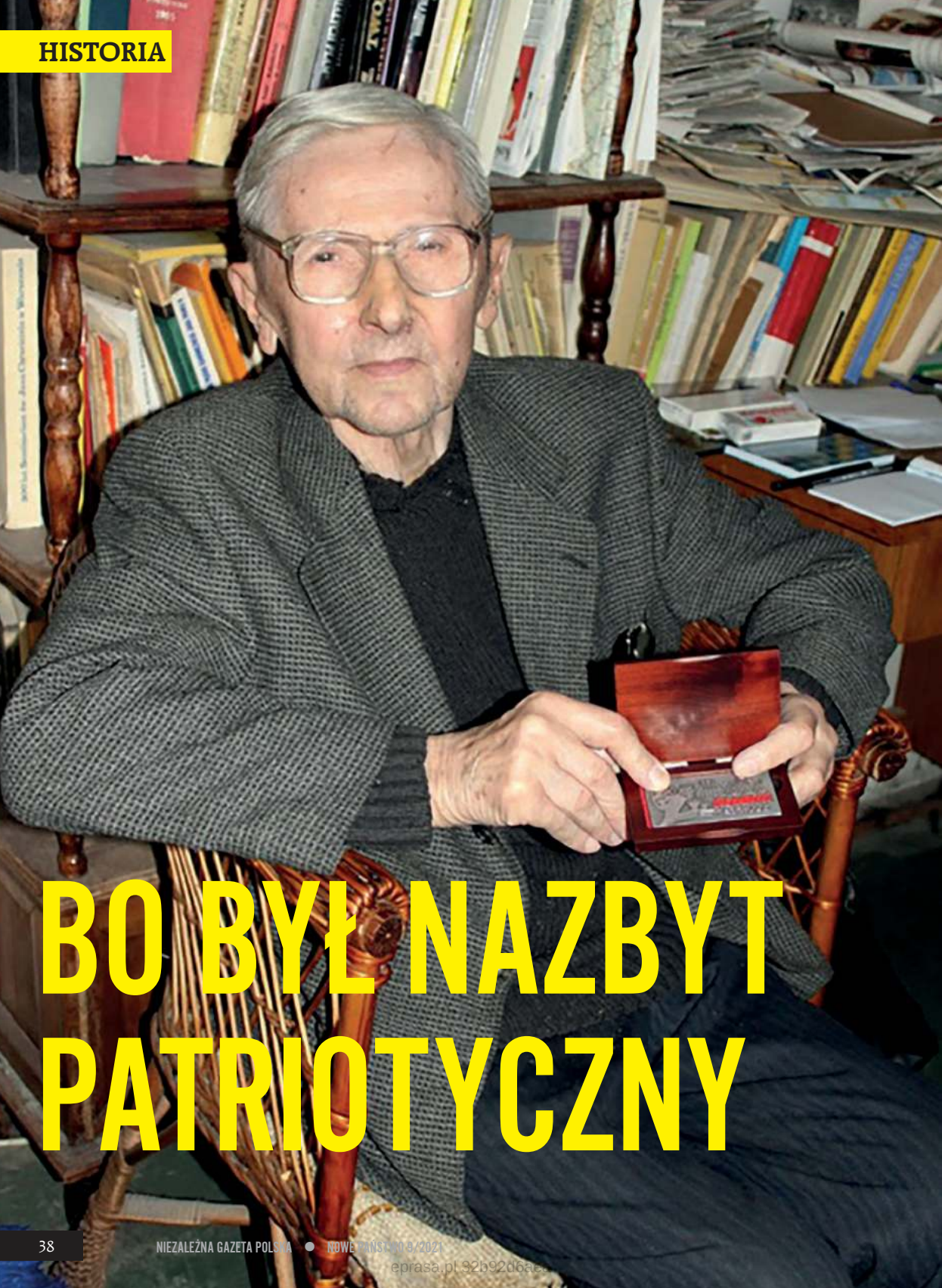
Nie wiemy nawet, gdzie go zamordowano

Jakie były losy Bocheńskiego po powrocie do kraju, nie wiemy. Jak relacjonują autorki, po wojnie w poszukiwaniach kolegi, na temat losów którego pojawiały się cytowane dezinformujące publikacje, nie ustawał wspomniany Tadeusz Makowski. Od jednego z oficerów dowiedział się on, że pod koniec września Kazimierz Bocheński przebywał pod Kowlem, będącym pod okupacją sowiecką. Informator Makowskiego zapamiętał, iż miał na sobie spodnie i buty oficerskie oraz zieloną bluzę z gryfem AZS na piersiach...

O pomoc Makowski zwrócił się do szwedzkiego Czerwonego Krzyża. Z odpowiedzi, którą uzyskał, wynikało, że Bocheński jest ofiarą zbrodni katyńskiej. Nazwisko Bocheńskiego znalazło się też na liście katyńskiej opublikowanej w emigracyjnym, londyńskim opracowaniu oraz książce Jędrzeja Tucholskiego „Mord w Katyniu". Nie ma go natomiast na drukowanych w tej samej książce cyrylicą sowieckich listach starobielskich. Dlaczego?

Portal Olimpijski.pl objaśnia: „Można przypuszczać, że Bocheński był w Starobielsku, ale czy został rozstrzelany wraz ze swymi towarzyszami niedoli w kwietniu lub maju 1940 w charkowskim gmachu NKWD, tego na pewno stwierdzić się nie da (stąd nazwisko najlepszego polskiego pływaka nie znalazło się w wydawnictwie Ośrodka KARTA pt. Rozstrzelani w Charkowie, gdzie znajduje się alfabetyczny spis 3739 jeńców polskich ze Starobielska rozstrzelanych w kwietniu – maju 1940). Może dopiero listy wywozowe NKWD ze Starobielska (jeszcze ich nie ujawniono) wyjaśnią tę sprawę. A może już nigdy nie dowiemy się całej prawdy o śmierci polskiego olimpijczyka" . Jego nazwisko odnajdujemy na tablica w bazylice św. Michała i św. Floriana w Warszawie, upamiętniającej polskich olimpijczyków pomordowanych przez NKWD. ■

eprasa.pl 32b92d6aea



BO BYŁ NAZBYT PATRIOTYCZNY

eprasa.pl 92b92d6ae

To, co może najgorszego spotkać twórcę, to zamilczenie. Na tę najbardziej bolesną karę został skazany Jerzy Narbutt. Nie był zdolny do jakichkolwiek ustępstw życiowych z tymi, którzy walczyli z religią, Kościołem katolickim, którzy sprzeniewierzali się suwerennej Polsce. Nadal jest nieznany szerszej opinii publicznej, nieobecny, czasami wspomni go garstka wtajemniczonych.

Dariusz Jarosiński



Dziesięć lat temu, 30 maja 2011 roku, zmarł Jerzy Narbutt. Pisarz, poeta, publicysta, obdarzony niezwykłym talentem i charakterem, co rzadko idzie w parze; który w opozycji do komunistów i komunizmu dzielnie trwał przez całe swoje życie. Nigdy swojej postawy nie zmienił. Jego antykomunizm wyrastał z głębokiej wiary katolickiej. Był solą w oku komunistów, ale jeszcze bardziej nie znosili go pisarze-przebierańcy, którzy uchodzili za opozycjonistów po latach służby w okresie stalinizmu, którzy po 1989 roku objęli rząd dusz w polskiej literaturze.

Żył nie w biedzie, lecz w nędzy, nie założył rodziny. Jakby mało było jego udręk, to od dziecka był schorowany. Bardzo cierpiał z tego powodu, że nie mógł walczyć w Powstaniu Warszawskim. Przyjaźnił się w czasie okupacji z uczestnikami konspiracji, żołnierzami, m.in. z Tadeuszem Zawadzkim „Zośką", Jankiem Bytnarem „Rudym".

Sam najlepiej opisał we fragmencie wiersza swój los: „Mam tylko gołe ciało moje i to życie w prawdzie / co nie ułatwia życia. To życie w prawdzie, / z którego się natrząsają, / szturchając się łokciami / i zwą mnie ironicznie: »Nasz książę niezłomny...«".

Życie w ukryciu

Jerzy Narbutt po 1945 roku ukrywał się pod zmienionym nazwiskiem przez sześć lat przed poborem do komunistycznego wojska. Bronił się przed złożeniem przysięgi na braterstwo z Armią Czerwoną. Komisja poborowa, mimo stwierdzonych chorób, wydała zaświadczenie, że jest zdolny do odbycia służby wojskowej. W marcu 1953 roku został aresztowany w Nowym Sączu i więziony przez kilka miesięcy w jednej celi z kryminalistami. Na szczęście wyszedł dzięki amnestii. Dzisiaj może się to komuś wydać dziwaczne, że człowiek przez sześć lat ukrywał się, skazał się na poniewierkę, głód i chłód, „tylko" dlatego, by nie służyć komunistom, by nie złożyć przysięgi okupantom sowieckim. Swoją decyzję o odmowie służenia w komunistycznej armii wyjaśniał bardzo prosto: „Od dzieciństwa żyłem w kulcie munduru. Ale munduru polskiego".

W 1956 roku zatrudnił się na Poczcie Głównej przy ulicy Nowogrodzkiej, tutaj sprzedawał w kiosku, pracował też „jako paker, czyli niższy funkcjonariusz pocztowy do pakowania paczek", jak sam o sobie pisał. „Udręczona Polska przewijała się przede mną – wspominał po latach – a ja pakowałem i słuchałem. [...] Najsmutniejsze były paczki dla więźniów politycznych – z odliczoną wagą, z imieniem ojca przy nazwisku więźnia – przynoszone przez załamane żony albo przez stare matki o zmęczonych oczach".

W latach 40., kiedy ukrywał się i nie mógł normalnym trybem rozpocząć studiów uniwersyteckich, został

FOT. ARCH.

eprasa.pl 32b92d6aea

wolnym słuchaczem Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Warszawskiego. Uczęszczał nieformalnie na wykłady prof. Władysława Tatarkiewicza. Na wykłady profesora – jak wspominał Jerzy Narbutt – „studenci przychodzili tłumnie, wielu stało pod ścianami, niektórzy siedzieli na oknach. [...] Był jak większość z nas załamany". W 1950 roku profesor został usunięty z uczelni, do czego przyczynił się paszkwil napisany przez jego seminarzystów komunistów, m.in. rodziców Agnieszki Holland, Leszka Kołakowskiego, który potrzebował kilkudziesięciu lat, by zrozumieć, czym jest komunizm. Po 1956 roku prof. Tatarkiewicz został przywrócony do pracy na uniwersytecie, a Jerzy Narbutt wrócił do swego nazwiska i brał udział w seminarium doktoranckim swego mistrza.

Znajomość z prof. Tatarkiewiczem przerodziła się z czasem w przyjaźń, taką, jaka była możliwa między mistrzem i jego uczniem. Jerzy Narbutt był dwukrotnym recenzentem książek profesora, m.in. słynnej książki „O szczęściu". Warto przy okazji wspomnieć, że profesor należał do grona nielicznych przyjaciół Narbutta wspierających go w biedzie, podrzucających mu na ulicę Chłodną jedzenie, pieniądze. Pomoc profesora tak wspominał: „Długo martwił się różnymi biedami mego życia. Chwaląc zaradność, krytykował mój brak stabilizacji materialnej. W końcu jednak powiedział: »No, tak – jeśli traktuje się życie służebnie, nie zawsze można myśleć o stabilizacji«".

Narbutt mieszkał w Warszawie w warunkach urągających godności człowieka do 1976 roku, kiedy, jak pisał, „nora na Chłodnej poszła wreszcie do rozbiórki i otrzymałem na Służewie lokal z centralnym ogrzewaniem, ciepłą wodą, łazienką i gazem". Niedożywienie, niezdrowe odżywianie się, złe warunki materialne sprawiły, że nękały go liczne choroby, m.in. gruźlica włóknista, chroniczny stan zapalenia jelit, a w ostatnich latach życia rozwinęła się białaczka.

Nie był swój

Do 1956 roku pisał jedynie do szuflady. Zadebiutował rok później, publikując na łamach „Tygodnika Powszechnego" opowiadanie. Narbutt jest autorem powieści „Ostatnia twarz portretu", kilku zbiorów opowiadań, paru tomów wierszy, licznych artykułów i esejów publikowanych na łamach prasy katolickiej. W Peerelu publikował w „Więzi", „W Drodze", w „Tygodniku Powszechnym".

W latach 70. Jerzy Narbutt zacieśnił przyjaźń ze Zbigniewem Herbertem. W dziesiątą rocznicę śmierci autora „Pana Cogito", w 2008 roku, tak wspominał swego przyjaciela w rozmowie z Piotrem Czartoryskim-Szilerem: „Poznałem Zbyszka Herberta na wykładach z logiki, na które przeważnie się spóźniał. Nieraz spotykaliśmy się w barze mlecznym w pobliżu placu Konstytucji w Warszawie, bo tylko na bar mleczny było nas wtedy stać. Częściej spotykaliśmy się w tzw. Domu Pracy Twórczej w Oborach pod Warszawą. Było to nieprzyjemne miejsce, ponieważ widziało się tam mniej zajęć twórczych, a więcej sitwowego syczenia środowisk giełdy literackiej. Ze zdziwieniem obserwowałem nawet tolerancję Herberta, który pozwalał, aby go otaczało takie towarzystwo. Ale to był jeszcze ten wczesny – że tak powiem – Herbert, już po powrocie do kraju, bo był długo za granicą, a jeszcze przed wybuchem szczerości w »Hańbie domowej« Jacka Trznadla. [...] Po »Hańbie domowej« sitwa naturalnie odwróciła się od niego. Wiadomo, była to zemsta za prawdę. [...] był tej samej myśli, tych samych poglądów i żyliśmy w tej samej sytuacji. On w biedzie i ja w biedzie, bo wiedzieliśmy, za co płacimy: płacimy za niezależność!".

W grudniu 1975 roku Narbutt podpisał List 59 przeciwko zapowiadanym zmianom w Konstytucji PRL, zwłaszcza wpisaniu do niej kierowniczej roli Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i wieczystego sojuszu ze Związkiem Sowieckim. Wkrótce potem został objęty cenzorskim zakazem druku, publikował więc w pismach drugiego obiegu – w „Zapisie", „Opinii", „Spotkaniach". Wiktor Woroszylski odmówił druku fragmentu jego powieści „Druga twarz portretu" w „Zapisie". Były stalinowiec zarzucał powieści „nadmierny patriotyzm". Książka ukazała się w 1981 roku w drugim obiegu, ponowne jej wydanie, jak dotychczas ostatnie, miało miejsce w 2002 roku, w życzliwym pisarzowi katowickim wydawnictwie „Unia" Jerzego Skwary.

Parę dni po podpisaniu Listu 59 założono przeciw niemu sprawę operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Apostoł", podejmując działania, których celem było skompromitowanie go w środowisku literackim i opozycyjnym. SB blokowała wydawanie jego publikacji, uniemożliwiała odbywanie spotkań autorskich, kontrolowała korespondencję. Ważnym narzędziem bezpieki wykorzystywanym w inwigilacji pisarza byli tajni współpracownicy. Wśród nich TW „Orłowski" – Andrzej Zaniewski, pisarz, odznaczany w III RP, a także osoby ukryte za pseudonimami „Liza", „Adam", „Janina".

„Giełda literacka – pisał Jerzy Narbutt – nigdy mnie nie rozpieszczała. Wszystko, co napisałem i wydałem, zostało życzliwie przemilczane. [...] Kręgi opozycyjne nie krytykowały moich utworów, ale właśnie życzliwie je przemilczały. Cóż – nie byłem swój. Gorzej: atakowałem sitwowość i kosmopolityzm. Najgorsze: wykazywałem hucpowatość sitwy. Rezultat? Nie istniałem. I nie istnieję dotychczas. Sitwa zna bowiem tylko jedno kryterium estetyczne: swój czy nie swój? Jak swój, to choćby był żałosnym grafomanem, będzie miał nagłośnione nazwisko. »Taki pejzaż« – jak śpiewa Ewa Demarczyk".

„Wrócimy, w mundurze czy bez"

„Druga twarz portretu" to z całą pewnością jedna z najważniejszych polskich powieści. Próżno by szukać

eprasa.pl 32b92d6aea

jej recenzji. To pożegnanie ze światem II Rzeczypospolitej, światem, który był polski, bliski, bezpieczny, choć nie zawsze idealny. Książka arcypolska, tylko pisarz o duszy czystej jak łza mógł ją napisać. Okupacja niemiecka i sowiecka obróciły ten świat w perzynę – w Warszawie, w miastach na Kresach Wschodnich, w Krakowie, gdzieś na prowincji. Wątki w powieści mieszają się – łączy je podobny nastrój, atmosfera narastającego tragizmu. Autor zdecydował się na kilku wybranych postaciach, ich przeżyciach, wzajemnych relacjach, pokazać polski los, który sprowadza się do nieustającej walki o niepodległość, tożsamość.

Świetnie napisana jest scena z udziałem Ignacego Mościckiego, prezydenta II RP, marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza, naczelnego wodza Polskich Sił Zbrojnych, płk. Józefa Becka, tuż przed przekroczeniem granicy Polski we wrześniu 1939 roku. Słowa prezydenta Mościckiego należałoby po wielekroć przypominać jak mantrę rodzimym komunistom: „Wiedzieliśmy dobrze o tym, o czym nie lubią słuchać polscy komuniści, że gestapo podaje ręce oprawcom Stalina z NKWD, a komunizm w najlepsze współdziała z faszyzmem, oba złączone nienawiścią do demokracji".

Różnie można odczytywać końcową scenę powieści palenia polskiego munduru oficerskiego. Kobieta boi się, że za chwilę wejdą do domu bolszewicy, prosi oficera, by spalił swój mundur leżący na łóżku. On już nie broni się, wygląda co chwila przez okno na szalejącą śnieżycę, zamieć i sunące w tumanach śniegu sowieckie czołgi. Kobieta tnie nożycami mundur, szarpie go i wrzuca do pieca. Mężczyzna nie jest w stanie odpowiedzieć kobiecie na pytanie „co dalej?". Sam sobie przyrzeka, że kiedyś tutaj „wrócimy, w mundurze czy bez, wrócimy". I wychodzi z domu „wprost w zamieć". Jest w tej scenie coś z teatrum, bo trudno sobie w rzeczywistości ją wyobrazić. Spalenie munduru mogło oznaczać przejście do konspiracji, odwiecznego oporu Polaków wobec okupantów, który mamy w genach. Sądzę, że powieść „Druga twarz portretu" mogłaby zostać zaadaptowania na deski teatru, oczywiście nie tylko z powodu tej ostatniej sceny. To jest jedna z najlepiej napisanych powieści w naszej literaturze o Polsce, o naszej historii, o naszych wyborach moralnych. Ten, kto nie rozumie tej nieodległej historii, ten nie zrozumie teraźniejszości.

On, potomek legendarnego dowódcy powstania styczniowego, Ludwika Narbutta, potrafił odczytywać znaki historii: „Jak się to wszystko powtarza, znowu nas, lesie, wchłaniasz, znowu chronisz, kryjesz, idziemy nie wiedząc o tym, że po tropach dziadów, stopy nie wiedząc, nie czując, trafiają w ślady ich stóp zarośnięte trawą i mchem, przymierzamy do nich nasze buty, pytamy samych siebie, czy my gorsi, czy tylko od nich słabsi, czy będziemy umieli tak wytrwale, jak oni?".

Poeta, ksiądz Janusz St. Pasierb, jesienią 1981 roku przesłał list do autora: „Drogi Panie Jerzy, bardzo serdecznie dziękuję za »Ostatnią twarz portretu« – czytając ją, myślałem co chwila: cóż to za świetna proza! Aż się dziwię, że się Panu chce czasem pisać wiersze, bo ja uważam, że dobra proza jest trudniejsza, mimo wszystko. Gratuluję gorąco tej książki – jest tu siła ewokacji, klimat, nastrój – a pozatem »wymierzanie sprawiedliwości« czasowi tak strasznie sfałszowanemu. Ale przede wszystkim jest w tym nuta osobista, przeżyta, poświadczona, to daje książce przeszywającą lirykę. Bardzo raz jeszcze dziękuję. Pozdrawiam serdecznie, J. St. Pasierb".

Marzeniem pisarza było: „Powrócić w Polskę [...] wolną niemal do szaleństwa, lecz przed szaleństwem uciekającą w ład, w Polskę silną dla wrogów, a słabą dla dobrych, w Polskę bez krzywd, bez ścian mających uszy, bez rosyjskich i niemieckich szpiclów, z nocą spokojną dla wszystkich [...]".

Jak mało który pisarz rozumiał polską duszę Polaka patrioty i zdrajcy: „Najpierw nas pewnie oplują, a potem nas wykpią. Kpina najlepiej zamazuje wyrządzoną krzywdę".

▶ Ukradziona rewolucja

Powstanie Warszawskie i ruch narodowy „Solidarności" należały do najważniejszych doświadczeń biograficznych Jerzego Narbutta. Z powodu choroby nie mógł wziąć udziału w walce z bronią w ręku w Powstaniu Warszawskim. „Owszem, przeżyłem początkowy entuzjazm Powstania oraz późniejsze jego piekło przez całe 63 dni, ale wyłącznie jako cywil" – pisał we wspomnieniach. Zawsze bronił politycznej zasadności wybuchu Powstania. Złożył zobowiązanie dać świadectwo o tych, którzy zginęli w walce: „Jestem [...] szczęśliwy, ilekroć mogę – w tym, co piszę – sławić męstwo tych, którzy walczyli, i ofiarność tych, którzy zginęli. Ktoś mi kiedyś powiedział: »My nie przeżyjemy, ty przeżyjesz i wtedy obowiązek warty spadnie na takich zdechlaków jak ty«. Jedno wiem: nie jestem godzien tej zaszczytnej warty".

Przytoczmy w tym miejscu wiersz Jerzego Narbutta „Pomnik Powstania Warszawskiego":

Zostanie po nas miasto gruzów
i barykada z naszych ciał,
zostanie po nas kpina głupców,
płacz matek i litania skarg
i pozostanie niepodległa
miłość wolności – i ta jedna
urośnie w pomnik – krzyk kamienny,
co zerwie naród, aby wstał
i by zrozumiał jaki cenny
był nasz rozumny szał.

eprasa.pl 32b92d6aea

Ruch „Solidarności" uważał Narbutt za kolejny etap realizacji polskich dążeń niepodległościowych. Z nadzieją obserwował, jak w uśpionym przez komunistów polskim narodzie budził się duch wolności, niepodległości. Dostrzegał w tym palec Boży, modlitwę ojca świętego Jana Pawła II.

W listopadzie 1980 roku, by wesprzeć duchowo strajkujących w „Ursusie" w obronie aresztowanego Jana Narożniaka, napisał wiersz „Solidarni", który z muzyką Stanisława Markowskiego stał się z czasem hymnem NSZZ „Solidarność". „Solidarni, nasz jest ten dzień, / A jutro jest nieznane, / Lecz żyjmy tak, jak gdyby nasz był wiek; / Pod wolny kraj spokojnie kładź fundament. / A jeśli ktoś nasz polski dom zapali, / To każdy z nas gotowy musi być, / Bo lepiej byśmy stojąc umierali, / Niż mamy klęcząc na kolanach żyć".

Po raz pierwszy pieśń została wykonana 31 stycznia 1981 roku w Krakowie na koncercie zorganizowanym dla uczczenia rocznicy wybuchu powstania styczniowego. Na marginesie warto wspomnieć, że Jackowi Kuroniowi nie podobały się ani tekst, ani muzyka – uważał, że pieśń jest „zbyt bojowa". Pieśń tę śpiewali działacze „Solidarności" w okresie stanu wojennego w więzieniach, w obozach internowania, na manifestacjach. 2 grudnia 2000 roku podczas 13. Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność" w Spale pieśń została oficjalnie uznana za hymn związku.

Po wprowadzeniu stanu wojennego Jerzy Narbutt ukrywał się m.in. w szpitalu psychiatrycznym, u przyjaciół, a dzięki ojcu Pacyfikowi Dydyczowi, ówczesnemu prowincjałowi kapucyńskiemu w Warszawie, w klasztorach kapucyńskich w Serpelicach nad Bugiem i Lubartowie koło Lublina. Przebrany w zakonny habit, jako brat Jerzy, wyjeżdżał do Lublina, gdzie organizował wieczory patriotyczno-historyczne z udziałem sprowadzanych z Warszawy artystów Ewy Smolińskiej i Jerzego Zelnika. Jednak niebawem bezpieka uniemożliwiła mu kontynuowanie tej działalności. Do gwardiana klasztoru kapucynów na Krakowskim Przedmieściu przyszli esbecy i oznajmili: „Wszystko dobrze, tylko niech nie mówi do studentów ten brat Jerzy". W latach 1981–1985 pisarz był inwigilowany przez SB w ramach TEOK (Teczka Ewidencji Operacyjnej Księdza), zakładanych rutynowo wobec każdej osoby duchownej, a za taką uważany był wówczas Jerzy Narbutt. Oficer Służby Bezpieczeństwa notował, że „nie jest poważnie traktowany przez osoby związane z grupami antysocjalistycznymi z uwagi na jego zasklepienie się – obsesji antykomunistycznej i nieliczenie się z realiami życia w Polsce".

Z okazji 25-lecia „Solidarności" Jerzy Narbutt pisał z goryczą, że dokonano wielkiego oszustwa – ukradziono nam rewolucję „Solidarności", uniemożliwiono realizację celów: „Kosmopolici z KOR-u, którzy do Solidarności wdarli się bocznymi drzwiami, zwekslowali spontaniczny wehikuł historii na boczny tor własnych, ciemnych interesów".

▶ Nie dajmy się nabrać intelektualnym szalbierzom

Jerzy Narbutt należał do pierwszego pokolenia urodzonego i wychowanego w odrodzonej Polsce – urodził się w 1925 roku w Warszawie i tutaj spędził całe swoje życie. Jego świadomość silnie związana była jednak z zabranymi Kresami Wschodnimi, skąd pochodziła jego ziemiańska rodzina, zarówno po mieczu, jak i po kądzieli. Rodzina ojca posiadała ongiś majątki na Kresach I Rzeczypospolitej, które utraciła po pokoju ryskim z bolszewikami, również rodzina po kądzieli matki, Stanisławy Glińskiej, rodziny książęcej, pochodziła z Kresów. Dziadek pisarza, Ferdynand Narbutt, właściciel majątku Szyrwinty na Litwie Kowieńskiej, walczył w oddziale swojego brata Ludwika, jednego z przywódców powstania styczniowego na Litwie. Legendarny powstaniec, Ludwik Narbutt, poległ 4 maja 1863 roku w walce z wojskami rosyjskimi pod Dubiczami.

Ojciec pisarza, Antoni Narbutt, do czasu wybuchu I wojny światowej pełnił funkcję redaktora naczelnego „Tygodnika Wileńskiego", pisma założonego w 1815 roku, którego pierwszym redaktorem naczelnym był Joachim Lelewel, profesor Uniwersytetu Wileńskiego. Na łamach tego pisma debiutował Adam Mickiewicz wierszem „Zima miejska" (1818).

Jerzy miał dwóch braci, obaj wzięli czynny udział w wojnie. Starszy, Olgierd „Tyber", walczył dzielnie w Powstaniu Warszawskim, broniąc powstańczej barykady, młodszy, Witold „Winart", był żołnierzem Okręgu Wileńskiego AK, został wywieziony do obozu w Kazachstanie.

Po roku 1989 Jerzy Narbutt zaniechał pisania wierszy, prozy, a zajął się publicystyką, w której przywracał właściwy porządek rzeczy. Zasady moralne, obyczajowe stawiał zawsze na pierwszym miejscu. Jego teksty ukazywały się m.in. w tygodniku katolickim „Ład", w krakowskich „Arcanach", w „Tygodniku Solidarność".

„Narbutt jest w zasadzie pisarzem nieobecnym w podręcznikach historii polskiej literatury powojennej – pisał prof. Maciej Urbanowski, historyk literatury – a ze swą publicystyką z okresu III RP stał się wręcz persona non grata, bo nie dość, że antykomunista, to jeszcze katolik".

Jerzy Narbutt doczekał się wielu określeń ze strony ludzi pióra myślących równie niezależnie jak on sam. Świętej pamięci Piotr Skórzyński nazwał go „partyzantem prawdy", Jerzy Biernacki „Wielkim Zamilczanym", a Waldemar Łysiak w VI tomie „Malarstwa białego człowieka" napisał o nim jako o „największym żyjącym polskim myślicielu". Waldemar Łysiak w książce „Rzeczpospolita

eprasa.pl 32b92d6aea

kłamców. Salon" przytoczył kilka fragmentów artykułów Narbutta. Nie straciły one nic na aktualności, bo komunizm nadal jest groźny, a nawet groźniejszy niż 20 lat temu, szczególne spustoszenie sieje w umysłach i duszach (o ile jeszcze je mają) młodych ludzi.

Narbutt nigdy nie kalkulował, czy coś mu się opłaca napisać, czy nie opłaca. Pamiętam, jaki podniósł się raban, kiedy w „Tygodniku Solidarność" w 2004 roku po śmierci Czesława Miłosza ośmielił się wykazać „niestosowność ufetowania poety pochówkiem na Skałce". Co to się działo! Był to ostatni zresztą tekst pisarza na łamach Tysola.

Narbutt nie zawahał się, żeby wytknąć miałkość intelektualną księciu Jerzemu Giedroyciowi, uważanemu w III RP za guru, mentora, do którego pielgrzymowała polska pseudoelita. Nazwał twórcę „Kultury" samozwańczym „ojcem ojczyzny". Pisał wówczas: „Zarzuca nam ślepotę, gdy tymczasem sam jest ślepy [...] tonący w mgłach swoich niedowarzonych pomysłów [...]. Przerażające: ten człowiek tkwi cały w mglistych fikcjach swego umysłu i zupełnie ich nie rewiduje z rzeczywistym stanem rzeczy. Jego osławiona ost-politik, jaką wykombinował w zaciszu swego gabinetu (a potem zaraził nią elity polityczne kraju, czytające »Kulturę« z nabożeństwem zupełnie bezkrytycznym), opierała się na założeniu, że rozkładu rosyjskiego imperium nie ma się co spodziewać [...]".

Giedroyc na łamach „Kultury" czynił przygotowania do Okrągłego Stołu, torował drogę komunistom i komunizującej opozycji do przejęcia władzy w Polsce. Niedawno zmarł jeden ze współpracowników „Kultury" Giedroycia, Stefan Michnik, piszący pod pseudonimem Karol Szwedowicz.

W 1995 roku przetoczyła się na łamach krakowskich „Arcanów" dyskusja na temat „Tygodnika Powszechnego". Jerzy Narbutt też zabrał głos. Mimo że w roku 1957 debiutował na jego łamach, to już w trakcie współpracy nie ukrywał swego negatywnego stosunku do pisma, szczególnie bolały go ataki Jerzego Turowicza i Stanisława Stommy na prymasa Polski Stefana Wyszyńskiego, lekceważenie Kościoła ludowego. „Sitwa »Tygodnika Powszechnego«, z którą związałem się od roku 1957, poznawszy moje poglądy, drukowała mnie coraz rzadziej i niechętnie" – pisał w „Wyrzuconym na brzeg życia".

Swój artykuł w „Arcanach" zatytułował „Przeciw »Turowiczowi Powszechnemu«". Przypomniał, czy raczej wypomniał m.in. paskudny tekst zamieszczony w „TP" Jana Błońskiego „Biedni Polacy patrzą na getto", imputując Polakom bierność w obliczu płonącego getta Warszawy. Nietrudno było dostrzec coraz bardziej wyraźną symbiozę poglądów „Tygodnika" z „Gazetą Wyborczą". Pisarz dowodził, że redakcja „Tygodnika" oderwała się od tego, czym żył naród. Jego zdaniem było to oderwanie „świadome i programowe". I dalej dowodził: „A chodziło (przepraszam za neologizm) o zlewicowanie katolicyzmu inteligencji polskiej i o odpatriotyzowanie Polaków, czyli sprawienie, by myśleli o sobie nie w kategorii narodu, lecz społeczeństwa (oczywiście obywatelskiego). Chodziło o wychowywanie Polaków, wstępem zaś do tego miało być wpojenie im kompleksu win i niższości oraz przekonanie ich, że samobiczowanie (za winy popełnione, niepopełnione, pomyślane, podejrzewane, imputowane itd.) jest najwyższym stopniem krytycznej samoświadomości".

Jerzy Narbutt był niezwykle wyczulony na pomysły lewackich intelektualistów europejskich, którzy postawili sobie za cel stworzenie federacji państw w Europie. Już w 1990 roku ostrzegał, że czeka nas gorszy koszmar od komunizmu. Europejska lewica zwalczała patriotyzm, państwa narodowe, wizję Europy ojczyzn. Pisał: „Nie dajmy się nabrać intelektualnym szalbierzom". „Jeśli przegapimy tę sprawę – bardzo łatwo ze zrealizowanego koszmaru »Folwarku zwierzęcego« Orwella przejdziemy do koszmarnej realizacji »Nowego, wspaniałego świata« Huxleya. Nie zapominajmy: intelektualiści nie śpią, a technokraci są bezmyślni".

***

Chwała tym wszystkim, którzy pomagali w biedzie Jerzemu Narbuttowi. Z inicjatywy Kongresu Polonii Kanadyjskiej i osobiście Winicjusza Gureckiego, działacza „Solidarności", i po interwencji prezydenta prof. Lecha Kaczyńskiego, została przyznana pisarzowi skromna emerytura specjalna z puli ówczesnego premiera Jarosława Kaczyńskiego. W czerwcu 2006 roku prezydent Lech Kaczyński udekorował Jerzego Narbutta Komandorią Orderu Odrodzenia Polski.

„W ostatnich latach pisarz mocno już chorował. Niezwykle skromny, cichy, za Herbertem, z którym się przyjaźnili, mówił o sobie, że jest melomanem ciszy. Unikał wyjazdów, nie przyjmował gości, sam już prawie nie opuszczał mieszkania na Wierzbnie. Był człowiekiem dyskretnym, dalekim od wylewności. Mimo że przez kilka ostatnich lat sprawowałem nad nim po trosze opiekę, wożąc go do lekarzy, do szpitali, na nocne dyżury, to o pewnych ważnych aspektach jego życia dowiaduję się dopiero teraz, po śmierci pisarza" – wspominał przyjaciel, dziennikarz Jerzy Biernacki.

Należało go zamilczeć, bo był nazbyt patriotyczny. ■

_____

Bibliografia:
Jerzy Narbutt, „Wyrzucony na brzeg życia", Wydawnictwo Unia Katowice, 2005 (większość cytatów pochodzi z tej książki); tenże, „Druga twarz portretu", Unia Katowice, 2002; Wojciech Marczak, „Jerzego Narbutta portret własny", miesięcznik „Debata" nr 57, 58, 59 (2012).

eprasa.pl 32b92d6aea



Agnieszka Kowalczyk

NIENASYCONA ŚWIATA, KLĘSKĄ PORAŻONA

eprasa.pl 32b92d6aea

Żyjąca na przełomie XIX i XX wieku Maria Czaplicka – badaczka ludów Syberii i zapalona podróżniczka – była „córką swoich czasów i swojej nauki, w dobrym i złym", jak pisała autorka jej biografii. Jej wielkie zainteresowanie antropologią, etnografią i socjologią sprawiło, że już we wczesnej młodości wzięła udział w wyprawie naukowej nad Don i na Kaukaz, ale prawdziwą sławą okryła się jako organizatorka ekspedycji badawczej na Syberię.

Maria Czaplicka wyróżniała się imponującą wiedzą etnograficzną, a równocześnie nieprzepartą chęcią dotarcia do tego, co w sferze jej zainteresowań było fascynujące, a zarazem nieodkryte. Była pierwszą kobietą, która wykładała antropologię na uniwersytecie w Oksfordzie i jedną z pierwszych na świecie, która otrzymała doktorat w tej dziedzinie.

Głodna wiedzy wyrusza w świat

Urodziła się w 1884 roku na Starej Pradze w Warszawie. Tam też chodziła do gimnazjum Anny Jesieńskiej, a potem przygotowywała się do zawodu nauczycielskiego, podejmując studia przyrodoznawcze w Towarzystwie Kursów Przyrodniczo-Matematycznych. Mistrzem Marii stał się wówczas słynny geograf i pedagog Wacław Nałkowski, który jako jeden z pierwszych dostrzegł „jej przenikliwość i intelektualne nienasycenie" oraz zachęcił ją do realizowania własnych ambicji naukowych. Niezwykła determinacja w osiąganiu zamierzonych celów sprawiła, że podjąwszy pracę na Uniwersytecie dla Wszystkich, a potem w Towarzystwie Kultury Polskiej, „z uporem skorpiona" prowadziła wykłady z socjologii i antropologii społecznej, wygłaszała odczyty, przygotowywała tablice statystyczne zestawiające cechy kulturowe Polaków i przedstawicieli innych nacji. Obdarzona równocześnie talentem literackim pisała wiersze i pracowała nad powieścią dla młodzieży „Olek Niedziela". Wszystko to czyniła w zwrotnym tempie, tak że na skutek przemęczenia opadła z sił i zmuszona była wyjechać do Zakopanego. Regeneracja psychicznego i fizycznego zdrowia nastąpiła nadspodziewanie szybko, być może dlatego, że Maria nie zwracała uwagi na potrzeby swojego ciała, ignorując i zmuszając je do sportowych wyczynów na zaśnieżonych, tatrzańskich stokach.

Prawdziwą radość przyniosło Marii przyznanie prestiżowego Stypendium Kasy imienia Józefa Mianowskiego. Dzięki niemu wyruszyła do Anglii, by studiować antropologię w słynnej London School of Economics nad Political, stanowiącej wówczas część Uniwersytetu Londyńskiego. W listopadzie 1910 roku stolica Wielkiej Brytanii rozświetlona już była neonami, a panna Czaplicka rozpromieniona uczuciem szczęścia i spełnienia. Od razu też rzuciła się w wir życia uczelni – pochłaniały ją wykłady, dyskusje, żywa wymiana myśli z ludźmi o tych samych zainteresowaniach. Jej starania o przyjęcie na roczny kurs antropologii do Oksfordu zwieńczone zostały sukcesem, a profesor Robert Marett powierzył jej napisanie pracy o stanie badań na temat ludów Syberii w oparciu o źródła rosyjskich uczonych i polskich zesłańców. I tak w 1914 roku powstała jej pierwsza poważna rozprawa naukowa „Aboriginal Siberia. A Study in Social Antropology", opublikowana w ramach międzynarodo-

FOT. ARCH.

eprasa.pl 32b92d6aea

wego projektu badań nad ludami kręgu polarnego. Była też aktywnym członkiem Brytyjskiego Towarzystwa Popierania Wiedzy, prezentowała swe badania w Królewskim Instytucie Antropologicznym, występowała z odczytami w Towarzystwie Folklorystycznym. Praca naukowa uskrzydlała ją, motywowała do kolejnych działań.

Na ziemi Samojedów, Tunguzów i Jakutów

Jej prawdziwy tryumf nastąpił jednak dopiero z chwilą, gdy otrzymała grant od Uniwersyteckiego Komitetu Antropologicznego, co pozwoliło jej wyruszyć na Syberię, by poznać najmniej dotąd zbadane ludy dalekiej Północy. Od razu wzięła na siebie organizację całej ekspedycji. W ważnych kwestiach postanowiła radzić się największych sław naukowych – Lwa Szternberga i Waldemara Jochelsona, polskiego zesłańca i etnografa Bronisława Piłsudskiego, a także doktora Fridtjofa Nansena – wytrawnego znawcy obszarów polarnych. Miała świadomość, że jest pierwszą badaczką wyruszającą na Syberię, która z perspektywy ogrodów Oksfordu i brytyjskich bibliotek jawi się jako nieodkryta dotąd Atlantyda Północy. Marię pociągało w tym najzimniejszym ze światów wszystko – nieznane ludy, ich obyczajowość, życie codzienne, wierzenia, sposób pojmowania świata, a więc to, co stanowi esencję życia badanego obszaru i fascynuje antropologa.

W wyprawie towarzyszyli jej ornitolożka Maud Haviland, malarka Dora Curtis i Amerykanin Henry Hall – student antropologii, którego zadaniem było gromadzenie eksponatów dla Uniwersyteckiego Muzeum w Pensylwanii. Dołączyli oni do Marii w Moskwie, skąd wszyscy razem wyruszyli Koleją Transsyberyjską do Krasnojarska w południowo-środkowej Syberii nad Jenisejem. W tym osiemdziesięciotysięcznym mieście, leżącym pomiędzy wielkim pasem lasu syberyjskiego i bezkresną stepową krainą, na młodych uczonych czekał już parowiec „Orion". Przez kolejne trzy tygodnie pruł on uparcie wody Jeniseju, pozwalając podziwiać pasażerom Wielki Gościniec Syberyjski z ciągnącymi się malowniczą wstęgą stepami, wzniesieniami, bagnami i rozsianymi tu i ówdzie siołami. Tajga przechodziła powoli w kamienistą tundrę...

Torując sobie drogę przez kry lodowe, dopłynęli do Golczychy położonej w krainie wichrów, w niedalekiej odległości od ujścia Jeniseju do Oceanu Arktycznego. Byli więc już na ziemi Samojedów, Juraków, Dolganów, zajętych tu letnim połowem ryb. Ich kwaterą stała się dwuizbowa, drewniana chata wybudowana jako bania (sauna) dla załogi małego parowca. Miejsce to stało się „domem otwartym" dla tubylców, którzy mogli przychodzić do nich w gościnę, a oni z kolei, jak to tylko było możliwe, przebywali w ich czumach (namiotach), wędrowali wzdłuż rzeki albo też zapuszczali się w głąb tundry, która wkrótce wybuchła wiosenną zielonością. Podczas gdy Maud Haviland zgłębiała życie syberyjskich ptaków, a Dora Curtis zabrała się do portretowania tubylców, Maria próbowała zbliżyć się do ludów Syberii.

Wiele uczyła się od Jakutów, Tunguzów i Samojedów, kierując się ich „mądrością okupioną ciężkimi doświadczeniami wielu pokoleń w surowej walce o przetrwanie na przekór siłom nieubłaganie wrogim ludzkiemu życiu". Próbowała żyć tak samo jak ludzie znad Jeniseju. Spała więc pod wielkimi, włochatymi skórami owczymi, nosiła barnaulską szubę (kożuch z owczej skóry) – ciężką, smrodliwą i niezgrabą. Mimo to Maria kochała swą szubę i nigdy się z nią nie rozstawała, w szczególności zaś w największe mrozy. Gdy przyszło jej spędzić zimę między Jenisejem a Leną, a termometry wskazywały prawie minus 70 stopni Celsjusza, usłyszała radę tubylców: „Jedz obficie, śmiej się dużo", mających na względzie zachowanie zarówno fizycznej, jak i duchowej temperatury. Dlatego tak często można było zobaczyć badaczkę, jak pędzi w lekkich i niskich saniach, półleżąc, z nogami, które wkłada do specjalnego worka z psiej sierści i wciąga nań dwie pary skórzanych, pokrytych włosiem butów.

Wyprawy po kości

W oczach miejscowej ludności każdy z członków ekspedycji wyróżniał się czymś, od czego brał swój przydomek – panna Haviland, nieruszająca się nigdzie bez strzelby, została nazwana „chłopcem", panna Curtis wiecznie z ołówkiem w ręku – „piszącą kobietą", Hall po prostu „mężczyzną", a Maria – „uzdrowicielką", bo zupełnie tak jak miejscowa szamanka leczyła chorych medykamentami ze swej nieodłącznej apteczki „Borroughs Wellcome". Przez cały ten czas nie ustawała w badaniach naukowych, gromadziła bezcenną wiedzę na temat antropologii społecznej Samojedów, z zapartym tchem słuchała ich legend, spisywała każde ich słowo w swym kajecie, przygotowywała nawet słownik języka samojedzkiego, nie mówiąc o zbieraniu unikalnych eksponatów ze skóry i metalu. Wraz z Hallem przeprowadziła pomiary antropometryczne ponad stu mężczyzn i kobiet samojedzkich.

Marię pociągał tak świat żywych, jak i umarłych. Dlatego też zapuszczała się na wzgórza za Gorczychą, by w tajemnicy przed miejscowymi badać stare groby Samojedów i Juraków, ich wiek, położenie i ludzkie szczątki. Starała się, by nikt z tubylców jej nie zauważył, bo inaczej zostałaby wyklęta i wypędzona z tej ziemi. Gdy któregoś razu, w wyłącznie naukowych celach, gotowała w garnku przed chatą kości z samojedzkiego grobu, by je w ten sposób oczyścić, nagle usłyszała przeraźliwy, a zarazem ostrzegawczy głos panny Curtis: „A niech to,

eprasa.pl 32b92d6aea

przykryjcie garnek! Idzie Tilka. Na miłość boską, niech nie widzi, że robicie zupę na kościach jego babci!".

Maria, zdobywczyni i wojowniczka ze swej natury, uznała za konieczne wyprawienie się po kości mamuta, które znajdowały się ponoć w głębi tundry, na jednej z wysp u ujścia Jeniseju. Wraz z miejscowym przewodnikiem wiele godzin przedzierała się przez największą dzicz – „przy każdym kroku jedna noga ląduje na kępie ostrej, szorstkiej trawy tundrowej, a druga grzęźnie w błocie lub obiema wpada się przynajmniej po kostki w bagno albo brodzi się po kolana w ciemnej czerwonawo-brązowej wodzie". Dopiero po zachodzie słońca dotarli do wąwozu w pobliżu źródeł Miezienkiny, gdzie rozkopawszy ziemię kilofem, odnaleźli w jej trzewiach archeologiczny skarb – cztery kupki połamanych i potrzaskanych kości mamuta, w tym jego nogi w dwóch częściach i jeden ogromny, trzykilogramowy ząb.

Badając ludy Północy, wśród których teraz żyła, patrzyła z uznaniem na wypracowaną przez nie sztukę przetrwania w ekstremalnych warunkach. Tak więc najstarsi w Arktyce Samojedzi byli według niej najbardziej wykwalifikowanymi hodowcami reniferów i najlepszymi łowcami groźnego niedźwiedzia polarnego. Mieszkali w namiotach i potrafili się obejść bez drewna na opał, tytoniu i herbaty. Tunguzi natomiast – najliczniejsze i najbardziej ekspansywne plemię północnej Azji – utożsamiani byli często z Mongołami, choć tylko niektórzy z nich ulegli mongolizacji. Najpóźniej dotarli na daleką Północ Jakuci, którzy nie mogli się obejść bez zapasu sera z mlekiem klaczy i końskich włosów do wyrobu sieci. Wszystkie zaś te ludy łączyło to, że ich przedstawiciele byli wędrowcami, hodowcami reniferów, rybakami i myśliwymi.

Klątwa szamana

Charakter syberyjskiej natury – dzikość jej bagien, „okrytych milczącym śniegiem śmierci", lodowate wiatry i zapadająca na długie tygodnie złowieszcza ciemność – sprzyjał rozwojowi szamanizmu jako religii tubylczej. Szaman to człowiek silnej woli, obdarzony niezwykłą wyobraźnią, wywierający przemożny wpływ na każdego, kto znajdzie się w zasięgu jego oddziaływania. Zadaniem szamana jest radzić sobie z duchami, wiedzieć, w jaki sposób do nich się zwracać, by skutecznie odprawić swoje obrzędy. Szaman to mędrzec, który ma moc uzdrowicielską, a utrzymując tajemniczą więź ze światem nadprzyrodzonym, potrafi uleczać, ratować ludzką duszę i ciało przed chorobami, szaleństwem i nieszczęściem. Aby stać się szamanem, trzeba wejść na drogę cierpienia, nazywaną tu histerią arktyczną, która przejawia się w rozmaity sposób – w spazmach, transie, atakach epileptycznych, napadach histerii, stanach melancholii czy obsesyjnym dążeniu do samounicestwienia. Wybrańcy duchów mają jednak wielką, wewnętrzną moc do jej przezwyciężania.

Niedobrze, gdy gniew szamana dosięgnie człowieka. Maria mogła przekonać się o tym osobiście, poznając księcia Czungę, przedstawiciela jednej z najznakomitszych rodzin tunguskich, na którego czapigorski czarownik rzucił klątwę. Czunga bowiem obraził go, twierdząc, że jego magia nie może równać się z przyrodzoną plemieniu limpijskimu, z którego sam się wywodził. Na słowa te szaman powstał ze „złowróżbnym błyskiem w małych, nabiegłych krwią oczach", ujął bęben, by zagrzmieć na nim niczym piorun i wezwać wszystkie duchy do zemsty na obrazoburcy. Na jego głos przybyć miał Etigr przynoszący burzę, choroby i śmierć, Indjan unoszący szamana na skrzydłach do innego świata, wreszcie cały zastęp demonów, które w „postaci pobrzękujących kawałków metalu burzyły rozchwiane powietrze wokół głowy skulonej ofiary". Sam zaś wyrzucił z siebie pełne grozy słowa: „Niechże Czunga Hiragir żyje samotnie pośród swych reniferów – samotny niczym ten palec wskazujący – pozbawiony dzieci i pracowników, którzy przynieśliby mu pomoc". A gdy wybrzmiało to złowieszcze zdanie, rzucił się na ziemię rozedrgany, z zamkniętymi oczyma, z wykrzywioną twarzą i pianą na ustach, wstrząsany spazmami, zaś bęben jego upadł z brzękiem obok Czungi, a odrzucona pałeczka zakreśliwszy łuk w powietrzu wskazała na winowajcę.

W istocie rodzina Czungi była zgubiona. Na jego oczach umierały kolejne dzieci, poczynając od najstarszego syna, który nagle zapadł na tajemniczą chorobę, pogrążał się w innym świecie, z głębin którego wołał, powtarzając słowa przekleństwa, mimo iż od ojca nigdy ich nie słyszał. Następną ofiarą padł zięć nieszczęsnego Czungi, a potem jego córki – jedna zmarła, druga ciężko się rozchorowała, a trzecia popadła w stan melancholii. Najprawdopodobniej zginął też drugi jego zięć, który w ostatnim dniu swego życia zjawił się u Marii, by zwrócić jej dług, lecz w drodze powrotnej miał utonąć w wezbranych nurtach Tunguski. Roztrząsając to wydarzenie, Czaplicka nie mogła pozbyć się absurdalnej myśli, że sama stała się nieumyślnym narzędziem zemsty czapogirskiego szamana.

Przepowiednia Bokkobuszki

Maria za wszelką cenę pragnęła stać się świadkiem ceremonii szamańskiej. W końcu udało się jej wziąć udział w obrzędach samojedzkiego szamana Bokkobuszka, którego spytała o swój los. Znalazła go nad rzeką, był niski, ciemnowłosy, o jednym oku, które na wskroś przeszywało człowieka. Gdy na jej prośbę zgodził się wezwać duchy, usiadł na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, rozpoczynając swój seans. W zarzuconej na siebie tkaninie, która skryła go zupełnie, zaczął wydawać jakieś dziwne,

eprasa.pl 32b92d6aea

jednostajne dźwięki, przechodzące stopniowo w śpiew, wybuchał drżącym głosem, to znów przycichał, by po rozmowie z duchami obwieścić Marii, że kiedy wróci bezpiecznie do swojego kraju, będzie czekało na nią wiele zadań, a tam, gdzie zostawiła swój dom, znajdzie trzy w jednym. Gdy potem rozmyślała nad znaczeniem przepowiedni szamana, doszła do wniosku, że mówił przecież o losach jej ojczyzny, o domu rozdartym przez trzech zaborców, który na powrót miał się zrosnąć i stać jedną całością. Był to bowiem rok 1914, który przyniósł wielką wojnę, a wraz z nią odrodzenie Polski.

Ofiary purgi

Wieść o wybuchu I wojny światowej zastała Marię właśnie na Syberii. Jej towarzyszki postanowiły wracać do Europy. Ona została wraz z Hallem, by kontynuować swe pionierskie badania. Gotowa była spędzić zimę w tundrze, choć miejscowi odradzali jej to stanowczo, uważając, że dla Europejki jest to pewna śmierć. Maria była jednak odważna i zdeterminowana, uczyła się uparcie tunguskiego, gromadziła ciepłą odzież i wybrała najtrudniejszą trasę podróży przez najbardziej odludne i dzikie obszary, posuwając się wzdłuż dolnej Tunguski, aż do rzeki Katangi i jeziora Jessej. Przed nią i Hallem rozpościerała się teraz ciągnąca się w nieskończoność, biała, śnieżna pustynia. Mrozy sięgały minus 60 stopni Celsjusza, a oni, okutani od stóp do głów w wielowarstwowe, futrzane stroje pokonywali dziennie od 60 do 100 kilometrów, byli jak „trzęsące się wory kości" – „poobijane ciała nie czują ran, skostniałe mięśnie tkwią nieruchomo w futrzanych powłokach. Sanie zwalniają, zatrzymują się, znów idą naprzód. Zwierzęta szarpią, by ruszyć z miejsca [...]. Wysypuje się prowiant. Wylewa się nafta. Od wstrząsów niszczy się część sprzętu fotograficznego". Mieli co prawda ze sobą suchy prowiant, ale chleb kwaśniał, a wlewane kakao z termosu do kubka zmieniało się natychmiast w twardą bryłę. Doświadczenie tych skrajnych warunków stało się dla Marii chyba najbardziej dojmujące podczas purgi – śnieżnej zawiei spowodowanej gwałtownymi północno-wschodnimi wiatrami. Wówczas to ona sama, jej tunguski przewodnik i współtowarzyszka podróży Miczycha, córka księcia Ewenków i wnuczka szamana, stracili z oczu swój szlak i znaleźli się w sercu kamienistej tundry Tunguzów limpijskich. Burza śnieżna odcięła ich od bagaży. Ustalili więc, że mężczyzna ruszy w poszukiwaniu zagubionej drogi, ale czy ją znajdzie i czy powróci, było pytaniem bez odpowiedzi. Miczycha wpadła w histerię, a Maria odczuła wielki głód, bo nie jadła nic już od dwunastu godzin. Uporczywie myślała o „ciepłym, cuchnącym mięsie pod trzęsącą się skórą nieszczęsnych reniferów", pojmując teraz, „dlaczego Tunguzi mogli pić z rozkoszą krew świeżo zarżniętego zwierzęcia i rwać zębami surowe, parujące mięso". Miała nieprzepartą chęć poderżnąć gardło jednemu z tych leżących na wzgórzu bydląt, sięgała już nawet po scyzoryk, ale w tym momencie doszedł jej uszu odgłos sań, w których powracał tak oczekiwany przewodnik, krzycząc, że oto znalazł szlak i rzekę Ajahamdę, nad którą muszą być ludzkie siedziby. Byli uratowani! Gospodarzom najbliższej czumy nie trzeba było tłumaczyć, że należy zabić zwierzę bez zbędnych pytań, nie tylko by nakarmić zbłąkanych wędrowców, lecz także by uratować ich nogi przed odmrożeniem. Nic więc dziwnego, że Miczycha zdawała się w oczach Marii stanowić upiorne studium czerwieni i żółci, bo „ociekała posoką od czubka głowy po końce palców stóp" zanurzonych w ciepłym ciele zabitego renifera.

Tajemnice doliny Jeniseju

Marię w szczególny sposób kusiała kraina rozciągająca się wzdłuż górnego Jeniseju, na południe od Krasnojarska, zwana Szwajcarią Syberii – prawdziwa kopalnia wiedzy archeologicznej. Skrywała bowiem w swych wnętrznościach kości mamutów i nosorożców, szkielety ludzkie, narzędzia z kamienia i kości, z brązu i żelaza, a także setki rozsianych po stepie kurhanów. Intrygowały ją sterczące ku niebu płaskie, wysokie kamienie ściągnięte tu z odległości tysiąca mil. Patrzyła z ciekawością na kamienne figury zwane babami, które wyglądały tak, jakby trzymały w obu dłoniach urnę przyciśniętą do piersi. Zastanawiała się przy tym, „kim byli ci, którzy podchodzili ociężałego mamuta, zabijali dzikie nosorożce, rzeźbili w nefrycie, kości czy brązie zwierzęta, które oswajali albo na które polowali, uprawiali rolę, drążyli kopalnie, wyrabiali wędzidła, noże i włócznie, harowali i umierali, składając swe kości w grobach na stepie". Próbowała odkryć podwaliny tej najstarszej, wczesnosyberyjskiej cywilizacji, rodzącej się w „powodzi tatarskiej i kozackiej".

Zastanawiały ją cechy ludów podbitych w XVII wieku przez Rosjan, spośród których najzacieklejszy opór stawiali im Kirgizi. Z ciekawością obserwowała Osiaków Jenisejskich, którzy zachowali dawny język, lecz teraz szybko wymierali niszczeni przez syfilis i alkohol. Kiedy indziej zajmowała ją zamieszkująca okolice Minusińska „mocno wymieszana" populacja Sybiraków i „Tatarów". Badała więc ich ośmiokątne, drewniane chałupy, jurty koczowników z przestronnymi zagrodami, do których wprowadzali stada dzikich koni stepowych, a także przyglądała się skupiskom kurhanów otoczonych wysokimi, wyszczerbionymi płytami. Opisywała tutejszych Kajbałów, Sagajów i Kaczynów, spośród których wielu pozostało jeszcze koczownikami, przywiązanymi do praktyk i wierzeń szamanistycznych, do dawnych zwyczajów, własnego stroju i muzyki wygrywanej na czatiganie, stanowiącym rodzaj kilkustrunnej harfy. Dla niej dolina

eprasa.pl 32b92d6aea

południowego Jeniseju kryła jeszcze wiele tajemnic, stanowiąc wciąż ciekawy teren badań etnologicznych.

Tryumf i klęska wojowniczki

Kończąc swe prace badawcze porządkowała zgromadzone materiały, pakowała spreparowane zwierzęce skóry i bezcenne eksponaty, wśród których znalazły się m.in.: tunguski bęben szamański, drewniana figurka oli wyobrażająca kruka z grobu Nakte, żelazne słońce humahek delacha przyczepione do skóry na głowie niedźwiedzia i fartuch szamana z żelaznymi figurkami słońca, ptaka nura i ryby. Wreszcie, żegnając się z syberyjską ziemią, którą szczerze pokochała, odpłynęła starym, wysłużonym parowcem „Otiec" do Krasnojarska, a stamtąd Koleją Transsyberyjską wyruszyła w kierunku Moskwy.

Do Europy wracała jako tryumfatorka! – „Nieustraszona badaczka", „Kobieta z Oksfordu na Syberii", jak głosiły nagłówki polskich i zagranicznych gazet, rozpisujących się o jej niezwykłym wyczynie. Zdobyte przez Czaplicką eksponaty trafiły do Pitt Rivers Museum, a ona, wykorzystując swą wielką popularność, rzuciła się w wir pracy. Zaraz też zabrała się do napisania książki popularnonaukowej opowiadającej o tym, co widziała i przeżyła na Syberii. Razem z Hallem przygotowywała raport naukowy z odbytej ekspedycji. Spełnieniem jej najskrytszych marzeń stało się objęcie stanowiska wykładowczyni na uniwersytecie w Oksfordzie. Była pierwszą kobietą na świecie, która prowadziła wykłady z antropologii na tej prestiżowej angielskiej uczelni. Zajęła wówczas miejsce powołanego do wojska asystenta profesora antropologii Arthura Thomsona. Latem 1916 roku ukazała się jej pionierska anglojęzyczna książka „Mój rok na Syberii", która zebrała same dobre recenzje. Jednocześnie Maria prowadziła wykłady z zakresu etnologii w Muzeum Historii Naturalnej. Otwarcie głosiła pogląd, że Syberia powinna zyskać autonomię i być rządzona przez zamieszkujące ją ludy. Zabierała też głos na temat Polski. Deklarowała się jako zwolenniczka działań niepodległościowych Komendanta Józefa Piłsudskiego. W Brytyjskim Towarzystwie Popierania Wiedzy wygłosiła odczyt poświęcony Polsce i jej sąsiadom.

Była już na szczycie, zdobywając sobie uznanie w środowisku naukowym, gdy przekorny los sprawił, że musiała opuścić Oksford wraz z powrotem do pracy uczonego, którego miejsce do tej pory zajmowała. Nie poddawała się jednak i nie rezygnowała z walki o należną jej pozycję w świecie naukowym. Pragnęła być wykładowczynią na wyższej uczelni, ale mimo jej usilnych starań ani w Warszawie, ani w Wilnie, ani nawet w Stanach Zjednoczonych nie miała szans na objęcie katedry. Tymczasem zdobyła wielką popularność w Ameryce, prowadząc gościnne wykłady na Uniwersytecie Columbia, w muzeum w Filadelfii, w Instytucie Nauki i Sztuki w Brooklynie, w Lidze Edukacji Politycznej w Nowym Jorku. Wreszcie dotarła do niej pomyślna wieść z Anglii, że dzięki rekomendacji profesora Thomsona z Oksfordu czeka na nią stanowisko wykładowczyni antropologii w Bristolu. Nie była to wprawdzie tak prestiżowa uczelnia jak Oksford, ale Maria z zapałem podjęła wyzwanie i już w listopadzie 1920 roku rozpoczęła wykłady. Była w swoim żywiole. Działała w kilku towarzystwach naukowych, w Kobiecym Klubie Dyskusyjnym, założyła Towarzystwo Folklorystyczne, planowała stworzyć nowoczesne centrum antropologiczne z ośrodkami w Azji, Afryce i Ameryce. Królewskie Towarzystwo Geograficzne przyznało jej Nagrodę Murchisona za dokonania na polu etnografii i geografii. Sama zaś czyniła wszystko, by otrzymać prestiżowe stypendium podróżnicze Alberta Kahna na Uniwersytecie Londyńskim. Otrzymane tysiąc funtów pozwoliłoby jej nie tylko zorganizować nową ekspedycję naukową, lecz także wyjść z długów, w których zdawała się tonąć od czasów wyprawy syberyjskiej. Aby zdobyć upragnione stypendium była nawet gotowa przyjąć brytyjskie obywatelstwo. Utwierdzona w przekonaniu, że komisja poczeka aż dopełni wszystkich formalności, była prawie pewna, że otrzyma pozytywną odpowiedź. Tymczasem 6 maja 1921 roku okazało się, że Stypendium Alberta Kahna przyznane zostało Leonardowi Buxtonowi – temu samemu uczonemu, którego miejsce zajęła niegdyś w Oksfordzie. Był to dla niej zbyt wielki cios.

Nazajutrz, 27 maja, zawsze obowiązkowa i punktualna Maria, ku zaskoczeniu studentów, nie pojawiła się na wykładzie. Wieczorem dopiero, jak pisze autorka jej biografii Ula Ryciak, odnaleziona została w swoim mieszkaniu przy ulicy Royal Park: „Ten, kto zastał ją bladą, ze ślinotokiem, przyspieszonym tętnem i ciałem zwiniętym w konwulsjach, nic już nie mógł zrobić. Ciała nie trzeba ciąć. Po wielu godzinach męczarni Maria umiera w swoim pokoju około północy [...]. W karcie zgonu napisano, że panna Maria Antoinette Czaplicka, wykładowczyni Uniwersytetu Bristolskiego, zmarła wskutek spożycia substancji żrącej, co uczyniła, będąc przy zdrowych zmysłach. Na uniwersytecie i w nekrologach podano, że zmarła z powodu ataku serca". Zgodnie ze swoim życzeniem pochowana została w Oksfordzie.

Pozostawiła po sobie napisane z literackim zacięciem i pasją badacza studium antropologiczno-etnograficzne „Mój rok na Syberii", w którym przekazuje nie tylko wiedzę na temat ludów dalekiej Północy, lecz także dzieli się z czytelnikami swoimi przeżyciami i przygodami, fascynacjami i wątpliwościami, łącząc gruntowną wiedzę uczonego z rzadkim dla tego typu publikacji spojrzeniem artysty. ■

_____

Źródła: M. Czaplicka, „Mój rok na Syberii", red. nauk. i wprowadzenie G. Kubica, tłum. H. Kossak-Nowocień, Toruń 2013; U. Ryciak, „Poławiaczki pereł. Pierwsze Polki na krańcach świata", Kraków 2020.

eprasa.pl 32b92d6aea

Piotr Lisiewicz

„Dawno minęły czasy, kiedy Polacy krzywdzili Żydów bez reakcji" – ogłosił szef izraelskiego MSZ Jair Lapid. Po ukazaniu się wielu książek, a szczególnie filmów przedstawiających w nieprawdziwym świetle polskich chłopów, odnieść można wrażenie, że tego, jak było, nikt nie ma ochoty opisywać. Wiadomo, kontrowersyjny temat... Tymczasem Józef Mackiewicz z czasów, gdy jeszcze nie był pisarzem, lecz reportażystą opisującym sytuację społeczną m.in. na Polesiu, zostawił nam cenne relacje na ten temat. Zgodnie ze swoim literackim credo Mackiewicz niczego nie upiększał, nie pisał także z polonocentrycznego punktu widzenia. O tym pierwszy tekst.

A po nim przedrukowujemy dwa teksty Mieczysława Grydzewskiego, redaktora londyńskich „Wiadomości", które ukazały się w rubryce „Silva rerum". Pierwszy dotyczy tego, jak polski rząd zareagował na zbrodnię katyńską. Sześć lat po jej ujawnieniu pisał on o tym, że choć świat nie był skłonny przyjąć prawdy, to decyzja rządu, by od początku podjąć walkę o nią, okazała się słuszna. Pokazały to kolejne lata, gdy dzięki temu sprawa Katynia stawała na międzynarodowym forum. Jak ma się to do postawy Komorowskiego i Tuska po 10 kwietnia 2010 roku, sami sobie Państwo dopowiedzą.

I niezwykle ciekawy tekścik drugi, dotyczący mało znanego wydarzenia. Oto w 1933 roku kierowane przez Grydzewskiego „Wiadomości Literackie" wydały numer poświęcony kulturze Związku Sowieckiego, w którym głos zabrała intelektualna elita sowiecka. W zamian Sowieci mieli wydać w Moskwie po rosyjsku „Wiadomości Literackie". O tym, jak się to skończyło, przeczytacie Państwo poniżej.

Józef Mackiewicz

Filosemityzm na rojstach

Żyd był tym czymś pośrednim między „panem" a „człowiekiem prostym". Od czasu, gdy pojęcie „pana" stało się w swej większości pojęciem napływowego urzędnika, obcego i zwierzchniego, rozdział między nimi urósł. Życie przyniosło moc wydarzeń, których człowiek prosty nie mógł sobie wytłumaczyć. I oto w tym stanie rzeczy najbliżej jeszcze człowieka prostego stał także człowiek tutejszy, Żyd.

Słyszałem niedawno, jak Żyd wymyślał chłopu. Pociąg na linji Mołodeczno–Lida spóźnił się, a ja czekałem na stacji Wołożyn. Przechadzając się tam i z powrotem, wzdłuż szyn, doszedłem do miejsca, gdzie do wagonu – cysterny chłopi wlewali terpentynę. Chłopów było z dziesięciu. Żydów trzech i oczywiście do nich należała terpentyna. Chłopi ciągali beczki na sznurach do góry, inni wylewali, trzeci odstawiali puste itd. Żydzi zaś stali przy wagach. W pewnym momencie któryś z chłopów źle pokręcił beczkę, zwinęła mu się w rękach, osunęła, trzasnęła o jakiś kamień. Chłop wysiłkiem całej mocy starał się ją podtrzymać. Ale nie zdołał, ze szczeliny polało się troszkę terpentyny i tylko spadły w nią krople potu z jego czoła. – Dopieroż skoczy Żyd od wagi! Prosty, oberwany Żyd, nie żaden tam kapeluszasty.

Boże jakże on wymyślał tego chłopa! Po rosyjsku oczywiście. Wyzywał go od ostatnich słów, jakimi się szczyci przebogate słownictwo rosyjskich połajanek. Na „ty" naturalnie, od wszelakich „synów" i „maci". Pięściami mu wygrażał przed nosem, brykał nogami, pienił się, kopał językiem – to już nie hadko było słuchać, to wprost brała złość.

Chłop stulił się w sobie i tylko burczał coś w brodę. A tamtych dziewięciu uśmiechało się nieśmiało, nawpół w zakłopotaniu, nawpół przyjaźnie, jakby sami współwinni, że Żyd poniewiera i lży ich ziomka. – Ot, każe, Żydok jaki zapalczywy. – Nie dało się odczuć z ich strony, ani urażonej ambicji, ani obrażonej godności. Zachowali raczej przyjazne wyrozumienie...

Kiedyś w rozmowie, opowiedziałem pewnemu robotnikowi wileńskiemu, bo chciałem słyszeć jego zdanie, o tym co widziałem w Wołożynie. W odpowiedzi machnął tylko ze złością ręką: „Ot, chłopy to ciemny naród". Widocznie identyfikował w tym wypadku „ciemnotę" z brakiem antysemickiego nastawienia.

* * *

Gdy chodziło o sprawę naroczańską, gdy chodziło o wyjaśnienie, dlaczego tamtejsi rybacy mają większe zaufanie do firmy Rywkinda, aniżeli do chrześcijańskiej Spółdzielni i Dyrekcji Lasów, w ten sposób tłumaczyłem powszechny u nas objaw filosemityzmu tutejszego chłopa.

Zastanawiało mnie nieraz to zaufanie jakiem obdarzają chłopi Żydów i to właśnie w dobie tak niezwykle potęgującego się antysemityzmu. Chłop rozumuje w ten sposób: Żyd jest wyzyskiwacz, ale on się Żyda nie potrzebuje bać. Żydzi na wsi są tym elementem ćwierćinteligenc-

eprasa.pl 32b92d6aea

kim, tym sprytnym elementem, którego chłop rozumie. Żyd z reguły niechętnie ustosunkowany do władz potrafi zdobywać zaufanie włościan.

Nikt nas posądzać nie może o uprawianie chłopskiej demagogii. Rozumiemy doskonale, że włościanin odczuwa niechęć społeczną do dworu.

Natomiast skłonny jestem poczytywać za wielki błąd taktyczny, popełniany ze strony niektórych osób, które tę niechęć o charakterze wyraźnie socjalnym, niechęć człowieka uboższego do zamożnego uogólniają w – niechęć polityczną.

Przesadne zaś pojmowanie roIi wychowawczej naszej administracji państwowej, która chłopa białoruskiego przeważnie traktuje jako element obcy – prowadzi u nas do metody krytykowania tylko szeptem „polskiej władzy" wobec chłopa.

Przypomina mi to rozmowę po francusku w obecności pokojówki, która nie powinna się dowiedzieć o skandalu w rodzinie „państwa".

W rezultacie chłop identyfikuje pojęcie „pana" i „rządu", bez względu na to jakie ten rząd ma zabarwienie.

* * *

W ostatnim numerze „Wiadomości Literackich" przeczytałem reportaż z Polesia Ksawerego Pruszyńskiego. Autor, który nie tyle zna Żydów, co zna się na Żydach, pisze w nim:

Jeśli chodzi o lud, to mimo lichwy istnieje jakby pewien filosemityzm.

Trzeba to sobie wytłumaczyć. Otóż w dawnym układzie kraju, gdy nie było jeszcze jako warstwy społecznej robotnika, Żyd był tym czymś pośrednim między „panem", a „człowiekiem prostym". Od czasu gdy pojęcie „pana" stało się w swej większości pojęciem napływowego urzędnika, obcego i zwierzchniego, rozdział między nimi urósł. Życie przyniosło moc wydarzeń, których człowiek prosty nie mógł sobie wytłumaczyć. I oto w tym stanie rzeczy najbliżej jeszcze człowieka prostego stał także człowiek tutejszy, Żyd.

Nieliczni ziemianie uważali – niesłusznie – za swój obowiązek nigdy wobec „ludzi" nie krytykować polskiej władzy. Żyd postępował swobodnie, Żyd wyjaśniał, tłumaczył, bardzo po prostu, wiele. Chłop nie tylko kupi u Żyda, chłop z Żydem pogada i od niego się dowie i nowinek ze świata. Spółdzielnie, zakładane pośrednio czy bezpośrednio przez władze, nic tu nie zmienią.

Jak widzimy, Pruszyński na Polesiu, dochodzi do tego samego wniosku, co ja nad Naroczem. Otóż, o ile mi wiadomo, w swych „podróżach po Polsce" nie objeżdżał on terenów od Prypeci na północ. Dlatego może nie wiedzieć, że tak samo jest nad Niemnem, jak Wilią, tak samo nad Dźwiną. To znaczy nie w miastach, tylko wszędzie tam, gdzie chłop, jak go określił na początku ów robotnik wileński, jest „ciemny".

Nie chcę przez to broń Boże zestawiać „ciemnoty" z filosemityzmem i „oświecenia" z antysemityzmem. Rozumiem jednak, iż Żyd siłą rzeczy stanowi dla chłopa obiekt naturalnej niechęci, wypływającej nie tylko z różnicy ras i religii, ale również jako drogi pośrednik, lichwiarz, czy wyzyskiwacz. Natomiast z drugiej strony stanowi dlań również szczebel wyższy, wykształceńszy, w którym chłop szuka oparcia... w braku innego.

* * *

Bawiłem w Radomiu, w słynnym Przytyku i pisałem o tym solidarnym, powszechnym antysemityzmie tamtejszego chłopa. Jest on niewątpliwie równie „ciemny" w swej żywiołowości, jak filosemityzm chłopa białoruskiego, ale jednak – muszę to przyznać – bardziej naturalny. Różnica pomiędzy temi dwoma objawami jest ta że Żyd dla chłopa białoruskiego odgrywa podwójną rolę: ujemną i dodatnią, z której, w jego pojęciu, dodatnia przeważa. Natomiast dla chłopa radomskiego już tylko jednostronną rolę, tę właśnie ujemną. Dlaczego?

Dlatego, że mimo różnic społecznych, mimo walki socjalnej, chłop w b. kongresówce znajduje moralne oparcie w polskim mieszczaninie, w polskim ziemianinie i nie szuka go u Żyda. Stąd tam i oblicze Żyda staje się inne.

Nie mówię, oczywiście o poszczególnych wypadkach, gdzie to moralne oparcie o niektórych ziemian tamtejszych związane jest z ich nazwiskami, jako trybunów opozycji i ruchu ludowego, albo wręcz ideowego antysemityzmu i prowadzić może do krwawych wybuchów bezpośrednio. Mówię tylko o podłożu ogólnem, na którem wybuchy takie możliwe są w Radomskiem, a niemożliwe w Wołożynie.

I nie dlatego, ażeby one były u nas możliwe, tylko dlatego, aby przywrócić normalną hierarchję kraju, pozwalam sobie uważać za niesłuszne tego rodzaju częste u nas zjawisko, w którem chłopa tutejszego traktuje się a priori jako niechętnego socjalnie, a wrogiego politycznie i zamykając przed nim nietylko „paradny chod", ale i serce, oddaje się go na wyłączne wychowanie urzędników administracji. Nasza administracja, złożona w 90-ciu procentach z ludzi „nietutejszych", nie umie sobie z wychowaniem dać rady, wzbudza w nim nieufność, a eksperymentując jednocześnie na obcym sobie gruncie, przez nieumiejętne chwyty, często w dodatku staje się źródłem zaognienia stosunków pomiędzy wsią i dworem, które przed wojną były tak poprawne.

W rezultacie, z tego przymusowego przytułku „państwowotwórczego" wychowania chłop ucieka i... trafia do Żyda.

Stan taki nie można uznać za naturalny.

* * *

Ksawery Pruszyński w tym samym artykule o Polesiu pisze w gorących sławach optymizmu o wyrastającej tam

eprasa.pl 32b92d6aea

nowej warstwie społecznej, warstwie robotniczej, w nowych fabrykach:

W kategoriach poleskich jest to nowy człowiek i nowa warstwa. To nie jest „człowiek prosty", ale niemniej nie jest to człowiek „z panów". „Z panów" jest każdy urzędnik, nawet sekwestrator, choć oczywiście urzędnik nie jest z tych prawdziwych, wielkich i dawnych panów. Dotąd na Polesiu była tylko jedna kategorja ludzi żyjąca między światem prostym, a pańskim: Żyd.

Elementem, który naprawdę odbiera Żydowi poleskiemu jego stanowisko wobec mas ludu, jest dopiero robotnik. On także wiele rzeczy – nie sądźcie aby specjalnie socjalistycznych – Poleszukowi tłumaczy, ale jest jemu bliższy.

Zgadzam się z Pruszyńskim, że tam u nas gdzie wkracza w życie nowa warstwa robotnicza, odbiera od Żyda jego dotychczasowe wpływy na ludność. Nie tylko odbiera, ale przeradza je często w wybuch długo duszonego antysemityzmu i dlatego zachodzi w tych filo- i anty żydowskich nastrojach taka wielka różnica pomiędzy naszą wsią i naszem miastem. Ci, którzy starli się z Żydami w krwawe dnie Grodna, składali się właśnie z warstwy robotniczej. Ale za robotnikiem nie zawsze idzie i nietylko antysemityzm. Idą z nim razem „Czerwone sztandary", „Obrony Ludu", demagogje socjalizmu, i ideologja proletarjatu, tak w gruncie i w założeniu obca przywiązaniu do własności, obca dla naszego chłopa, jako przede wszystkiem posiadacza, posiadacza ziemskiego.

Nie zgadzam się więc z Pruszyńskim w jego optymistycznych zapatrywaniach na rolę przodownictwa warstwy robotniczej wśród ciemnych mas chłopskich. Interesy robotnicze zbyt często wchodzą w kolizję z interesami włościaństwa, tak jak nie zawsze dadzą się pogodzić interesy miast z interesami wsi.

Chłop jest rolnikiem przede wszystkim i oczywiście rolnikiem musi być również ten, w którym on szuka swego naturalnego oparcia, sojusznika, czy przewodnika.

Do tego raczej może być predystynowana warstwa ziemiańska a nie robotnicza.

Natomiast oczywistem jest, że najmniej w tym charakterze powołana, najbardziej nieodpowiadająca swej roli, jest warstwa obca rasą i religją, kupiecko – pośrednicza, warstwa żydowska.

Jeżeli mimo wszystko tak jest u nas na tzw. kresach to niewątpliwie jest skutkiem nieunormowania wzajemnych stosunków.

Nie wnikając w moralną ocenę, tego: „dobrze" czy „źle", należy wszakże bezstronnie stwierdzić, że specyficzny i każdemu się rzucający w oczy filosemityzm wsi białoruskiej, wyrasta na podłożu sztucznym, raczej niezdrowym i, mimo, iż może być przykre to stwierdzenie, raczej jest zjawiskiem bardziej nienaturalnym niż antysemityzm włościan radomskich. ■

_____

Przedruk za: Słowo/ 18.08.1936/ Wilno/ Rok 15, Nr 226

Mieczysław Grydzewski

Jak polski rząd nie pozwolił zamilczeć Katynia

Gdyby nie ta akcja – nie oskarżono by w Norymberdze Niemców o zbrodnię katyńską i trybunał nie miałby okazji do stwierdzenia, że zbrodni tej Niemcy nie popełnili. Gdyby nie ta akcja – byłoby dziś głucho o zbrodni katyńskiej i żadna siła nie zdołałaby opinii świata sprawą tą zainteresować.

Rząd polski, który w r. 1943, po rewelacjach niemieckich w sprawie morderstw katyńskich, zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z prośbą o wyświetlenie okoliczności zbrodni, postąpił słusznie i mądrze. Jeśli chodzi o stronę moralną, żaden rząd na świecie nie mógł przejść do porządku nad odkryciem, że tysiące jego obywateli zostało wymordowanych; jeśli chodzi o stronę polityczną, należało chwycić się pierwszej sposobności by powiedzieć światu o zbrodni sowieckiej. Jeśli zaniedbano uczynić tego w latach poprzednich, – było to trudne, bo nie istniały bezpośrednie dowody – zaniedbanie z nadwyżką naprawiono. Wprawdzie rozmaici spece od „chytrości dyplomatycznych" uznali postępowanie rządu polskiego za pośpieszne i niepolityczne, wprawdzie nawet ludzie, których o sympatie dla Sowietów trudno było posądzić, wysuwali zastrzeżenia natury taktycznej, wprawdzie pod naciskiem brytyjskim trzeba było zwrócenie się do Czerwonego Krzyża odwołać – ale dokonano rzeczy najważniejszej: sprawie Katynia nadano należyty rozgłos, a rząd sowiecki, zrywając stosunki dyplomatyczne z rządem polskim, do rozgłosu tego niezręcznie się przyczynił. I aczkolwiek prasa sojusznicza, odkryte i wołające o pomstę do Boga, mogiły oficerow polskich usiłowała przysypać piachem niepamięci, sprawa katyńska została postawiona.

Jeśli teraz czołowe pismo angielskie, „Daily Telegraph", zamieszcza o Katyniu kilkadziesiąt listów, to jest to rezultat ówczesnej, odruchowej, nieprzemyślanej, ale nieomylnej, bo wypływającej z naturalnego instynktu samozachowawczego, błogosławionej w dalszych skutkach akcji rządu polskiego. Gdyby nie ta akcja – nie oskarżono by w Norymberdze Niemców o zbrodnię katyńską i try-

eprasa.pl 32b92d6aea

bunał nie miałby okazji do stwierdzenia że zbrodni tej Niemcy nie popełnili. Gdyby nie ta akcja – byłoby dziś głucho o zbrodni katyńskiej i żadna siła nie zdołałaby opinii świata sprawą tą zainteresować. Gdyby nie ta akcja – nie istniałyby podstawy do walki o zbadanie zbrodni katyńskiej przez bezstronny sąd międzynarodowy.

Poseł komunistyczny Pritt, który jakże nieopatrznie wszczął dyskusję w sprawie Katynia swym niemądrym listem i pośrednio spowodował katyńskie słuchowisko B.B.C., do niedawna jeszcze komentującej Katyń w duchu prosowieckim, zasłużył co najmniej na „wygowor" Moskwy. Propaganda sowiecka, gdyby się do niej zwrócił, na pewno by mu ten krok wyperswadowała. Wyperswadowałaby również na pewno usuniętemu niedawno z Labour Party za działanie na jej szkodę Platts-Millsowi jego niefortunne wystąpienie parlamentarne w sprawie „Dziennika Polskiego", które zakończyło się zupełnym fiaskiem. Wyperswadowałaby redakcji „Lettres Françaises" procesowanie się z Krawczenką, które musi się zakończyć nadwyrężeniem prestige'u Sowietów. Rozmaitym gorliwcom wydaje się, że żyjemy jeszcze w latach 1945 – 1947, kiedy świat leżał plackiem przed Stalinem. Dziś błazeńskie ofensywy pokojowe Stalina przyjmowane są ze wzruszeniem ramion. Zachód jest istotnie tchórzliwy i głupi, ale nie do tego stopnia, jak się to Kremlowi wydaje. ■

_____

Przedruk za: „Silva Rerum", „Wiadomości", 20.02.1949, Londyn, rok 4, nr 8 (151).

Tytuł pochodzi od redakcji „Nowego Państwa".

Mieczysław Grydzewski

Patiomkinowski numer „Litieraturnoj Gaziety"

Był to numer „patiomkinowski", wydany dla zamydlenia oczu łatwowiernych Lachów. O numerze tym, pozbawionym normalnej numeracji, nigdy się czytająca publiczność rosyjska nie dowiedziała, nie dostał się on do sprzedaży, nie otrzymali go prenumeratorzy „Litieraturnoj Gaziety". Kilkaset egzemplarzy „dowodowych" przesłano do Polski.

Trzej uczeni angielscy, na znak protestu przeciwko traktowaniu nauki w Rosji dzisiejszej, wystąpili z sowieckiej akademii nauk. W odpowiedzi, akademia czym prędzej się zebrała i ogłosiła że uczonych sama ze swego grona usuwa. Rzecz prosta, społeczeństwo rosyjskie dowie się, że faszystowscy uczeni zachodnioeuropejscy stali się niegodnymi zasiadania w instytucji, która wysoko dzierży sztandar nauki, ale nie dowie się, że to uczeni angielscy nie chcieli dłużej w akademii zasiadać.

Tego rodzaju chwyty nie należą do nowości w repertuarze totalizmu sowieckiego. W r. 1933 „Wiadomości Literackie" wydały wspaniały numer, poświęcony kulturze Z.S.R.S., w którym wzięła udział cała intelektualna elita sowiecka, z Łunaczarskim, Radkiem, Aleksiejem Tołstojem, Leonowem, Meyerholdem, Tairowem, Eisensteinem, Pudowkinem na czele. Współpracownicy numeru mieli zapewnioną całkowitą swobodę wypowiedzi, redakcja nie skreśliła nikomu ani słowa, a Komisariat Rządu puścił numer swobodnie. Numer zdobył w Polsce wielkie powodzenie, miał kilka wydań, Piłsudski zaś i Stalin otrzymali pięknie w skórę oprawne egzemplarze pamiątkowe (nb. egzemplarz ofiarowany Piłsudskiemu znajdował się stale w jego sypialni w Głównym Inspektoracie Sił Zbrojnych).

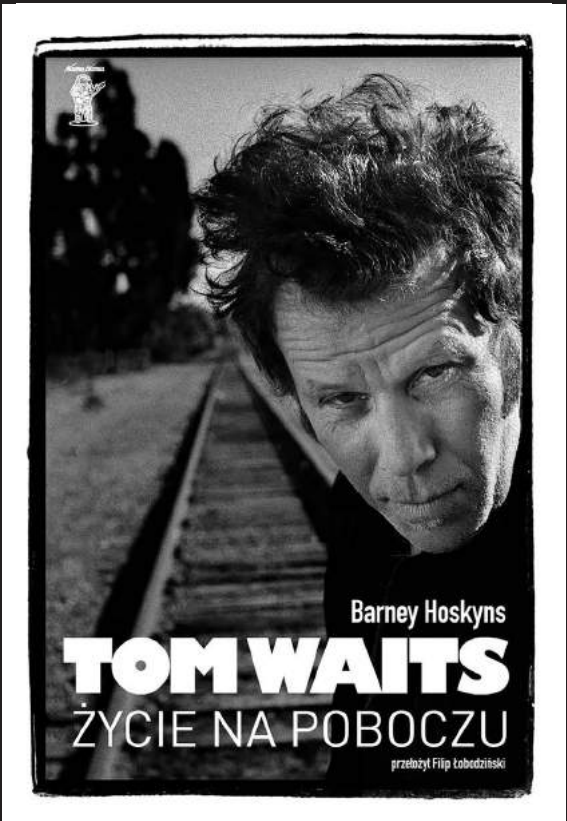
Jedynym warunkiem wydania numeru sowieckiego, jaki postawiły „Wiadomości", był akt wzajemności ze strony „Litieraturnoj Gaziety" w postaci numeru polskiego. Numer ten, całkowicie nawet z sowieckiego punktu widzenia niewinny, bo składający się wyłącznie z utworów literackich, – w przeciwieństwie do numeru sowieckiego „Wiadomości", który będąc w pewnym sensie encyklopedią wiedzy o kulturze sowieckiej, tym samym miał charakter propagandowy, – po długich droczeniach się i odkładaniach ujrzał wreszcie światło dzienne. Było to jednak to samo światło, które przyświecało słynnym wsiom czy domom budowanym przez wielkorządcę Katarzyny II, Potiomkina, na jej przyjęcie. Numer polski „Litieraturnoj Gaziety" został wprawdzie wydrukowany, ale mimo to stanowił fikcję, nie istniał naprawdę, należał do świata cieniów. Był to numer „patiomkinowski", wydany dla zamydlenia oczu łatwowiernych Lachów. O numerze tym, pozbawionym normalnej numeracji, nigdy się czytająca publiczność rosyjska nie dowiedziała, nie dostał się on do sprzedaży, nie otrzymali go prenumeratorzy „Litieraturnoj Gaziety". Kilkaset egzemplarzy „dowodowych" przesłano do Polski – to wszystko.

Tym oszustwem sowieckim, oszustwem bez precedensu, zajął się dodatek zagraniczny „Wiadomości Literackich", „Pologne Littéraire", poza tym powiadomiono centralę P.E.N. Clubów. Miało to znaczenie zresztą wyłącznie platoniczne, bo Rosjanie do P.E.N. Clubów nie wchodzili. ■

_____

Przedruk za: „Silva Rerum", „Wiadomości", 20.02.1949, Londyn, rok 4, nr 8 (151).

eprasa.pl 32b92d6aea



Barney Hoskyns „Tom Waits. Życie na poboczu"
,wyd. Kosmos Kosmos, Warszawa 2021

Krzysztof Wołodźko

OCALONY. TOM WAITS I AMERYKA

Tom Waits nie tylko jest jedną z ikon amerykańskiej popkultury, jej ambitniejszego nurtu. Stworzył także obraz Stanów Zjednoczonych jako kraju przydrożnych knajp, życiowych rozbitków i popaprańców, długich samochodowych podróży oraz przygodnych rozmów zapisywanych na barowych serwetkach – zwiewnych i gorzkich jak dym papierosa.

eprasa.pl 32b92d6aea

Tom Waits. Życie na poboczu" Barneya Hoskynsa to nieautoryzowana biografia artysty. Wydanie jest tym cenniejsze, że zawiera dodatkowy rozdział, napisany specjalnie dla polskiego czytelnika przez tłumacza książki Filipa Łobodzińskiego. Ten rozdział to kalendarium kilkunastu ostatnich lat z życia Waitsa (autor ostatnią kropkę postawił w 2008 roku). Dla przynajmniej części czytelników termin „biografia nieautoryzowana" musi brzmieć podejrzanie – niekiedy tego typu książki, szczególnie o gwiazdach kultury masowej, obfitują w konfabulacje, nie stronią od ogólników i rażą infantylizmem. W tym przypadku nie musimy się obawiać. Dobrze rzecz oddaje Łobodziński: „Hoskyns dotarł do mnóstwa źródeł i świadków, choć niemal równie wielu spośród tych ostatnich odmówiło mu współpracy [...]. Nie umniejsza to walorów książki, nadaje jej osobisty szynt, a fakt braku jej autoryzacji przez samego Waitsa paradoksalnie pozwala ufać, że obraz bohatera nie jest oleodrukiem wypucowanym przez speców od marketingu".

Tanie hotele, przydrożna Ameryka

Urodzony w 1947 roku Tom Waits nie tylko przyglądał się Ameryce w czasie jej wielkich przeobrażeń. Był i jest nie tylko świadkiem swoich czasów, jak wielu próbował odkryć swoje korzenie, egzystencjalną tożsamość. Zafascynowany pisarstwem Jacka Kerouaca i Charlesa Bukowskiego szukał opowieści o samym sobie, Stanach i świecie, zaglądając do cudzych historii. Już w latach młodości, jako początkującego artystę, intrygowała go Ameryka outsiderów, wagabundów, komiwojażerów i ciężko zapracowanych ludzi. Jak sam mówił po latach: „Ludzki gwar w barze po fajrancie, praca na kolei, pokoje w tanich hotelikach, jazz". Nawet jeśli krytycznie odnosimy się do legendy bitników, nie ma powodu, by nie wierzyć słowom Hoskynsa, że Kerouac był dla Waitsa „paszportem do świata po godzinach, do miejsc, gdzie młody nocny marek mógł pochwycić strzępy rozmów, by ich potem użyć do sklecenia obrazu życia anonimowych, nikomu nieznanych Amerykanów".

Nie chcę opowiadać Państwu w tej recenzji skróconej wersji biografii Waitsa, choć wskażę pewne wątki jego życia. O wiele bardziej intrygujące jest spostrzeżenie, że – również dzięki Waitsowi – amerykańska popkultura stworzyła własną, w pełni wartościową historię prowincjonalną; czasem brutalną, czasem sentymentalną opowieść o powojennej Ameryce małych miasteczek, przydrożnych barów przy mało uczęszczanych drogach. Podtytuł biografii Waitsa nie odnosi się jedynie do samego artysty, jego skrzętnie pielęgnowanej potrzeby odosobnienia; jeśli skojarzymy go z kultowym songiem Jana Krzysztofa Kelusa, zatytułowanym „Kawał w bok od szosy głównej", zobaczymy, że rodzaj artystycznego namysłu nad światem ściśle przenika się z pewnymi życiowymi strategiami i z biograficznymi wątkami. Tyle że amerykański show-biznes przynajmniej niektórych bardów Ameryki prowincjonalnej, przydrożnej, kiepskiej jak tanie hoteliki wyniósł na szczyt (z pożytkiem nie tylko dla ich majątków). W Polsce nie powstał równie silny popkulturowy nurt – ludzie tacy jak Kelus, z songami o Polsce B, zamknięci zostali w niszy kojarzonej na ogół z poezją śpiewaną, która najlepsze lata ma już za sobą.

„Tej nocy na polu kukurydzy"

Gdy zapytać o Waitsa przypadkowego miłośnika ambitniejszej muzyki popularnej, powie pewnie, że prawdziwy Tom zaczął się w 1983 roku wraz ze „Swordfishtrombones". Dla mnie jednak początek to „Kentucky Avenue" z płyty „Blue Valentine" (1978). Usłyszałem ten utwór w liceum, w okolicach 1993 roku. W szkołach nie uczono jeszcze według klucza, więc uczniowskie tłumaczenia utworów, zupełnie nieudolne, były dobrze widziane. Nostalgiczna historia o Whittier (okolice Los Angeles), czyli rodzinnych stronach Waitsa, była jak małe objawienie. Mogła to być opowieść o miejscu, którego twoi nowi znajomi muszą szukać na mapie, żeby cię jakoś umiejscowić, do czegoś przypisać, z czymś skojarzyć. Opowieść o miasteczku, które być może nikogo nie obchodzi, bo jest o wiele mniejsze niż świat, które chcesz zdobyć. Opowieść o miejscu zagubionym w twoich dziecięcych wspomnieniach, które dzięki sztuce może zostać utrwalone na dłużej: „Wezmę szprychy z twojego wózka inwalidzkiego/ I skrzydła sroki/ I przywiążę je do twoich ramion i do stóp/ Ukradnę brzeszczot mojego taty/Zetnę szyny z twoich nóg/ Pochowamy je tej nocy na polu kukurydzy/ Schowaj klucz od kościoła do kieszeni/ Wskoczymy do pociągu towarowego/ Pojedziemy kanałem burzowym/ Do Nowego Orleanu jesienią".

Dopiero później zaczęło się poznawanie Waitsa jako artysty kojarzonego z niezwykle swego czasu modnym reżyserem Jimem Jarmuschem. „Noc na Ziemi", „Kawa i papierosy" to były filmy, które dwadzieścia lat temu oglądało się, obowiązkowo wysłuchując albumów „Rain Dogs", „Bone Machi-

eprasa.pl 32b92d6aea

ne", „Mule Variations" i „Blood Money". Ale punktem odniesienia wciąż jest tamto zdumienie, że dorosły człowiek może tak śpiewać o swoim dzieciństwie. Być może sam Waits uznał, że odsłonił się za bardzo w tym songu, bo mówił o nim później, że jest „trochę przedramatyzowany, trochę zbyt napuszony", podczas gdy inni uważali go za „przepiękny lament". „Kentucky Avenue" jest cenny z jeszcze jednego powodu: można uczyć się na tej piosence, jak szczegóły, najbardziej ulotne chwile przemieniać w uniwersalne znaki czasów i miejsc, nasycić uczuciami, które przemówią do postronnych. Do tego dochodzi dar obserwacji: Bobi Thomas, koleżanka i dziewczyna Waitsa we wczesnych latach 70., opowiadała, że potrafił siąść przy barze i podłapywać strzępy rozmów: „chwytał zasłyszane opowieści albo tylko zdania, albo po prostu atmosferę miejsca – i wsączał je w swoje rzeczy".

To nie jest disnejowska Ameryka

Te nowe rzeczy to był świat, który być może kojarzył mu się z odległym ojcem, który opuścił na zawsze rodzinę, by szukać szczęścia w barach. Był to świat starszy o kilka dekad niż Waits – opisany choćby przez Charlesa Bukowskiego. „Pierwszą połowę lat czterdziestych – pisze Hoskyns – Bukowski spędził, przemierzając Amerykę wzdłuż i wszerz, śpiąc w noclegowniach, chlając na umór i produkując kolejne opowiadania, które bez wyjątku odrzucano. Pod koniec dekady wrócił do Los Angeles i w 1952 roku zaczął dewastującą ducha pracę na poczcie, która zaszczepiła mu w kościach »smród« miasta i z czasem stała się natchnieniem do pierwszej powieści. Bukowski jako bywalec barów i wyścigów był zdeklarowanym wrogiem disnejowskiej wersji amerykańskiego marzenia, więc i jego opowiadania działy się na antypodach wobec fanaberii burżujskiego życia".

Na tym jednak nie koniec. Waitsa zainspirował również mniej znany pisarz, Nelson Algren, autor wydanej w 1956 roku powieści „A Walk on the Wild Side". On sam swoich bohaterów, „samotne potwory" USA, opisywał językiem, który dziś nie przeszedłby przez gęste sita poprawności politycznej: „zgnębieni i gnębiciele, parszywe dupy i zawszone strupy, wszarze i koślawe skunksy, koksiarze, pedały i przeruchane kurwy". Nie sposób nie dostrzec, że z czasem amerykańska popkultura stała się lufcikiem, przez który zapracowana, lecz coraz bardziej syta klasa średnia, porządna amerykańska rodzina z domkiem na przedmieściu, zawsze wystrzyżonym trawnikiem i dwoma wielkimi samochodami, mogła się przyglądać „przegrywom": niebieskim ptakom i miłośnikom wszelkiej maści ekscesów. Ten popkulturowy voyeryzm, to podglądactwo, niekiedy bardziej wysublimowane, stało się w kolejnych dekadach możliwe także dzięki takim artystom jak Tom Waits. To nie zarzut, a proste stwierdzenie faktu.

Ocaliła go żona

Tom Waits z czasem odkrył, że aby przeżyć w takim świecie, nie można żyć podług jego mrocznych baśni. Artysta aby się nie stoczyć, potrzebuje przynajmniej kawałka przestrzeni wolnej od najróżniejszych „samotnych potworów", o których opowiada własnej widowni. Twórca nie jest swoim obrazem w cudzych oczach – o czym łatwo zapomnieć w czasach nadpodaży celebrytów, którzy z „bycia wizerunkiem samych siebie" uczynili nieznośną karykaturę. Nie bez powodu mottem „Życia na poboczu" jest cytat z wywiadu, jakiego artysta udzielił Hoskynsowi wiosną 1985 roku: „Człowiek samotnie przeżywa własną przygodę z dojrzewaniem i odkrywaniem. To tak jak powiedział Charles Bukowski: »Ludziom wydaje się, że przesiaduję w pubie Blarney Stone na rogu Piątej i Main, walę driny jeden za drugim i palę cygaro, a tak naprawdę to siedzę sobie na ostatnim piętrze siłowni z ręcznikiem na kolanach i oglądam Johnny'ego Carsona«. Dlatego nie zawsze warto być tam, gdzie ludzie chcieliby cię widzieć, a szczególnie jeśli tobie też by to pasowało... co by zresztą było łatwizną, bo już nie trzeba kombinować, kim się właściwie jest, wystarczy kogoś zapytać". Jeszcze krócej wyraził to Gustave Flaubert, autor „Madame Bovary", również cytowany w biografii Waitsa: „Należy prowadzić życie uregulowane i po mieszczańsku zwyczajne, żeby móc tworzyć w sposób agresywny i oryginalny".

W powyższych sprawach Waits miał szczęście. Jak w starych, nie tylko disnejowskich, opowieściach – uratowała go miłość kobiety. Przed finansową katastrofą, a być może także życiowym krachem w latach 80. ocaliła go Kathleen Brennan, partnerka i żona. Dla słynnego muzyka, który sądził, że jest krezusem, to była dekada procesów. Mówił wówczas mediom: „mam potąd byłego menadżera, przeróżnych alfonsów i robactwa w garniturach, na które skazała mnie ta sytuacja. [...] Od tej pory moimi sprawami będziemy się zajmować moja żona i ja". Pozew przeciw wieloletniemu bliskiemu współpracownikowi artysty, Herbiemu Cohenowi, mówił o „oszukańczych procedurach księgo-

eprasa.pl 32b92d6aea

wych, które na całe lata pozbawiły Waitsa należnych tantiem". To Kathleen spostrzegła, że na sztuce jej mężczyzny zarabia ktoś inny. Jim Hughart, muzyk studyjny, który tworzył z artystą w latach 70., mówił: „ocaliła mu życie. On już tracił kontrolę. [...] Jak gdyby dała mu do zrozumienia, że jeśli chce tego małżeństwa, to musi się zmienić, bo inaczej ona go wykopie na bruk. Została jego strażnikiem i już nie można było wejść z nim w kontakt bez jej pośrednictwa". A Bones Howes, producent części płyt Waitsa, opowiadał: „Zapewniła mu bezpieczeństwo emocjonalne oraz bezpieczeństwo finansowe. [...] To za jej sprawą pozwali Herba, a Tom odzyskał mnóstwo pieniędzy i przejął kontrolę nad swoimi prawami autorskimi. Z wiekiem te sprawy wydają się coraz ważniejsze, bo nie ma co liczyć na wielkie zaliczki i wielką kasę, zwłaszcza jak się jest takim odludkiem".

nie jest obowiązkowe". On sam jednak żył już wówczas rytmem życia, który pokazała mu żona – daleko od karmiącej się wciąż od nowa tymi samymi namiętnościami i złudzeniami posthippisowskiej bohemy amerykańskiego show-biznesu. Schowany przed światem, oburzał się na tych artystów, którzy pozwolili mediom coraz głębiej wchodzić do swojego życia. Nie podobał mu się choćby słynny swego czasu serial telewizyjny MTV „Rodzina Osbourne'ów", który pokazał w domowych pieleszach Ozzy'ego i Sharon Osbourne'ów oraz ich dzieci – córkę Kelly i syna Jacka. Wokalista Black Sabbath, który uzależnieniami mógłby obdzielić całkiem spore amerykańskie przedmieście, jest w pewien sposób do Waitsa podobny – jego skórę również niejednokrotnie ratowała żona.

„Tom Waits. Życie na poboczu" dla wielu fanów twórczości artysty będzie przede wszystkim przydatnym kompendium wiedzy o kolej-

Opowieść Hoskynsa jest kompletna, dociekliwa i refleksyjna. Nie tylko odróżnia człowieka od jego sztuki, lecz pokazuje także kulturowy, społeczny kontekst.

„Najcięższe rzeczy" w życiu

Jeśli spojrzeć w szerszej perspektywie na tę historię, aż nadto zabawnie potwierdza się truizm, że buntownicy, którzy przeżyją, piewcy mrocznych stron ludzkich dusz i wstydliwych sekretów ludzkich społeczności, artyści – fotografowie szpetnych zaułków z wiekiem zaczynają tęsknić do spokoju. I przynajmniej niektórym z nich udaje się go odnaleźć. W latach 90., choć stworzył wówczas „Bone Machine", „Mule Variations" i w międzyczasie opracował muzykę do sztuki teatralnej „The Black Rider" (we współpracy z kultowym, kontrowersyjnym pisarzem Williamem Sewardem Burroughsem), za „najcięższą rzecz" w swoim życiu Waits uznał „wychowywanie dzieci, dorosłość, życie w realnym świecie, płacenie rachunków, przynoszenie zakupów, codzienne obowiązki".

Krytykował również amerykańską popkulturę, wskazując, że jest „współuzależniona" od artystów, którzy traktują ją jako pretekst, by żyć nieodpowiedzialnie. Jak mówił: „Istnieje przekonanie, że artyści są impulsywni, ekscentryczni, nieodpowiedzialni i niesolidni. A według mnie to wcale

nych projektach artystycznych. Hoskyns zupełnie świadomie wpisuje się w pewien konwenans – istotną część jego książki stanowią szczegółowe omówienia kolejnych płyt Waitsa, z krótkimi prezentacjami utworów, technikaliami dotyczącymi spraw instrumentalnych, muzycznych, literackich, filmowych wpływów. Wszystko to bardzo rzetelne i szczegółowe – bądź co bądź książka wraz z przypisami i indeksem liczy niemal sześćset stron. Ale jako dość wierny czytelnik przeróżnych biografii muzyków wiem, że często bywają kiepskie jak pierwsze garażowe próby rockandrollowych zespołów. Inaczej jest w tym przypadku: opowieść Hoskynsa jest kompletna, dociekliwa i refleksyjna. Nie tylko odróżnia człowieka od jego sztuki, lecz pokazuje także kulturowy, społeczny kontekst. Jeśli ktoś lubi czytać o Ameryce, właśnie przez pryzmat jej popkultury, to niejednego dowie się z tej opowieści – a przede wszystkim lepiej zrozumie człowieka, który patrzy na nas z okładki. Ameryka za plecami Waitsa jest jak zaproszenie do wędrówki w nieznane; jak drzewo, spalona żarem trawa i niknące w dali kolejowe tory. ■

eprasa.pl 32b92d6aea



Krzysztof Karnkowski

ROJST: CIEMNE BAGNO, CIEMNE MIASTO

„Rojst" to znakomita wizualnie i satysfakcjonująca fabularnie mroczna, lecz mocno osadzona w polskich realiach opowieść. Autorska, samodzielna, lecz niebojąca się czynionych ze smakiem nawiązań do innych, ważnych produkcji, z „Dark" na czele. Szanse na trzeci sezon są spore.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Pierwszy sezon serialu „Rojst" był zarazem pierwszą poważną fabularną produkcją krótko obecnej na polskim rynku południowoafrykańskiej platformy Showmax. Skoro był to debiut, tytułem nowy gracz wykazać musiał, że trzeba się z nim liczyć. „Rojst" okazał się produkcją całkiem udaną i, jak się okazało, przeżył swego pierwszego nadawcę. Showmax zwinął się z Polski i całej Europy, tymczasem prawa do serii przejął. I choć ta platforma o pozycję na rynku bić się nie musi, to „Rojst '97" okazuje się nawet lepszy od dziejących się 13 lat wcześniej pierwszych pięciu odcinków.

▶ Prolog 1984

Przeprowadzka do Netfliksa tytułowi się przysłużyła, nie obyło się jednak bez jednej, dość poważnej straty. Nowa platforma nie udostępnia bowiem poprzedzającego pierwszy sezon serialu „prologu" – niesamowicie klimatycznego, choć trochę mylącego wprowadzenia do całej opowieści. W kilkuminutowej miniaturce po swoim królestwie, PRL-owskim hotelu z klubem nocnym, oprowadza nas Piotr Fronczewski, grający tu jakby rozwinięcie swej postaci z teledysku „Będę brał cię w aucie" Sokoła i Pono, od którego zaczęła się moda na PRL-owski vintage. W spelunie, położonej gdzieś między lokalami z Twin Peaks a „Kongresową" z Barei, widzimy po raz pierwszy kilkoro bohaterów, w tym prostytutkę, która za chwilę zginie wraz z kochankiem, miejscowym działaczem młodzieżowym i sportowym. I tak wchodzimy w serial Jana Holoubka i Kaspera Bajona.

Jest rok 1984, małe miasteczko nie jest gotowe na dużą kryminalną sprawę, a że nieszczęścia chodzą parami, niemal w tym samym czasie z dachu jednego z bloków skacze para nastolatków. I choć wszyscy chcieliby widzieć w obu dramatach tylko dramaty właśnie, wciska się w nie również polityka. A może tylko tak się nam wydaje. Pojawiają się tu pewne skojarzenia, mam wrażenie, że podsuwane nam zupełnie celowo, w grze zorientowanych twórców ze zorientowaną częścią widzów. W sprawie działacza podejrzenia kierują się w stronę byłego boksera i od razu myślimy, że jeśli zrobił to, co zrobił, to zapewne ma coś wspólnego z bezpieką (echa sprawy Pyjasa). Nastoletnia samobójczyni jest córką miejscowego opozycyjnego dziennikarza, więc esbecja bardzo nie chciałaby, by ktoś mógł skojarzyć ją z takim nieszczęściem, ludzie jednak kojarzą (echa sprawy Przemyka).

Wracając jednak do prologu, był on dziełem odrębnym i dla wielu stał się niespełnioną obietnicą. Regularne odcinki, reżyserowane przez Holoubka według scenariusza napisanego wspólnie z Bajonem, z wykorzystaniem pewnych elementów „Mordu" nieżyjącego już Marcina Wrony, napisanego wspólnie z Pawłem Maślonią (reżyserem i scenarzystą świetnego „Ataku paniki"), utrzymane są już w innym, bardziej realistycznym, choć mrocznym wizualnie i nastrojowo klimacie. A kierownik hotelu (znakomity Fronczewski), choć dla fabuły pozostawał postacią na swój sposób istotną, nie był jednak głównym ani nawet pierwszoplanowym bohaterem.

Uwagę skupiają na sobie bowiem Wanycz (Andrzej Seweryn) i Zarzycki (Dawid Ogrodnik), czyli stary i młody dziennikarz. Pierwszy dużo widział i aż za dużo wie, a drugi bardzo chciałby się dowiedzieć i łazi, gdzie nie trzeba. Nawet gdy jest już poważnym redaktorem naczelnym, mianowanym przez nowego, niemieckiego właściciela lokalnego dziennika. W pierwszym sezonie kręcą się wokół wspomnianych już śmierci w miasteczku, w drugim interesują się pęknięciem wałów przeciwpowodziowych, powiązanym, jak się szybko okazuje, z nowym, ekskluzywnym osiedlem „Oaza" zbudowanym na terenie zalewowym, co okazuje się mieć też związek ze śmiercią nastolatka. Oczywiście czas przyniesie też poważny zwrot akcji, łącząc to zdarzenie z wątkami z 1984 roku. Odleglejsza historia też będzie tu obecna. W pierwszym sezonie zasygnalizowano wątek umieszczonego w miasteczku obozu przejściowego dla Niemców, tu poznajemy całą historię, w którą wplątani są poszczególni bohaterowie starszego pokolenia. Z Wanyczem, mającym wśród uwięzionych swą ukochaną, włącznie. Tu uwaga dodatkowa – choć „Rojst" jest kryminałem, niepotrzebującym żadnych podróży w czasie i innych zjawisk nadprzyrodzonych, już patrząc na „showmaxowe" odcinki zastanawiałem się, czy pewne inspiracje „Dark" są faktem, czy tylko moim fanowskim złudzeniem. Tempo ujęć i narracji, a przede wszystkim podobne, ciemne filtry zastosowane przy zdjęciach, budzą bowiem dość silne skojarzenie z niemieckim arcydziełem gatunku. Odpowiedź dostałem dość niespodziewanie, gdy w drugim odcinku drugiego sezonu, w retrospekcji wydarzeń z 1945 roku na ekranie pojawiła się rudowłosa Gina Stiebitz, aktorka, która w „Dark" grała postać Franziski Doppler. I nie jest to jednorazowe pojawienie się na ekranie, grana przez Stiebitz Elza Koepke jest postacią kluczową dla całej opowieści, przynajmniej tej, widzianej oczami (i sercem) Wanycza.

▶ Trochę o postaciach

Aktorstwo jest jednym z mocnych punktów serialu. I choć z wielu ocen przebija rozczarowanie za małą dawką Fronczewskiego, radę dają sobie tutaj wszy-

eprasa.pl 32b92d6aea

scy. W pierwszej części, poza już wymienionymi, uwagę zwraca psychopatyczny milicjant (Jacek Beler), wyglądający tak, jak wyglądałby prawdziwy Marian Koniuszko ze „Zmienników", gdyby był bardziej lotny i pracował w Służbie Bezpieczeństwa. Za starszymi kolegami nadążają nawet najmłodsi, odgrywający szkolny tłumek katów i ofiar, ze szczególnym uwzględnieniem mającej wątpliwości Marianny Kowalewskiej. W drugiej serii pojawia się cała grupa wiarygodnych policjantów, w tym Artur Dziurman jako ceniący sobie spokój komendant i Magdalena Różczka jako bynajmniej nie ceniąca tegoż spokoju policjantka z Warszawy. Za sprawą tej ostatniej postaci pojawi się zresztą również denerwujący część konserwatywnych widzów „obowiązkowy" wątek LGBT, tyle tylko, że i on jest realistyczny, można powiedzieć – „polski", a że prowadzi raczej do komplikacji i niepowodzeń kilku osób i ich bliskich, trudno uznać jego obecność za promocję czegokolwiek, to co najwyżej dopełnienie obrazu.

Również pokazując w nowych odcinkach dramatyczny wątek obozu dla Niemców, mieszczącego się we wciąż nieujawnionej z nazwy śląskiej miejscowości, w której rozgrywa się serial, twórcy uniknęli pułapki wymagań politycznej poprawności. Nie widzimy, jak można się obawiać, „»polskiego« obozu koncentracyjnego", lecz komunistyczny, głównie sowiecki obóz, gdzie niemieccy kaci otrzymują swą odpłatę, a za winy ojców płacić muszą też dzieci, w tym pierwsza miłość Wanycza – Elza. Nie żałujemy więc zbytnio hitlerowców i tylko Franziski z „Dark" trochę nam jednak szkoda. Na pocieszenie jeszcze z pierwszego sezonu wiemy, że Koepke żyje, jest artystką, a Wanycz ma nadzieję, że kiedyś odnajdzie ją w Niemczech. Może zrobi to w trzecim sezonie, jeśli jeszcze znajdzie się w nim dla niego miejsce, bowiem, co też trzeba zauważyć, już w kontynuacji para dziennikarzy przesunięta jest trochę na drugi plan względem nowych bohaterów, policjantki Jass (Różczka) i partnerującemu jej starszemu sierżantowi Mice (Łukasz Simlat, kolejna świetna kreacja tego serialu). Mika to policjant, który trochę kojarzy się z galerią typów z „Drogówki" Smażowskiego. Na początku nie lubi nowej koleżanki, jest (o zgrozo!) rasistą i homofobem, ceniącym sobie i spokój, i swoje życie rodzinne, a jednak bez niego nie da się już trochę zwiastującej inne czasy Jass osiągnąć niczego.

▶ Całość bardzo udana

W sezonie drugim wątki powiązane są ze sobą niekiedy tak luźno, że stwarzają wrażenie odrębnych opowieści. Tak naprawdę łączy je głównie fakt, że sceny, towarzyszące likwidacji obozu, ukształtowały kilka wpływowych postaci ze starszego pokolenia. I dziennikarza, i prokuratora, i lokalnego biznesmena. Ta ostatnia postać również warta jest uwagi, bowiem były aparatczyk Kielak (Mirosław Kropielnicki w roli niemal bliźniaczej do tej ze „Znaków") jest dziś najważniejszym w mieście biznesmenem i głównym reklamodawcą „Kuriera". Nie jest zresztą ukazany jako odrzucająca postać, to raczej sięgający po brutalne metody zdesperowany ojciec, szukający porwanego syna. Twórcy twierdzą, że rok 1997 wybrali nieprzypadkowo jako plan czasowy akcji, ponieważ oprócz istotnej dla intrygi powodzi (o której Holoubek i Bajon kręcą już zresztą oddzielny serial „Wielka woda") jest to według nich moment pewnej równowagi starego, czyli pozostałości po komunizmie, i nowego, czyli polskiego, dość drapieżnego kapitalizmu. Gdy jednak spojrzeć na sezon pierwszy (dziejący się w roku 1984), uderza wręcz, ile tego PRL zostało dookoła nas w sferze wizualnej. Obrzydliwych bloków czy obskurnych zaułków, służących za lokacje, nie trzeba było przecież ani szukać, ani, poza drobiazgami w stylu budki telefonicznej, kreować. Warstwa kreacyjna wyszła zresztą nieźle, choć łowcy rozmaitych nieścisłości swoje wypatrzyli. Moją uwagę zwróciła córka Zarzyckich, która wydaje się bardziej z '94, niż '97 roku ze swoim magnetofonem na kasety (rodzice z domem na ekskluzywnym osiedlu mogliby na pewno pozwolić sobie na odtwarzacz CD) i miłością do grunge'u. Uderza też hasło „HWDP" na jednej ze ścian. Bojowe zawołanie przeciwników policji po raz pierwszy pojawia się bowiem na płycie zespołu Molesta dopiero rok później. To jednak drobiazgi, które nie psują odbioru całości.

Ta zaś jest bardzo udana, pomimo niedopracowania kilku wątków i nie całkiem wiarygodnego tła emocjonalnego niektórych postaci, w tym, co najbardziej razi, państwa Zarzyckich, zwłaszcza tych z drugiej serii. Jednak o większości postaci i ich świecie wiemy wystarczająco dużo, by mieć poczucie, że twórcy szanują widza i nie idą na skróty, nawet jeśli czasem tak zdawało się nam przy pierwszej serii. „Rojst" (swoją drogą to ciekawy tytuł, bo przecież nie jest to wyraz z pierwszego słownika przeciętnego Polaka, sam poza dwoma już tytułami – serialem i powieścią Konwickiego – nigdy się z nim nie spotkałem) to znakomita wizualnie i satysfakcjonująca fabularnie mroczna, lecz mocno osadzona w polskich realiach opowieść. Autorska, samodzielna, lecz niebojąca się czynionych ze smakiem nawiązań do innych, ważnych produkcji, ze wspomnianym „Dark" na czele. Szanse na trzeci sezon są spore i wygląda na to, że warto będzie na niego czekać, a na razie zostaje nam 11 odcinków dwóch serii do obejrzenia na Netfliksie. ■

eprasa.pl 32b92d6aea



Sylwia Krasnodębska

Teresa Żylis-Gara – artystka, która nie umiera

prasa.pl 32b92d6a

Była ozdobą największych światowych scen operowych i jedną z największych śpiewaczek w dziejach opery w ogóle. Podbijała serca publiczności La Scali i Metropolitan Opera. Choć odeszła, jej sława żyje, a jej talent wciąż inspiruje.

Twórczość, którą po sobie zostawiła, to z jednej strony ogromny skarb w dziedzinie sztuki, jaką jest opera, z drugiej to zarazem wielki testament, z którego korzystają kolejne pokolenia śpiewaków. Dominika Zamara, 40-letnia polska śpiewaczka operowa, jeden z najlepszych głosów operowych świata i artystka nosząca tytuł najlepszego sopranu we Włoszech, nie kryje zachwytu nad talentem i warsztatem Teresy Żylis-Gary. – Po raz pierwszy z tym pięknym, lirycznym głosem Maestry Teresy Żylis-Gary spotkałam się, słuchając nagrań duetu z opery Otello „Gia nella notte densa" wraz z wybitnym tenorem Franco Corelli. Zafascynowała mnie piękna barwa, precyzyjne legato oraz niezwykła ekspresja w głosie Maestry. I w tej fascynacji pozostałam do dziś. Bardzo też cenię interpretacje Donny Elviry w operze „Don Giovanni" Wolfganga Amadeusza Mozarta. Ta wybitna śpiewaczka jest nieśmiertelna poprzez swoje wyjątkowe interpretacje – powiedziała w rozmowie z „Nowem Państwem" śpiewaczka.

Teresa Żylis-Gara urodziła się w Wilnie w 1930 roku. Po wojnie przeprowadziła się do Łodzi i tam uczyła śpiewu. Studiowała w tamtejszej Akademii Muzycznej od 1952 roku. Już rok później wygrała Ogólnopolski Konkurs Młodych Wokalistów w Warszawie, a w 1960 roku III nagrodę na Międzynarodowym Konkursie Muzycznym w Monachium. Wtedy rozpoczęła się jej międzynarodowa kariera. Występowała na wielu niemieckich scenach, aż w końcu, w 1966 roku, wyjechała na występy do Paryża, gdzie kreowała postać Donny Elviry w „Don Giovannim" Wolfganga Amadeusza Mozarta. Jej udział na Festiwalu Mozartowskim w Salzburgu w 1968 roku otworzył drogę do wielkiej światowej kariery. Była znakomicie przyjmowana w Londynie w Covent Garden i w operze w San Francisco, a od 1969 roku zaczęła występować na dwóch najważniejszych scenach świata opery – Metropolitan Opera w Nowym Jorku i La Scali w Mediolanie. Teresa Żylis-Gara od 1980 roku mieszkała w Monako.

W 2005 roku otrzymała Złoty Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis", w 2011 roku Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, a rok później Order Oficerski Legii Honorowej Republiki Francuskiej. Gdy kończyła rok temu 90 lat, zdobyła tytuł honorowej obywatelki Łodzi. Z tej też okazji list napisał do niej prezydent Andrzej Duda: „Pani wirtuozowskie partie solowe i wszystkie mistrzowskie kreacje aktorskie przeszły do historii tego gatunku sztuki i wciąż są stawiane za wzór młodym adeptom. I jeśli ktoś chce dziś spojrzeć na wiek XX przez pryzmat osiągnięć światowej wokalistyki, to musi pamiętać o wszystkich Pani genialnych interpretacjach, które zachwycają techniczną precyzją, perfekcyjnym opanowaniem warsztatu, a jednocześnie niezwykłym wdziękiem i sceniczną wrażliwością".

Wiadomość o śmierci artystki przekazał 28 sierpnia na Facebooku Teatr Wielki Opera Narodowa. „Żegnaj, Maestra... Jej niezrównany sopran liryczny o urzekającej barwie oraz dramatycznych możliwościach zachwycał zarówno słuchaczy sal koncertowych, jak i publiczność teatrów operowych całego świata" – mogliśmy przeczytać we wpisie. „Jej niezapomniany sopran był prawdziwą ozdobą największych teatrów świata, na czele z mediolańską La Scalą i nowojorską Metropolitan Opera" – przekazała we wspomnieniach zamieszczonych po śmierci Teresy Żylis-Gary Kancelaria Prezydenta RP. – To jest bardzo smutny dzień. Odeszła jedna z największych śpiewaczek – nie tylko naszych czasów, ale w ogóle całej epoki, jeśli chodzi o wokalistykę światową – powiedział PAP śpiewak operowy Wiesław Ochman. – Odeszła Teresa Żylis-Gara, najsłynniejsza polska sopranistka, legenda sceny operowej, popularyzatorka polskiej muzyki, pedagog. Cześć Jej pamięci! – podkreślił wicepremier, minister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu Piotr Gliński ■

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 32b92d6aea

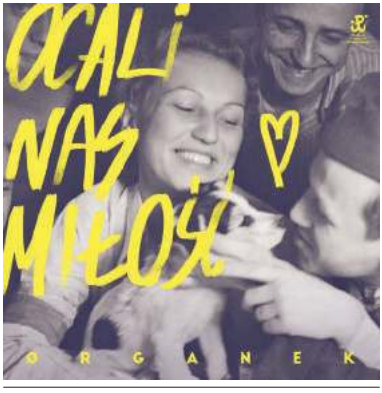


Marek Kalinowski

Na powstańczej fotografii

W 77. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego Ørganek wydaje płytę inspirowaną wojennymi zdjęciami Eugeniusza „Broka" Lokajskiego. To opowieść o pragnieniu wolności, a zarazem o zwykłych emocjach młodych ludzi rzuconych w wir tragicznej historii.

Muzeum Powstania Warszawskiego przyzwyczaiło już nas, że każda rocznica przynosi nowy muzyczny projekt związany z pamięcią o sierpniowych dniach 1944 roku. Przez lata swojej działalności muzeum skompletowało już całkiem obszerną i interesującą dyskografię, a wśród wydanych dotąd albumów jest doskonały krążek zespołu Voo Voo „Placówka'44", jazzowy projekt Agi Zaryan „Umiera Piękno", „Jestem Przestrzeń" Moniki Borzym czy wydane przed trzema laty pieśni Mieczysława Fogga w interpretacjach duetu Młynarski–Masecki. Sięgając pamięcią do początków owej działalności wydawniczej, trudno nie wspomnieć o jednym z pierwszych albumów – „Powstanie Warszawskie" zespołu Lao Che. Powierzenie wówczas tak ważnego projektu mało znanej grupie, specjalizującej się w ostrym, rockowym graniu, niosło ze sobą spore ryzyko niezrozumienia. A jednak historia nakreślona przez Lao Che świeżym, współczesnym i otwartym językiem okazała się strzałem w dziesiątkę, zyskując nie tylko akceptację żyjących powstańców, lecz także przyciągając do muzeum tłumy młodzieży.



Ørganek, OCALI NAS MIŁOŚĆ, Mystic, Muzeum Powstania Warszawskiego

Wspomnienie albumu Lao Che powraca, gdy mamy w ręku najnowsze wydawnictwo muzeum – płytę zespołu Ørganek „OcaIi nas miłość". Znając bowiem wcześniejsze albumy Tomasza Organka można było nabrać wątpliwości, czy uniesie ciężar niełatwej warszawskiej historii. Intuicja „muzealników" jak zwykle jednak nie zawiodła i tak jak w przypadku Lao Che, otrzymujemy ciekawy muzyczny projekt, choć po 16 latach od wydania tamtej płyty z pewnością już nie tak rewolucyjny.

Punktem wyjścia do opowieści Organka jest postać powstańczego fotografa, przedwojennego olimpijczyka w rzucie oszczepem, Eugeniusza Lokajskiego ps. Brok. Otwierający album „Fotograf Brok" to właśnie podróż po walczącej Warszawie widziana okiem młodego fotoreportera. Podróż, z licznymi kadrami, której tragiczny finał ma miejsce przy ulicy Marszałkowskiej 129, gdzie Lokajski ginie pod niemieckim ostrzałem.

Album z fotografiami „Broka" okazał się inspiracją do kolejnych piosenek. Organek w Powstaniu chce bowiem widzieć przede wszystkim historie młodych ludzi. W albumie Lokajskiego dostrzega, że w tle tragicznych wydarzeń wciąż toczy się życie, a wojna nie zwalnia od młodzieńczych pragnień, tęsknot i miłości. Tak powstało „Lustereczko", zaśpiewana przez Klaudię Szafrańską historia zakochanej młodej dziewczyny czekającej na chłopaka, od którego już dawno nie ma wiadomości, a także oparta na prawdziwych wydarzeniach opowieść o miłości Lili i Pałąka.

Fani Organka będą zapewne zaskoczeni muzyczną oprawą, gdzie tak charakterystyczne dla niego gitary zostały zastąpione przez syntezatory i taneczną elektronikę, a najbardziej „Organkowym" utworem wydaje się wykrzyczany „Sen Wolnych Duchów" – hymn o pragnieniu wolności.

Nie zabrakło też wzruszeń. Zaśpiewana przez Magdę Umer piosenka „Idź synku, idź" to kołysanka, w której mama żegna dorosłe już dziecko. Jej syn za chwilę wyjdzie z bronią na warszawskie ulice, a ona wie, że nie może go zatrzymać. Oddala jeszcze moment rozstania, mając świadomość, że być może już nigdy więcej go nie przytuli. ■

eprasa.pl 32b92d6aea

Ryszard Czarnecki

Polskie dramaty olimpijskie

Na Igrzyskach XXXII Olimpiady (taka jest oficjalna nazwa ostatnich letnich igrzysk w Tokio) Polska zdobyła najwięcej medali w XXI wieku – 14, wyrównując osiągnięcie z IO w Sydney 2000. W porównaniu z igrzyskami w Rio de Janeiro przed 5 laty awansowaliśmy aż o 16 pozycji: z miejsca 33. na miejsce 17. W klasyfikacji krajów Europy, którą zrobiłem na prywatny użytek, zajęliśmy miejsce 8., a w klasyfikacji państw-członków UE miejsce 6. W Europie z krajów od nas ludnościowo mniejszych wyprzedziła nas Holandia i tradycyjnie już Węgry (na ostatnich 11 igrzysk aż 10 razy byli w tabeli medalowej przed nami!). Za to my wyprzedziliśmy kraje od nas na naszym kontynencie ludniejsze, jak Hiszpania i Ukraina.

Moc pokazała polska lekkoatletyka, która wywalczyła 9 medali, plasując się w czwórce największych lekkoatletycznych potęg świata, obok USA, Kenii i Włoch. To, co postrzegam jako minus, to spadająca z igrzysk na igrzyska liczba dyscyplin sportowych, w których zdobywamy medale. Oto ilustracja: Pekin 2008 – 8 dyscyplin, Londyn 2012 – 7, Rio de Janeiro 2016 – 6, wreszcie Tokio – już tylko 5. I to musi martwić. Obok lekkoatletyki medale dla Biało-Czerwonych zdobywało kajakarstwo (2) oraz dwa inne sporty wodne – wioślarstwo i żeglarstwo, ale również zapasy (po 1).

O naszych medalistach było w mediach głośno – i słusznie. Jednak ja chciałbym zająć się tymi, którzy mimo ciężkiej pracy i walki znaleźli się poza podium. W ich przypadku chciałoby się wypowiedzieć: „Chwała pokonanym".

Kajakarka górska Klaudia Zwolińska miała rewelacyjny przejazd i już witała się z medalem, co byłoby sensacją, bo na razie jej największym sukcesem było 4. miejsce w tegorocznych mistrzostwach Europy i zwycięstwo w Pucharze Świata. Zawodniczka z Nowego Sącza pomyliła się jednak na jednej z bramek, co spowodowało, że zajęła „dopiero" piąte miejsce. Po zawodach rozpaczała cały dzień...

Marcin Lewandowski – jeden z najbardziej doświadczonych polskich lekkoatletów – najpierw został przewrócony przez rywala w biegu eliminacyjnym na 1500 metrów, a gdy po proteście polskiej ekipy dano mu wystartować w półfinale, to odniósł w nim kontuzję. Tymczasem ten trzykrotny mistrz Europy w hali, były mistrz Europy na stadionie i medalista mistrzostw świata zarówno w hali (srebro), jak i na stadionie (brąz), startujący po raz trzeci na igrzyskach był uważany za jedną z polskich nadziei na medal w Tokio. Sympatyczny, mądry i skromny chłopak zasługuje na to, aby w przyszłości Opatrzność wróciła mu to, co zabrała w Japonii...

Oszczepnik Marcin Krukowski jechał na igrzyska z drugim wynikiem na światowych listach. Jednak fatalnie przygotowana rzutnia preferowała zupełnie inny typ oszczepników niż on i lider światowych rankingów – Niemiec. Rozpadający się na rozbiegu tartan dał sensacyjne zwycięstwo Hindusowi (pierwszy złoty medal dla Indii w historii igrzysk!) oraz medale dwóm Czechom, ale nie 29-letniemu warszawiakowi trenowanemu przez własnego ojca.

Byliśmy o włos od medalu w debiutującym na igrzyskach taekwondo. Pochodząca z Hrubieszowa Aleksandra Kowalczuk to aktualna mistrzyni Europy – w finale pokonała Brytyjkę, kopiąc ją w głowę 6 sekund przed końcem pojedynku! Z tą samą Brytyjką – kontrowersyjną decyzją sędziów – przegrała w walce o brąz mistrzostw świata i też z tą samą zawodniczką (!) minimalnie przegrała walkę o medal w Tokio. Płakała, schodząc z maty.

I nie były to jedyne polskie łzy w Tokio. Płakała też ta, która przegrała medal w judo, ewidentnie skrzywdzona przez sędziów – Agata Ozdoba-Błach. Urodzona w Opolu, reprezentująca Wrocław, trenowana przez męża Łukasza, indywidualna wicemistrzyni świata i brązowa medalistka MŚ, a także czterokrotna medalistka Mistrzostw Europy (raz złoto) miała medalowe aspiracje, tyle że brutalnie przerwane przez arbitrów.

Pamiętając o polskich sportowcach, dzięki którym słyszeliśmy Mazurka Dąbrowskiego i dzięki którym polska flaga łopotała na maszcie – wspomnijmy też tych, którzy nie wygrali, nie zdobyli medalu, lecz walczyli do końca... ■

eprasa.pl 32b92d6aea



Piotr Grochmalski

Afganistan – odrodzone imperium terroryzmu?

Potężna eksplozja 25-kilogramowego ładunku w czwartek, 26 sierpnia, w tłumie ludzi tłoczących się przed lotniskiem w Kabulu, wstrząsnęła USA i światem. Zmieniła też radykalnie sytuację. To zapowiedź otwartej wojny Państwa Islamskiego z talibami o władzę. Prawdopodobnie przekreśla to nadzieje przywódców talibów na międzynarodowe uznanie ich rządów i przyjęcie Afganistanu, rządzonego przez nich, do ONZ.



FOT. STAFF SGT. VICTOR MANCILLA/ NEWSCOM

Samobójczy atak terrorysty z formacji Państwa Islamskiego – Chorasan spowodował śmierć 173 cywili. Zginęło też 13 żołnierzy amerykańskich (18 zostało rannych) zabezpieczających gigantyczną operację przerzutu tych ludzi, którzy nie chcą zostać w Afganistanie rządzonym przez talibów. Do momentu eksplozji setki samolotów wywiozły z Kabulu ponad 100 tys. osób. Sierżant Nicole L. Gee, dziewczyna z przedmieść Sacramento w Kalifornii, była jednym z trzynastu zabitych żołnierzy. Miała 19 lat, gdy cztery lata temu zaciągnęła się do piechoty morskiej. Od momentu, gdy Amerykanie podpisali z talibami porozumienie w lutym 2020 roku, do 26 sierpnia nie zginął ani jeden żołnierz USA i z sojuszniczych sił. Liderzy talibów przekonywali, iż zależy im na dobrych relacjach z Zachodem. Obie strony umiejętnie unikały konfrontacji. Gdy wojska talibów rozpoczęły wielką ofensywę, Amerykanie nie dokonywali na nich nalotów. Oddziały nie wchodziły w wymianę ognia. Śmierć amerykańskich żołnierzy 26 sierpnia zmienia jednak wszystko. Pokazuje, że bardzo prawdopodobne jest, iż kraj też znów stanie w ogniu. Formacja Państwa Islamskiego – Chorasan – powstała w 2015 roku i za swoich wrogów uważa zarówno Amerykanów, jak i talibów. Ten zamach to zapowiedź otwartej wojny Państwa Islamskiego z talibami o władzę. Prawdopodobnie przekreśla to nadzieje przywódców talibów na międzynarodowe uznanie ich rządów i przyjęcie Afganistanu, rządzonego przez nich, do ONZ.

▶ Talibowie znaleźli się w pułapce?

Z jednej strony mają przeciwko sobie Ahmada Masuda, który okopał się w Dolinie Pandższeru. To syn legendarnego przywódcy mudżahedinów, Ahmada Szaha Masuda, zabitego przez Al-Kaidę ze wsparciem talibów dwa dni przed terrorystycznym atakiem na World Trade Center w 2001 roku. Ahmad Masud przekazał jednoznaczny sygnał poprzez „The Washington Post", że kontroluje część terytorium Afganistanu i zamierza walczyć z talibami. Zwrócił się do Stanów Zjednoczonych o pomoc. „Piszę z Doliny Pandższeru, gotowy do pójścia w ślady mojego ojca, z mudżahedinami przygotowanymi, by raz jeszcze zmierzyć się z talibami. Mamy zapasy amunicji i broni, które cierpliwie gromadziliśmy od czasów mojego ojca, bo wiedzieliśmy, że ten dzień nadejdzie" – napisał. Poprosił też o wsparcie Wielką Brytanię (w Londynie skończył studia), a także Francję. Przypomniał, że w Paryżu w tym roku pamięci jego ojca poświęcono jedną z ulic przy Polach Elizejskich. Dolina Pandższeru nigdy nie została opanowana przez talibów. To stąd ruszyła ofensywa Sojuszu Północnego, która ostatecznie obaliła ich władzę w 2001 roku. A teraz schronił się tu wiceprezydent Afganistanu, Amrullah Saleh. Po ucieczce głowy państwa, Aszrafa Ghaniego, Saleh ogłosił się legalnym prezydentem kraju.

Z drugiej strony Państwo Islamskie pokazało, że nie uznaje przywództwa talibów. Co więcej – jest przeciwne porozumieniu z Amerykanami. Ten układ z USA różnie odbierany był też w szeregach talibów. O ile ich przywódcy za wszelką cenę chcieli uniknąć wcześniejszej sytuacji, gdy znaleźli się w niemal pełnej międzynarodowej izolacji, o tyle tysiące młodych talibskich wojowników są bardzo radykalne. A to oni stanowią fundament bojowników. W ślad za tym zamachem nastąpią prawdopodobnie następne, a kraj zmierzać będzie do kolejnej wojny domowej. Amerykanie zostawili w tym państwie sprzęt wojskowy wart 82 mld dolarów. Wystarczy na uzbrojenie w supernowoczesny sprzęt tysięcy wojowników. Region stanie się znów prawdziwą beczką prochu. A z 38-milionowego Afganistanu setki tysięcy uciekinierów, a nawet miliony, zaleją Europę. Przez 20 lat obecności wojsk NATO w Afganistanie wyrosło pokolenie ludzi, którzy nie chcą żyć w talibskim reżimie. Zaufali USA. Byli przekonani, iż modernizacja kraju, jego otwarcie na świat będzie trwałym elementem. Prezydent Biden być może uruchomił proces, który może stanowić śmiertelne zagrożenie głównie dla istnienia Unii Europejskiej. Jedną z głównych bram, które będą forsowane w drodze do Unii, będą państwa wschodniej flanki NATO, w tym Polska. A Afganistan przemieni się w pole brutalnej walki między talibami a formacjami Państwa Islamskiego, które będzie starało się stworzyć tu swoją główną bazę w świecie islamskim. Wybuchnie kilkanaście innych lokalnych konfliktów między Hazarami, Pasztunami, Tadżykami, Uzbekami.

▶ Pierwsza przegrana NATO i ostatnia katastrofa Zachodu?

28 sierpnia Zalan Khan w telewizji Al Jazeera pytał wprost, czy Afganistan oznacza koniec imperium amerykańskiego. Uważa, że katastrofa związana z tym, w jakim stylu USA opuściły Afganistan, spowodowała, że „Amerykański apetyt na wejście w konflikt w celu zachowania globalnej dominacji wydaje się słabnąć". Khan zauważa, że „Najbogatszy kraj z najpotężniejszą armią na świecie wydał dwa biliony dolarów, rozmieścił aż 775 000 żołnierzy od czasu inwazji w 2001 roku, szkoląc, wyposażając i budując przez dwie dekady. A kiedy zdecydował się wycofać, jego afgańscy sojusznicy poddali się w ciągu tygodnia". Autor dostrzega pewne znużenie Stanów Zjednoczonych dominacją. Co prawda nadal „pozostają największą potęgą militarną świata. Skala i rozmach ich gospodarki pozostają ogromne. Zmienił się jednak apetyt na konflikty bezpośrednie i pośrednie, aby utrzymać swoją władzę. Ich

eprasa.pl 32b92d6aea

sojusznicy – w Afganistanie i gdzie indziej – jako pierwsi odczuwają rosnącą amerykańską niechęć do globalnej dominacji". A przecież do katastrofy kabulskiej USA starały się mocno podkreślać swoje strategiczne interesy. Jak zauważył w Voice of America Ralph Jennings, odnotowano rok wcześniej niezwykły wzrost aktywności amerykańskich sił na Morzu Południowochińskim. Dave Keating, amerykański analityk z Atlantic Council, rozważa w „Internationale Politik Quarterly", „Czy NATO może przetrwać klęskę w Afganistanie". Autor przypomina, że przywódcy państw UE na początku maja oczekiwali od Bidena jasnej odpowiedzi, czy utrzyma harmonogram wycofania się z Afganistanu, który uzgodnił wcześniej z talibami Donald Trump. Keating stwierdza, iż „Panował konsensus, że potrzebna jest solidna gwarancja ze strony talibów co do ich zobowiązania do zawieszenia broni i rozwiązania politycznego, zanim będzie mogło dojść do wycofania się. Zauważyli, że konsekwencje pospiesznego wycofania będą odczuwane bardziej przez Europę niż przez Stany Zjednoczone, co stanowi »bezpośrednie zagrożenie dla kluczowych europejskich interesów bezpieczeństwa« i »powoduje masowe przepływy migracyjne do Europy«. Jednak pomimo tych obaw Europejczycy czuli się w tej sytuacji całkowicie bezsilni... Po prostu czekali na instrukcje prezydenta Bidena dotyczące tego, co mają zrobić. Być może nie ma bardziej przejmującej i katastrofalnej ilustracji głównego problemu, przed którym stoi Organizacja Traktatu Północnoatlantyckiego". Przytacza dramatyczną wypowiedź lidera niemieckiego CDU, Armina Lascheta, który stwierdził, że jest to „największa klęska, jaką NATO poniosło od czasu powstania". Keating zadaje pytanie – skoro wszyscy europejscy liderzy byli przeciwni wyjściu z Afganistanu, to dlaczego tam nie pozostali? Jego odpowiedź jest jednoznaczna – Europejczycy nie byliby w stanie kontynuować w Afganistanie nawet małej misji bez udziału Amerykanów. A to oznacza, iż NATO nie jest żadnym sojuszem, lecz raczej paktem wojskowym, „niezdolnym do działania w żaden sposób bez Stanów Zjednoczonych". Ale Waszyngton kieruje się przede wszystkim własnymi interesami, co powoduje, że kraje europejskie są całkowicie bezsilne w sprawach dotyczących ich bezpieczeństwa. Lekcja Afganistanu powinna być impulsem do twardej i otwartej dyskusji nad realnym bezpieczeństwem europejskim.

Apokalipsa naszych czasów

Zdumiewające, ale apokalipsa w Afganistanie zaskoczyła wszystkie strony konfliktu. Nagle, niemal z dnia na dzień, znaleźliśmy się jakby w radykalnie innym świecie. Talibowie, którzy z Afganistanu uczynili w przeszłości bazę światowego terroryzmu, odzyskali pełnię władzy. USA były zszokowane skalą katastrofy i szybkością ekspansji talibów, komunistyczne Chiny nie ukrywały zdumienia szansą, jaka nagle pojawiła się dla nich w regionie na wzmocnienie ich pozycji. Sekretarz generalny NATO, Jens Stoltenberg, w dramatycznych słowach stwierdził, że „to, co widzieliśmy w ciągu ostatnich kilku tygodni, to wojskowy i polityczny upadek w nieprzewidzianym tempie". Joseph Borell, wysoki przedstawiciel Unii Europejskiej do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa, dramatycznie zaapelował do talibów: „w przypadku przejęcia władzy siłą i przywrócenia Islamskiego Emiratu, talibowie staną w obliczu nieuznania, izolacji, braku międzynarodowego wsparcia oraz perspektywy dalszego konfliktu i przedłużającej się niestabilności w Afganistanie". Rosja nie przewidziała szybkości rozpadu afgańskiej armii zbudowanej przez USA i musiała wzmocnić ochronę granicy Tadżykistanu. Jej pozycja militarna, jako gwaranta bezpieczeństwa dla państw Azji Środkowej, gwałtownie wzrośnie. Ale także sami liderzy talibów nie ukrywali ogromu zaskoczenia, że tak łatwo ich siły liczące ledwie kilkadziesiąt tysięcy lekko uzbrojonych ludzi rozbiły 300-tysięczną, świetnie wyposażoną armię, dysponującą sprzętem, którego nie posiada wiele sił zbrojnych państw NATO. Praktycznie w ciągu kilku tygodni rozpadło się całe afgańskie państwo żmudnie budowane po rozgromieniu w 2001 roku sił talibskich i opanowaniu 13 listopada 2001 roku Kabulu.

Zakulisowe przygotowania

Siła ciosu, jaki prezydent Biden zadał USA i NATO, nie ma precedensu w dziejach Ameryki i Sojuszu. Jego skutki będzie można w pełni ocenić dopiero wówczas, gdy wyklaruje się wewnętrzna sytuacja w Afganistanie, a także gdy okaże się, na ile Chiny i Rosja wykorzystają powstałą nową sytuację geostrategiczną w regionie. Dla ludzi z ogromnym doświadczeniem w polu, takich jak brytyjski gen. sir Richard Barrons, decyzja Bidena była koszmarnym błędem, który grozi odrodzeniem się terroryzmu. Jak zdecydowanie stwierdził w rozmowie z BBC: „Będziemy narażać się na ryzyko ponownego osiedlenia się terrorystów w Afganistanie, aby wyrządzić szkody w Europie i gdzie indziej". Także legendarny, czterogwiazdkowy amerykański gen. David Petraeus, który w przeszłości dowodził połączonymi siłami NATO w Afganistanie, uważa, że wyjście USA z tego kraju było zdecydowanie przedwczesne i zniweczy cały wcześniejszy wysiłek. Biden żył jakby w swoim świecie, zupełnie oderwany od rzeczywistości. Poraża skala pomyłki Białego Domu wynikająca z zasadniczo błędnych raportów wywiadowczych, które źle oceniały realne zdolności bojowe afgańskiej armii. Ameryka długo i starannie przygotowywała się do tej operacji, trafnie

eprasa.pl 32b92d6aea

oceniając, iż afgańskiego dylematu nie uda się rozwiązać bez włączenia do struktur państwa przedstawicieli talibów. Już w 2011 roku administracja Obamy zezwoliła wyselekcjonowanej grupie urzędników talibskich na przeniesienie się do Kataru, aby stworzyć przestrzeń do bezpośrednich negocjacji z rządem ówczesnego prezydenta Hamida Karzaja. Ten urodzony w Kandacharze pasztuński polityk pochodził z klanu Papalzai, a więc z plemienia Durani, z którego wywodziła się większość talibskich liderów. Był zresztą z początku ich zwolennikiem, gdy pojawili się w Kandaharze w 1994 roku, tradycyjnym ośrodku władzy i kultury Pasztunów. W całym państwie pogłębiał się od 1992 roku chaos wojny domowej siedmiu głównych ugrupowań, które wcześniej walczyły z radziecką interwencją. Ahmed Rashid, pakistański dziennikarz, bodaj najlepszy na świecie znawca tego regionu, w książce „Dżihad: powstanie wojującego islamu w Azji Środkowej" opisuje makabrycznie brutalne mordy dokonywane w tej wojnie. W Kandaharze rządził Hekmatiar i lokalni watażkowie, tacy jak mułła Naqib. Skala bezprawia i przestępstw była szokująca. Talibowie przedstawiali się jako ci, którzy stworzą islamski porządek, zapanują nad chaosem i przestępczością. Przywrócą też chwałę plemieniu Duranii i wszystkim Pasztunom. W październiku 1994 roku symbolicznie wyruszyli z wioski Maiwand, gdzie w 1880 roku, w trakcie II wojny afgańsko-brytyjskiej, armia imperium została rozbita. Talibowie zdobyli Kandahar i okoliczne prowincje, tracąc zaledwie kilkudziesięciu ludzi. Zdobyli wielki skład amunicji Gulbudina Hekmatiara i opanowali główny szlak handlowy z Pakistanu do Azji Środkowej. W ciągu trzech miesięcy grupa założona przez mułłę Mohammada Omara, wyszkolona i wyposażona przez pakistańskie służby, przejęła kontrolę nad trzecią częścią Afganistanu. Dwa lata później zdobyła Kabul.

Brutalny reżim talibów

Ich władza szybko okazała się wyjątkowo brutalna i bezwzględna. Gdy wkroczyli do Kabulu w 1996 roku, pierwsze, co zrobili, to powiesili byłego prezydenta, 50-letniego Nadżibullaha. Rządził Afganistanem w latach 1986–1992, gdy został obalony. Schronił się wówczas w przedstawicielstwie ONZ w Kabulu. Jego żona, Fatana, i trzy jego córki od 1992 roku mieszkały w New Delhi. On, ze swoim bratem, Szappurem Ahmadzajem, sekretarzem i ochroniarzem, schronili się w budynku ONZ w centrum stolicy. Kompleksu broniło trzech Afgańczyków, których opłacało ONZ. Gdy tylko pojawiła się informacja, że talibowie wkraczają do miasta, uciekli. Do pojmania Nadżibullaha wyznaczona została specjalna, pięcioosobowa grupa talibów. Dowodził nią mułła Abdur Razak. Pakistański dziennikarz Ahmed Rashid tak opisuje przebieg wydarzeń: „Talibowie weszli do pokoju Nadżibullaha, pobili jego i jego brata do utraty przytomności, po czym załadowali ich do furgonetki i zawieźli do Pałacu Prezydenckiego. Tam wykastrowali Nadżibullaha, wlekli jego ciało za dżipem, robiąc kilka rund wokół Pałacu, po czym go zastrzelili. Jego brata poddano podobnym torturom, a następnie uduszono. Talibowie powiesili obu mężczyzn na latarniach przed Pałacem. [...] O świcie ciekawscy mieszkańcy Kabulu przyszli zobaczyć wiszące na latarniach napuchnięte, posiniaczone ciała. Między palce powtykano im niezapalone papierosy, a kieszenie napchano afgańskimi banknotami – miały one obrazować opinię talibów o powszechnym panowaniu rozpusty i korupcji. Ciała długo wisiały. Zakazano ich pochówku, miały być symbolem nowych, brutalnych porządków". W ciągu doby Kabul zamienili w piekło. Rashid stwierdza, że narzucili najbardziej surowy islamski system, jaki obowiązywał w świecie. Kobietom zabroniono pracować, szkoły dla dziewcząt zostały zamknięte, na ulicy mogły się poruszać zakryte od stóp do głów. Zarządzono, że złodziejom będą odcinane ręce i nogi, cudzołożnicy będą kamienowani, pijący alkohol skazywani na chłostę. Telewizja, wideo, anteny satelitarne, muzyka i wszelkie gry, łącznie z szachami, a także piłka nożna i puszczanie latawców zostały zakazane. Talibscy żołnierze na ulicach wyłapywali i wsadzali do aresztów mężczyzn bez bród. Ustawowo określili ich długość. W Mazar-e Szarif w 1998 roku dokonali ludobójstwa na Hazarach. Jak pisze Rashid: „mułła Omar pozwolił im zabijać przez dwie godziny, ale oni zabijali przed dwa dni... Strzelali bez ostrzeżenia do każdego, kto akurat był na ulicy, nie rozróżniając między mężczyznami, kobietami i dziećmi. [...] Przez pierwsze sześć dni nikomu nie wolno było chować ciał. Psy jadły ludzkie mięso i szalały". Przeprowadzili też sąd nad gigantycznymi pomnikami Buddy stojącymi w Bamjan, kolebce buddyzmu dla całej Azji Środkowej. Skazali je na zniszczenie i dzieła dokonali. Przekształcili Afganistan w zaplecze terrorystyczne świata islamskiego. Mohammad Omar ogłosił się przywódcą Islamskiego Emiratu Afganistanu. Państwo zostało uznane przez Pakistan, Arabię Saudyjską i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Po ataku terrorystycznym na USA 11 września 2001 roku dzień później NATO, po raz pierwszy i dotąd ostatni w historii, powołało się na art. 5 o solidarnej odpowiedzi wszystkich członków Sojuszu na atak jednego z nich. To było podstawą interwencji zbrojnej Sojuszu w Afganistanie formalnie zakończonej w 2014 roku i przekształconej w misję stabilizacyjną.

Rozmowy USA z talibami

Już rok wcześniej, w 2013, za cichą zgodą USA, formalnie otwarto biuro talibów w Doha. Na jego czele

eprasa.pl 32b92d6aea

stanął Abdul Ghani Beradar – szwagier Omara. Był on, podobnie jak Karzaj, z klanu Popalzajów plemienia Durani. W talibskim rządzie pełnił funkcję szefa wywiadu i gubernatora Heratu. W 2017 roku stał się inicjatorem listu do prezydenta Trumpa, którego efektem był początek dwuletnich rozmów. Zakończyły się one fiaskiem. Nagle w listopadzie 2019 roku Donald Trump odwiedził żołnierzy amerykańskich w Afganistanie i dał sygnał do wznowienia rozmów. Nie zaproszono na nie rządu afgańskiego. Baradar, szef biura politycznego Talibów w Doha, 29 lutego 2020 roku podpisał ze Stanami Zjednoczonymi porozumienie, które utorowało drogę do wycofania się USA i innych sił zagranicznych. Talibowie obiecali, że nie będą atakować obcych sił dowodzonych przez USA. Od tego momentu rzeczywiście nie zginął ani jeden amerykański żołnierz. Koślawe porozumienie zapoczątkowało także rozmowy pokojowe między talibami a afgańskim przywództwem w stolicy Kataru, lecz nie zatrzymały one ofensywy prowadzonej przez talibów. Ekipa Trumpa przewidywała stopniowe i miękkie wycofywanie się. Biden, po dojściu do władzy, radykalnie przyspieszył działania. Ale nawet w ostatecznej wersji przyjęte rozwiązania nie oznaczały tak naprawdę całkowitego wycofania wojsk amerykańskich z Afganistanu. Około tysiąca osób miało ochraniać strategiczne dla USA miejsca w Kabulu, w tym głównie ambasadę i lotnisko, a także infrastrukturę elektroniczną, która miała być dalej wykorzystywana do aktywności wywiadowczej i rozpoznawczej. Biden w rozmowie z Putinem w Genewie poruszył kwestię wykorzystania przez Amerykanów baz w Azji Środkowej, aby zabezpieczyć logistykę całego procesu. Prezydent Rosji uznał to za niemożliwe. Dlatego cała operacja odbywa się głównie poprzez indyjskie bazy na Andamanach i Nikobarach, wsparty potencjałem V floty z flagowym lotniskowcem „Ronald Reagan". W konsekwencji Amerykanie, w praktyce w całym regionie, włączając w to Azję Środkową, nie dysponują bazami wojskowymi. A dramatyczny upadek państwa i przejęcie władzy rzez talibów spowodowały załamanie się przygotowanych planów ewakuacyjnych. W konsekwencji USA pozostawiły tysiące pojazdów opancerzonych, samoloty, śmigłowce i drony. Według częściowych danych, ujawnionych agencji Reutera przez administrację Białego Domu, talibowie przejęli ponad 2 tys. nowoczesnych pojazdów opancerzonych i 40 samolotów i helikopterów szturmowych UH-60 Black Hawk, a także drony wojskowe ScanEagle. Łącznie Stany Zjednoczone wyposażyły afgańską armię w 75 tys. pojazdów, 600 tys. sztuk broni i ponad 200 samolotów. Do ostatniej chwili Amerykanie dostarczali najnowocześniejszy sprzęt – jeszcze w lipcu dotarły do sił afgańskich 35 szturmowych helikopterów Blask Hawk i trzy samoloty Super Tocano. Jake Sullivan, doradca Bidena do spraw bezpieczeństwa narodowego, ujawnił mediom, że USA nie mają „pełnego obrazu" pozostawionego sprzętu wojskowego. Amerykanie pozostawiając w rękach talibów tak gigantyczną ilość nowoczesnej broni, radykalnie dozbroili nie tylko ich, lecz także wiele radykalnych organizacji muzułmańskich, z którymi talibowie współpracują. Trafią one na czarny rynek handlu bronią w Azji i w Europie. Biden, wycofując w tak chaotyczny sposób armię amerykańską, podłożył gigantyczną bombę pod bezpieczeństwo europejskie. Setki organizacji muzułmańskich w Europie, głównie w Niemczech, Francji i we Włoszech, skorzysta na tym, niemającym precedensu w najnowszej historii, wsparciu supernowoczesnym sprzętem i aparaturą.

Dlaczego doszło do katastrofy

Afganistan był kluczowym miejscem wielkiej gry geopolitycznej Imperium Brytyjskiego i Rosji w XIX wieku. Potem stał się obszarem konfrontacji strategicznej Związku Sowieckiego i USA, która zakończyła się katastrofą dla Moskwy. W 2001 roku USA i NATO podjęły próbę rozwiązania dylematu strategicznego Afganistanu. Skuteczna kontrola tych ziem to dysponowanie kluczem otwierającym drogę na Bliski Wschód, Europę, Azję Środkową, Chiny, Indie, Pakistan i Zatokę Perską. Potencjał strategiczny tych 653 tys. kilometrów kwadratowych jest jedynie kwestią wyobraźni imperium, które byłoby w stanie przejąć skuteczną kontrolę. Velina Tchakarova, kierująca Austriackim Instytutem Polityki Europejskiej i Bezpieczeństwa, twierdzi, iż „Słabe wyniki w realizacji dużych projektów energetycznych, infrastrukturalnych i komunikacyjnych w Afganistanie były jedną z największych porażek Stanów Zjednoczonych w ciągu ostatnich 20 lat". Po wydaniu od biliona do 2,3 biliona dolarów, sumy astronomicznej nawet dla najsilniejszych gospodarek świata, w tym 143 mld dolarów na odbudowę i modernizację państwa, Waszyngton oddał pole. W całej historii Stanów Zjednoczonych był to najdłuższy i najdroższy konflikt. Największy szok wywołała zdumiewająca anihilacja afgańskiej armii i policji, na które USA i sojusznicy wydali 88 mld dolarów. Rozpadła się przy pierwszej konfrontacji z talibskimi siłami. Mohammad Shafiq Hamdam, afgański ekspert do spraw bezpieczeństwa, stwierdził, iż wsparcie powietrzne było dotąd kluczowym elementem operacji antytalibańskich. Choć siły afgańskie prowadziły operacje grupowe, zawsze mogły liczyć na lotnictwo NATO i USA. Po wycofaniu się Sojuszu Północnoatlantyckiego afgańskim oddziałom rządowym brakowało tego kluczowego elementu na polu bitwy przeciwko formacjom talibskim. Należy z uwagą traktować uwagi Hamdama. Odegrał kluczową rolę w podpisaniu przez Kabul i Waszyngton Dwustronnego porozumienia o bezpieczeństwie, na mocy którego oko-

eprasa.pl 32b92d6aea

ło 10 tys. żołnierzy amerykańskich pozostało w Afganistanie po formalnym zakończeniu międzynarodowej misji bojowej 31 grudnia 2014 roku. Z kolei Shamil Shams, pakistański dziennikarz pracujący dla Deutche Welle, uważa, iż już sam fakt wyjścia Amerykanów i ich sojuszników spowodował proces szybkiej i głębokiej demoralizacji armii afgańskiej. Zaczął on już występować po 2014 roku, gdy nastąpiła drastyczna, dziesięciokrotna redukcja sił zbrojnych NATO w Afganistanie. Były też czytelnym sygnałem dla talibów, że mogą bezkarnie obalić rząd w Kabulu. Faktem jednak jest, że na wyszkolenie i wyposażenie afgańskiej armii rządowej Waszyngton wydał 83 mld dolarów. Według Shamsa, to demoralizacja i wszechpotężna korupcja w armii odegrały kluczową rolę w klęsce rządowych sił. Wielu Afgańczyków postrzegało porozumienie amerykańsko-talibskie z 2020 roku zawarte w Doha, przez administrację byłego prezydenta USA Donalda Trumpa, jako sygnał, że Waszyngton nie jest już zainteresowany Afganistanem, co z kolei zdemoralizowało siły afgańskie. Kiedy Joe Biden zastąpił Trumpa na stanowisku prezydenta, Kabul miał nadzieję, że nowy przywódca USA da im trochę więcej czasu. Stało się odwrotnie – w kwietniu 2021 roku Biden radykalnie zaostrzył plan Trumpa dotyczący bezwarunkowego wycofania wszystkich wojsk amerykańskich z Afganistanu, a sojusznicy USA z NATO poszli w jego ślady. Shams podkreśla, iż administracja afgańska nie była gotowa na tak szybkie wycofanie się, a fakt, że talibowie nie zgodzili się na ogólnokrajowe zawieszenie broni i rozmowy nad stworzeniem rządu koalicyjnego, a mimo to Amerykanie dalej forsowali tempo opuszczenia państwa, przesądzał o katastrofie. Według raportu amerykańskiej Rady ds. Stosunków Zagranicznych, afgańskie wojsko „nie było w stanie dostarczyć niezbędnych dostaw, takich jak żywność i amunicja, do placówek rozsianych po całym kraju". Pozostawieni sobie, woleli się poddać talibom „zamiast ryzykować życie dla beznadziejnej sprawy" – stwierdza raport. Podkreśla on, iż „niektóre jednostki afgańskie, zwłaszcza elitarni komandosi, walczyli ostro do samego końca". Ale klęska spowodowana była skalą korupcji w armii. Jak wynika z danych przedstawionych przez „The Washington Post", z 352 tys. żołnierzy i policjantów, którzy formalnie istnieli, realnie było to jedynie 254 tys. Według gazety powszechnym zjawiskiem było tworzenie przez wielu dowódców „żołnierzy-widm", za których brali pieniądze. Ograniczali oni także często wielkość żołdu wypłacanego pozostałym żołnierzom. Kadrze i żołnierzom sił rządowych brakowało też motywacji do walki. Lojalność wobec starszyzn plemiennych lub wobec struktur regionalnych przeważała nad poczuciem lojalności wobec rządu centralnego w Kabulu. A z drugiej strony talibowie byli zjednoczeni przez radykalną ideologię islamską. Nadeem Farooq Paracha, komentator mediów pakistańskich, komentując afgańską katastrofę, zauważył złośliwie, że po opuszczeniu armii sowieckiej Afganistanu w 1989 roku, mudżahedini potrzebowali aż trzech lat na to, by obalić władzę byłego socjalistycznego prezydenta Afganistanu, Muhammada Najibullaha. Ostatecznie gdy talibowie zdobyli Kabul w 1996 roku, zamordowali w publicznej egzekucji Najibullaha. Teraz obalenie władzy Ghaniego zajęło talibom mniej niż miesiąc.

Chiny na tym skorzystają?

Chiny wstrzymują się z uznaniem rządu talibów. Nie chcą być pierwsi. Czas pracuje na ich korzyść. Pod koniec lat 70. XX wieku współdziałały z USA w wypchnięciu ZSRS z Afganistanu. A gdy trzydzieści lat później USA obaliły władzę talibów w Afganistanie – jak zauważa Henry Kissinger [amerykański polityk i dyplomata – przyp. red.] – elastycznie dostosowali się do nowej sytuacji. Byli jedynie zainteresowani ochroną swoich inwestycji w afgańskie zasoby mineralne. Jak podkreśla Kissinger: „Zrealizowawszy te cele, Chiny nie sprzeciwiały się amerykańskim działaniom w Iraku i Afganistanie (a być może nawet były z nich zadowolone, ponieważ odwracały one uwagę amerykańskiej armii od Azji Wschodniej)". Dziś z perspektywy Pekinu kluczowe znaczenie ma to, na ile katastrofalna porażka Amerykanów w Afganistanie wpłynie na ich determinację wobec dalszego wspierania Tajwanu. Podejmą serię prowokacji, aby sprawdzić wolę USA w tej mierze, ale z pewnością także dla Tajpej jest to czas krytycznej próby. Chińskie media już otwarcie eksploatują narrację, zgodnie z którą Afganistan jest ilustracją tego, że Stany Zjednoczone mają we krwi zdradzanie swoich sojuszników. A przecież zasadniczy element strategii USA ma się opierać na zbudowaniu państw sojuszniczych, które wyhamują wzrost potęgi Chin. Jak prognozował John J. Mearsheimer [amerykański politolog – przyp. red.]: „sąsiedzi Chin przy współudziale Stanów Zjednoczonych będą starali się powstrzymać ambicje Pekinu, a będące efektem tych przeciwstawnych dążeń zmagania zachwieją bezpieczeństwem całej Azji". Pekin będzie też przedstawiał, iż Afganistan to historyczny moment przełomu, który pokazywać będzie coraz szybszy odwrót Zachodu nie tylko w Azji, lecz także na całym globie. Chińska propaganda będzie również podkreślała, że Ameryka nie wygrała dotąd żadnej wojny w Azji, co podważa wiarygodność jej potęgi – szczególnie wobec narastającej konfrontacji o Morze Południowochińskie. Chiny wykorzystają też przykład Kabulu jako symbol porażki modelu demokracji. Będą się starały pozyskać talibów do programów gospodarczych. Jeśli będą izolowani w zachodnim świecie, zaproponują im szeroką wymianę gospodarczą w zamian za zasoby pierwiastków rzadkich. Ich zasoby w Afganistanie ocenia się na bilion dolarów.

eprasa.pl 32b92d6aea

Indie są wielkim przegranym

Przejęcie przez talibów rządów nad Kabulem to strategiczny „cios" dla indyjskich interesów w Afganistanie. Od ich obalenia w 2001 roku dla New Delhi dobre relacje z nowymi władzami odgrywały kluczową rolę. Jak zauważa Bilat Kuchay w Al Jazeerze, opanowanie przez talibów kraju, który ma strategiczne znaczenie dla Chin i Pakistanu, wypycha z tego obszaru Indie, regionalnego giganta. Indie zamknęły swoją ambasadę i ewakuowały setki swoich pracowników. New Delhi zainwestowało 3 mld dolarów w modernizację Afganistanu, zaoferowało stypendia afgańskim studentom i w znacznym stopniu sfinansowało budowę nowego gmachu parlamentu. W ubiegłym roku podczas konferencji w Afganistanie w 2020 roku indyjski minister spraw zagranicznych Subrahmanyam Jaishankar powiedział, że żadna część Afganistanu nie została „nietknięta" przez „ponad 400 projektów", które Indie podjęły we wszystkich 34 prowincjach kraju. Indie, które postrzegają talibów jako pełnomocnika swego arcyrywala – Pakistanu, utrzymywały bliskie związki z Sojuszem Północnym, który w 2001 roku pokonał afgańską grupę zbrojną z pomocą sił NATO dowodzonych przez USA. Talibowie byli cały czas finansowani i wspierani przez Pakistan, z którym Indie toczyły dotąd trzy krwawe wojny. Happymon Jacob z Uniwersytetu Jawaharlala Nehru w New Delhi powiedział: „Myślę, że Indie wydają się poza grą w Afganistanie". Michael Kugelman, zastępca dyrektora programu azjatyckiego w amerykańskim Centrum Wilsona, uważa, iż „Przejęcie władzy przez talibów zadaje cios strategicznym interesom Indii". Jak zauważa: „Afganistan będzie miał teraz rząd propakistański, a to da drugiemu kluczowemu rywalowi Pakistanu i Indii, Chinom – bliskiemu przyjacielowi Pakistanu – okazję do odegrania większej roli w Afganistanie". Jeśli Iran, Pakistan, Chiny i Rosja uznają talibski rząd, Indie będą musiały także nawiązać z nim stosunki dyplomatyczne.

Afganistan i strategiczne wnioski dla Polski

Polska była na tej wojnie bez mała 19 lat, wypełniając zobowiązania wynikające z art. 5 NATO. Uczestniczyły w niej ponad 33 tys. polskich żołnierzy. Czterdziestu czterech zginęło i jedna osoba z obsługi cywilnej, ponad 800 osób było poszkodowanych. Ci, którzy przeszli Afganistan i Irak, stanowią dziś fundament polskiej armii. Mają ten rodzaj doświadczenia, które można zdobyć jedynie w realnych warunkach pola walki. To była też nasza wojna. Przegrana, ale wobec zagrożenia ze Wschodu posiedliśmy unikalne zdolności operacyjne. W obliczu katastrofy Polska zagwarantowała bezpieczeństwo tym Afgańczykom, którzy nam zaufali. Biden w pierwszym swoim wystąpieniu po kabulskiej katastrofie mocno podkreślił, że decyzja o wycofaniu się z Afganistanu była słuszna. Zaznaczył, iż cel nowej ekipy w Białym Domu jest jednoznaczny – USA skupiają się na bezpośredniej, strategicznej rywalizacji o utrzymanie swojej pozycji. Kwestie drugorzędne spadają na barki sojuszników. Wszystkie kluczowe zasoby Ameryki będą podporządkowane temu celowi, bowiem skala wyzwania nie ma precedensu. Warto w tym kontekście zwrócić uwagę na komentarz analityka RAND, Michaela J. Mazarra, opublikowany na War on Rock pt. „Czas na nowe podejście do strategii obronnej". Tekst ten ilustruje ożywioną dyskusję wśród amerykańskich ekspertów od bezpieczeństwa, która dotyczy radykalnej zmiany amerykańskiej strategii w obliczu chińskiego wyzwania. Jej elementy są już wdrażane. Mazarr podkreśla, iż USA dotąd opierały się na zdolności projekcji siły w dowolnym miejscu globu. To pozwalało Stanom Zjednoczonym prowadzić równocześnie wojny w różnych miejscach świata – na przykład w Afganistanie, Iraku i Libii. Mazarr pisze: „nowy paradygmat byłby mocno zorientowany na wspieranie wysiłków sojuszników w zakresie samoobrony, a nie na umożliwienie Stanom Zjednoczonym przejęcia samej walki, oferując decydujący dodatkowy wkład w zachwianie równowagi wojny. W rezultacie poprawa zdolności sojuszniczych i partnerskich stałaby się głównym priorytetem strategii obronnej USA". Innymi słowy to na partnerach Stanów Zjednoczonych spoczywać winien podstawowy obowiązek obrony swojego bezpieczeństwa, a USA zapewniałyby jedynie dodatkowe wsparcie. Afganistan jest więc swoistą twardą lekcją dla sojuszników Ameryki, na co mogą liczyć od Waszyngtonu w przyszłości. Ale też ma potwierdzać zasadniczy przekaz, iż to na danym państwie winien spoczywać zasadniczy obowiązek obrony swojej suwerenności, a temu właśnie – zdaniem Bidena – nie podołały elity kabulskie. Przegrana decyzją USA wojna NATO w Afganistanie spowoduje, iż Rosja zacznie natychmiast sprawdzać determinację do obrony państw Europy Środkowej. Główne działania skieruje przeciwko Polsce. Operacja, która ma miejsce obecnie na granicy z Białorusią, jest elementem tego rosyjskiego rozpoznania. Istnieje też niebezpieczeństwo, że wojna domowa w Afganistanie lub działania talibów zmierzające do wypchnięcia z kraju milionów tych, którzy będą stanowić dla nich zagrożenie, wywoła gigantyczny exodus Afgańczyków na Zachód. Rosja może wykorzystać tę sytuację do zadania śmiertelnego ciosu Polsce i innym państwom wschodniej flanki NATO. A wówczas kwestią czasu będą ataki terrorystyczne dokonywane przez terrorystów islamskich na terytorium naszego państwa. ■

eprasa.pl 32b92d6aea



Igranie z ogniem. Taliban przechytrzy Moskwę?

Antoni Rybczyński

Z jednej strony wycofanie sił USA z Afganistanu oznacza mniejszą obecność Zachodu w bezpośrednim sąsiedztwie rosyjskiej strefy wpływów. Ale nagła próżnia, jaką Stany Zjednoczone pozostawiają, oznacza dla Kremla nowy zestaw niepewności i potencjalnych problemów.

eprasa.pl 32b92d6aea



„Zrobili dobre wrażenie na nas, porządni faceci, dobrze uzbrojeni, stanęli na obrzeżach ambasady, aby nikt nie mógł się do nas przebić: ani terrorysta, ani szaleniec”

ambasador Rosji w Kabulu Dmitrij Żyrnow, 16 sierpnia 2021

FOT. ADOBE STOCK

Rosja nie kryje wielkiej satysfakcji z porażki USA w Afganistanie (która osładza klęskę Sowietów w tym kraju w przeszłości) i widzi w tym wiele możliwości, ale też jednocześnie krytykuje Amerykanów za zbyt szybki i źle przygotowany odwrót. Rosjanie teraz z lubością porównują sposób wycofania Amerykanów z Afganistanu z sowieckim odwrotem, przypominając, że wspierany przez Moskwę rząd Mohammada Nadżibullaha przetrwał jeszcze trzy lata. Rząd Ghaniego, czyli – jak podkreślił Zamir Kabułow, specjalny przedstawiciel prezydenta Rosji ds. Afganistanu – „reżim, który stworzyli, upadł, nawet zanim Amerykanie wyjechali”.

Zaproszenie dla terrorystów

Na Kremlu istnieje oczywiście obawa przed tym, co przyniesie przyszłość i zwycięstwo talibów w wojnie domowej w Afganistanie. Szczególnie ważna jest rola Rosji w Azji Środkowej – narastający kryzys bezpieczeństwa w regionie może być trudnym testem dla Moskwy. W odpowiedzi na narastające oznaki niepokoju, w szczególności w Tadżykistanie, Rosja ostrzegła wcześniej talibów i związane z nimi grupy przed szerzeniem terroryzmu (i narkotyków) w Azji Środkowej, zintensyfikowała też tam wspólne ćwiczenia wojskowe i głośno wyraziła gotowość kierowanej przez Moskwę Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym (OUBZ) do pomocy w obronie każdego członka zagrożonego przez talibów lub innych bojowników. Decyzja władz Rosji o uznaniu władzy talibów w Afganistanie zależna będzie od tego, czy będą oni w stanie rządzić krajem w sposób odpowiedzialny – powiedział 16 sierpnia Zamir Kabułow. Jak dodał, Rosja nie obawia się, że pod rządami talibów Afganistan upodobni się do Państwa Islamskiego.

Od 2013 roku Rosja potajemnie współpracowała z talibami, sprzedawała im broń i dzieliła się danymi wywiadowczymi. Kontakty zacieśniły się po 2014 roku. Akurat zaczął się kryzys w relacjach z Zachodem po ataku na Ukrainę, a do tego prezydentem Afganistanu został Aszraf Ghani, który zachowywał dystans wobec Moskwy, inaczej niż jego poprzednik Hamid Karzaj. Kontaktom Rosji z talibami towarzyszyły podnoszone, zarówno przez wojskowych amerykańskich, jak i afgańskich polityków od 2016 roku, oskarżenia o dostarczanie im przez Rosję broni. Kabułow od lat promował konieczność dogadania się z talibami, a zwalczania USA i rządu Ghaniego. Nawiązał bardzo ciepłe osobiste relacje z szefem Komisji Spraw Politycznych talibów, rezydującym w Katarze mułłą Baradarem. Pierwsza oficjalna wizyta talibów w Moskwie odbyła się jednak dopiero w 2018 roku. To było posiedzenie tzw. formatu moskiewskiego, W zamierzeniu Kremla miało to stwo-

eprasa.pl 32b92d6aea

rzyć międzynarodowe ramy dla afgańskiego dialogu, który miał doprowadzić do politycznego rozwiązania konfliktu. Potem talibowie jeszcze kilka razy odwiedzali Moskwę. Ostatnio na początku lipca.

Podobno podczas tej wizyty delegacja talibów w rozmowach z MSZ Rosji dała „polisę bezpieczeństwa". Islamiści z organizacji wciąż oficjalnie uznawanej za terrorystyczną w Rosji, zapewnili, że nie pozwolą, aby Afganistan został użyty jako platforma do ataków na Rosję lub jej sojuszników środkowoazjatyckich graniczących z Afganistanem. Moskwa, Tadżykistan i Uzbekistan najbardziej bowiem boją się zbrojnych etnicznych grup islamistycznych współdziałających z talibami w ramach szerokiej i zróżnicowanej koalicji. Dlatego Zamir Kabułow, wysoki urzędnik MSZ Rosji, powiedział 20 lipca, że talibowie zajmując kolejne tereny na północy kraju „biją i niszczą" inne grupy zbrojne, które nie są zainteresowane sprawami afgańskimi, a Azją Środkową, Pakistanem i Iranem. Pytanie, czy można ufać słowom talibów, skoro nawet nie wiadomo, jak duże kompetencje mają delegaci wysyłani czy to na rozmowy z Rosjanami, czy to z Amerykanami, czy to z Chińczykami. Nic nie wiadomo, by liderzy Talibanu oficjalnie coś komuś obiecali. Na ile obietnice talibów należy traktować ostrożnie, pokazuje informacja, że odpowiedzialną za bezpieczeństwo w pięciu rejonach graniczących z Afganistanem liderzy ruchu uczynili grupę Jamaat Ansarullah, która dąży do obalenia rządu w Tadżykistanie i jest tam uznawana za terrorystów.

Regionalny problem

Moskwa angażowała się od pewnego czasu w ćwiczenia wojskowe w Azji Środkowej i zapewniała swych sojuszników sąsiadujących z Afganistanem o gotowości wsparcia militarnego w razie agresji islamistów z południa. Jednocześnie MSZ Rosji chwaliło terytorialne postępy talibów na północy Afganistanu i twierdziło, że to czynnik stabilizujący. Choć zagrożenie migracji islamskiego terroryzmu do Azji Środkowej może być realne, to jednak bardzo długo było wyolbrzymiane dla celów politycznych przez Rosję i reżimy środkowoazjatyckie. Moskwa używała go do pacyfikacji choćby Czeczenów i innych nacji kaukaskich, zaś satrapowie z Doliny Fergany do walki z opozycją. Nie można też zapominać o przemycie narkotyków. Skorumpowani siłowicy z Tadżykistanu i Rosji w porozumieniu z grupami przestępczymi kontrolują szlak narkotykowy biegnący z Afganistanu do Europy. W sytuacji, gdy talibowie zajęli już niemal całą północną granicę, oznacza to konieczność dogadania się właśnie z nimi, zamiast ze skorumpowanymi urzędnikami władz z Kabulu.

W rzeczywistości Rosja wcale nie ma ochoty bronić Azji Środkowej przed terroryzmem i rebeliantami, biorąc pod uwagę koszty i długość takich konfliktów. Ale musi utrzymywać samozwańczą pozycję głównego obrońcy regionu, skoro ma ambicje bycia wielkim mocarstwem. Wstępna oferta dla USA w sprawie dostępu do baz rosyjskich w regionie pokazuje, że Moskwa wciąż postrzega Azję Środkową jako strefę wyłącznych wpływów, a nie grupę w pełni suwerennych państw. Organizowanie manewrów wojskowych i dźwięczna retoryka o aktualności zobowiązań w ramach OUBZ – organizacji, która częściej nie realizowała swych zadań niż wypełniała gwarancje bezpieczeństwa dla swych członków – brzmi imponująco, ale tak naprawdę maskuje strach Moskwy przed sytuacją, gdy trzeba będzie się z tych zobowiązań naprawdę wywiązać. Gdyby Taliban czy siły skupione pod jego parasolem (a różnych formacji zbrojnych złożonych z mieszkańców sąsiednich krajów nie brakuje) zdołały wedrzeć się do Azji Środkowej i wywołać tam długotrwałą rebelię, choćby w Tadżykistanie, byłoby to spełnienie nocnego koszmaru Rosji. Póki co, państwa Azji Środkowej korzystają z rzekomych zobowiązań obronnych Rosji, ponieważ zmniejsza to obciążenie ich własnych armii. Ale jeśli Tadżykistan czy Uzbekistan zostaną zmuszone stanąć twarzą w twarz z wkraczającymi bojownikami islamskimi, Rosji przybędzie kolejny poważny i ekonomicznie wyczerpujący konflikt.

Jeśli Putin chce sprostać imperialnym ambicjom, które sam rozbudził, będzie musiał pogodzić zaangażowanie w Azji Środkowej z toczącymi się wojnami na Ukrainie, w Syrii i wielu innymi konfliktami wysysającymi poważne środki z pogrążonej w stagnacji gospodarki Rosji. W obecnej sytuacji Kremlowi pozostaje tylko starać się o uzyskanie wpływu na sytuację w samym Afganistanie i ewentualne dogadanie się z talibami, aby nie ruszyli na północ. Ale czy można im ufać? Znani z wiarołomstwa rosyjscy dyplomaci na pewno nie mogą być tego pewni. Tym bardziej, że nie rozmawiają z przedstawicielami scentralizowanej organizacji czy jakiegoś państwa. Ruch talibów składa się z wielu grup. Także nie wiadomo, czy delegacje talibów rozmawiające z Rosją miały pełną legitymację ruchu. Na przykład wysłannicy, którzy przyjechali 8 lipca do Moskwy, to zaledwie działacze średniego szczebla w ramach nieoficjalnego „MSZ Talibanu", czyli biura w Katarze. Mówili Rosji i Azji Środkowej to, co te chcą usłyszeć. Problem w tym, że lider Talibanu, mułła Haibatullah Achundzada, nazywany Komendantem Wiernych, oraz jego zastępca, Sirajuddin Haqqani, nigdy niczego nikomu nie obiecali.

Delegaci talibów w Moskwie mogli mówić jedno, a z drugiej strony kierownictwo kontrolę nad granicą z Tadżykistanem przekazało w ręce złożonej z ta-

eprasa.pl 32b92d6aea

dżyckich dżihadystów grupy Ansarollah – znanej z terrorystycznych zamachów i nienawiści do świeckiego rządu w ojczystym Tadżykistanie. Czy siedzący w Kabulu rząd talibów będzie w stanie kontrolować poczynania grup w rodzaju Ansarollah i zapobiegać atakom transgranicznym na Uzbekistan czy Tadżykistan? Kolejna sprawa to to, że Taliban może destabilizować sąsiednie kraje, oficjalnie zapewniając, że tego wcale nie robi. Są różne możliwości, nie trzeba od razu wysyłać otwarcie zbrojnych oddziałów. Na przykład w Tadżykistanie talibowie mogą infiltrować i werbować uchodźców, tworzyć tajne komórki, przemycać broń i narkotyki, rozpowszechniać radykalną literaturę islamską, wspierać lokalnych islamistów – wszak oszałamiający sukces Talibanu zmobilizował i natchnął wiarą w ostateczne zwycięstwo dżihadystów na całym świecie. Moskwa skupia się prawie wyłącznie na posiadaniu zdolności militarnych do odparcia bezpośredniej inwazji na region Azji Środkowej przez siły talibów. Ci ostatni raczej nie dokonają takiego ataku – nie tylko dlatego, że skłoniłoby to Rosjan do odwetu, lecz także dlatego, że talibowie znacznie częściej angażują się w wojny partyzanckie w regionach przygranicznych i polegają na sympatykach, których już i tak jest wielu w całej Azji Środkowej. Z drugiej strony zależność Moskwy od OUBZ stwarza poważny problem: Turkmenistan, który ma 700-kilometrową granicę z Afganistanem, nie jest członkiem paktu. Kraj ten znany jest z przywiązania do neutralności i starał się mieć dobre relacje zarówno z Kabulem, jak i talibami. Zdaniem ekspertów to właśnie granica turkmeńsko-afgańska jest teraz słabym ogniwem, gdy mowa o możliwej ekspansji talibów na północ, w głąb Azji Środkowej.

Cele Moskwy

Moskwa jest zdeterminowana, aby zabezpieczyć polityczny wpływ na jakikolwiek przyszły rząd w Kabulu. Rosjanie nie są zachwyceni szybką wygraną talibów. Dlaczego? Nierozstrzygnięta walka w Afganistanie dobrze służyłaby celom Moskwy, o ile wojna – wraz z towarzyszącymi jej terroryzmem, ekstremizmem i handlem narkotykami – zachowywałaby lokalny charakter. Gdyby wciąż toczyła się wojna domowa, łatwiej byłoby grać z jej stronami, jak to było do tej pory. Teraz trudniej będzie Moskwie kontrolować potencjalne agresywne zamiary Talibanu. Ścisłe kierownictwo talibów wydaje się pragmatycznym i faktycznie niemyślącym o komplikowaniu sobie sytuacji międzynarodowej poprzez agresję na Azję Środkową, o Rosji nie wspominając. Problemem mogą być jednak różne grupy islamistyczne skupione pod sztandarami Talibanu, szczególnie te o etnicznym charakterze. Tadżyccy dżihadyści czy uzbeccy nie kryją, że wygrana talibów w Afganistanie to tylko etap w walce o zaprowadzenie fundamentalistycznych rządów w republikach środkowoazjatyckich. No i jest – w tym kontekście szczególnie ważna – tzw. siatka Hakkaniego, mająca bliskie relacje z Al-Kaidą, a zarazem ważna część Talibanu. To oznacza, że wcale nie jest przesądzone, że nowi władcy Afganistanu zrezygnują z planów dalszej ekspansji, choćby do Uzbekistanu i Tadżykistanu.

Rosja może być też żywo zainteresowana udziałem w eksploatacji bogatych złóż minerałów w Afganistanie. W 2010 roku amerykańska armia i geolodzy uznali, że wartość zasobów surowcowych Afganistanu sięga blisko 1 bln dolarów. W kraju znajdują się wielkie złoża żelaza, miedzi, złota, metali ziem rzadkich, a przede wszystkim litu, który jest ważnym, lecz rzadkim pierwiastkiem wykorzystywanym do produkcji ładowanych baterii oraz w innych technologiach. Brak stabilności i bezpieczeństwa oraz silne susze uniemożliwiały wydobycie minerałów, wymagając ponadto bardzo dużych inwestycji. Popyt na lit, kobalt i metale ziem rzadkich jest ogromny i szybko rośnie, na przykład ze względu na ich wykorzystanie w produkcji aut elektrycznych, turbin wiatrowych i instalacji elektrycznych.

Dla Rosji w Afganistanie najważniejsze jest jednak to, by nie pojawiła się fala uchodźców i zagrożenie terrorystyczne. Głównym partnerem Moskwy w reagowaniu na sytuację w Afganistanie są teraz Chiny. Polityka Chin wobec talibów będzie zbieżna z rosyjską i oba kraje będą próbowały porozumieć się z talibami. Jednak oba mają też podobny problem polegający na tym, że nikt nie wie, czy talibowie będą w stanie dotrzymać własnych obietnic. Talibowie deklarowali, iż Afganistan nie stanie się źródłem zagrożenia dla państw sąsiednich. Niemniej nie jest jasne, na ile władze talibów zdołają kontrolować swoich bojowników. Z punktu widzenia Moskwy najkorzystniejszym rozwiązaniem byłoby powstanie „koalicyjnego" rządu w Kabulu. To by pozwoliło Rosjanom uniknąć bezpośredniego uznania Talibanu, który jest od 2003 roku oficjalnie uznawaną za terrorystyczną organizacją w Rosji, bez palenia mostów współpracy z nowymi władcami Afganistanu. Już wiadomo, że Moskwa byłaby szczęśliwa, widząc w „koalicji" ludzi pokroju Karzaja – który zresztą uczestniczył w rozmowach z talibami w Moskwie. Można oczekiwać, że jeśli talibowie, przynajmniej na razie, zachowają rozsądek i unikną krwawych represji wobec Afgańczyków, jak też ekspansji zagranicznej, ale przede wszystkim stworzą rząd z jakimiś innymi siłami politycznymi, Moskwa szybko uzna oficjalnie Taliban. Zarazem jednak buduje Rosja potencjał wojskowy w Azji Środkowej, szykując się na czarny scenariusz. ■

eprasa.pl 32b92d6aea

Zostawili nas w opałach, to niech teraz negocjują

Ucieczka zawsze jest ostatecznością. Afgańczycy uciekają do Iranu, Pakistanu, gdzie są traktowani w okropny sposób. Pakistan zresztą bardzo się wzbogacił na uchodźcach z Afganistanu. Zastanawiam się, dlaczego debata nagle dotyczy obaw przed kolejną falą imigracyjną zamiast tego, jak sprawić, by Afgańczycy nie musieli uciekać z własnych domów. Dla mnie osobiście to jest upokarzające – z LAILĄ NOOR, przewodniczącą i założycielką stowarzyszenia Independent Afghan Women Association, rozmawia OLGA DOLEŚNIAK-HARCZUK.

▶ Co Pani czuła, śledząc ostatnie wiadomości z Afganistanu?

Ból i bezsilność. Nie rozumiem, jak można było tak po prostu opuścić tych ludzi.

▶ Wiedziała Pani jednak, że taka sytuacja nastąpi, Stany Zjednoczone od pewnego czasu nosiły się z zamiarem wycofania wojsk.

Oczywiście. Już wiele miesięcy temu zdawałam sobie sprawę, że Stany Zjednoczone wyjdą z Afganistanu. Administracja prezydenta Donalda Trumpa od początku 2020 roku prowadziła negocjacje z talibami, śledziłam te rozmowy. Negocjacje toczyły się w Katarze bez udziału afgańskiej strony rządowej. Wtedy też na mocy porozumienia zobowiązano rząd Afganistanu do wypuszczenia z więzień 5 tys. talibów. W zamian talibowie mieli m.in. zapewniać, że nie będą atakować Stanów Zjednoczonych. W porozumieniu między USA a talibami zabrakło mi wtedy nie tylko zaangażowania w cały proces rządu afgańskiego, lecz także poruszenia tak ważnych wątków, jak zabezpieczenie praw kobiet, dzieci, kwestii związanych z dostępem do edukacji. Już w tamtym czasie w Afganistanie zaczęło znowu dochodzić do ataków talibów na placówki edukacyjne. W maju przypuszczono atak na szkołę średnią dla dziewcząt w Kabulu, cały świat patrzył na to, jak w biały dzień zabito 80 niewinnych ofiar i raniono ponad 180. Wszyscy wiedzieli, czyja to sprawka, ale przymykano oczy. Jako Afganka mieszkająca od dziesięcioleci w Niemczech i zaangażowana w pomoc afgańskim szkołom dla dziewcząt, od miesięcy udzielam wywiadów na temat sytuacji w Afganistanie i za każdym razem powtarzam, że talibowie wrócą i przejmą władzę. Tylko co z tego, kiedy mam wrażenie, że to jest jak rzucanie grochem o ścianę. Dziś wszyscy widzą, jak daleko zaszły sprawy.

▶ Pani stowarzyszenie zajmuje się budowaniem i wspieraniem szkół dla dziewcząt w Afganistanie, ale i pomocą humanitarną. Jak obecnie wygląda sytuacja na miejscu?

eprasa.pl 32b92d6aea

Panuje chaos informacyjny. Z jednej strony dochodzą wieści, że dziewczęta nadal będą mogły uczęszczać do szkoły, a kobiety będą mogły pracować, z drugiej, że robi się wiele, by im to uniemożliwić. Są doniesienia o atakach na kobiety. Na razie z uwagi na święta religijne w Afganistanie szkoły są zamknięte, czekamy na to, co wydarzy się po święcie. Na skutek panującej niepewności i chaosu ludzie są przerażeni, bardzo wzrosły ceny żywności, ludzie nie mają pieniędzy, uciekają do Kabulu.

▶ Znając podejście talibów do kobiet, jak Pani zdaniem zmieni się teraz ich sytuacja?

Trudno oszacować. Kobiety są śmiertelnie przerażone. Na szczęście wiele z nich to osoby odważne, które przez ostatnie 20 lat przeszły szybki kurs samodzielności i niezależności, ale pytanie, na jak długo starczy im determinacji. Nie ufam talibom, ale uważam, że trzeba rozmawiać. Zrobić wszystko, by sytuacja nie eskalowała. By te 20 lat, które w Afganistanie były czasem postępu i rozwoju, nie poszły na marne. Całkiem na poważnie boję się wybuchu wojny domowej w Afganistanie. I wielu Afgańczyków podziela moje obawy. Niezależnie od tego, co myślimy o talibach, musimy wykorzystać wszelkie kanały komunikacji, by na nich wpłynąć.

▶ Kto ma Pani zdaniem negocjować z talibami w sprawie chociażby praw kobiet?

Ci, którzy zostawili nas w opałach. Stany Zjednoczone i państwa sojusznicze. Nie wystarczy uratować życia kilku tysiącom i wywieźć ich z kraju, bo co z pozostałymi milionami? To też są ludzie i wielu z nich czuje się w nowej sytuacji zagrożonych. Poza tym mówimy o dziedzictwie dwudziestu lat, o postępie w rozwoju, edukacji, prawie i uważam, że tego dziedzictwa nie wolno tak po prostu zaprzepaścić.

▶ Prezydent Joe Biden stwierdził, że to armia i rząd afgański zawiodły, tak szybko oddając pole talibom...

Przypomnijmy sobie, kto wspierał na początku talibów. Przecież Afganistan to jest państwo w stanie permanentnej wojny, ostatnie rządy też były skorumpowane, kto ma niby walczyć w obronie takiej władzy? Żołnierze armii afgańskiej to w większości ludzie po dwumiesięcznym szkoleniu, bez wielkiego przygotowania do walki. Kiedy poszedł komunikat, że Amerykanie wycofają się z Afganistanu, wszyscy wiedzieli, co nastąpi. Mieli dać się zabić? Pozwolić, by kraj spłynął krwią? Do nich nie dociera, dlaczego Stany Zjednoczone zostawiły ich na pastwę talibów. Można się było wycofać, ale należało to zrobić w bardziej humanitarny, przemyślany sposób.

▶ Co teraz będzie ze szkołami, które budowała Pani na miejscu?

Pierwsze placówki powstały 20 lat temu. Mamy dziś 10 szkół, dzięki którym zdobyło wykształcenie 18 tys. dziewcząt i chłopców. Pracujemy społecznie. Aktualnie wszyscy boimy się zwłaszcza o uczennice i nie zamierzamy zaprzestać pomocy. Dwa razy do roku odwiedzałam wszystkie placówki i serce mi pęka, że tyle lat pracy może pójść na marne.

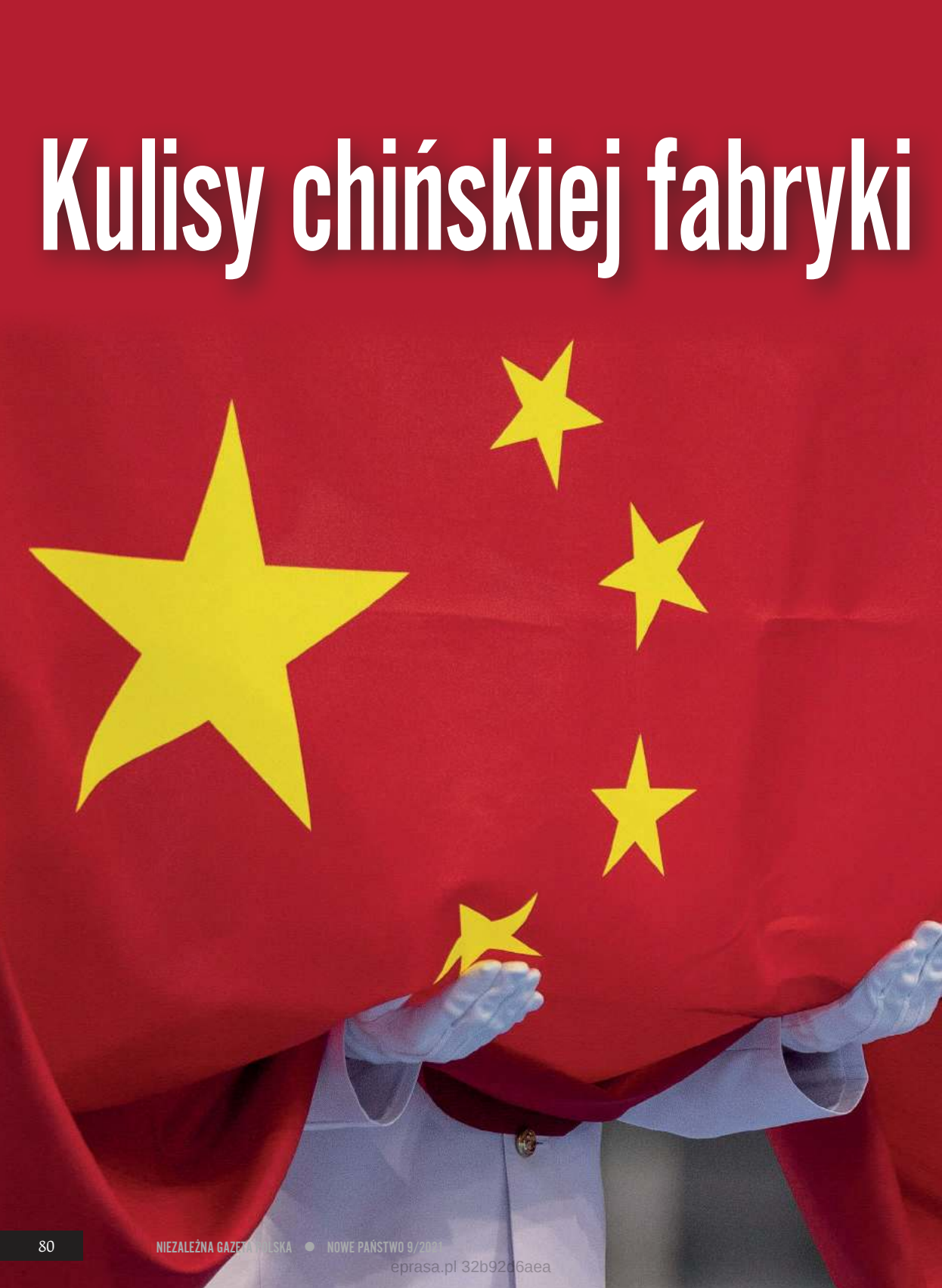
▶ Mieszka Pani w Niemczech, w państwie, które ma swoje doświadczenia z falą uchodźców i imigrantów 2015 roku. Niedługo po zdobyciu Kabulu przez talibów niemiecki minister spraw wewnętrznych, Horst Seehofer, prognozował, że na skutek bieżącej sytuacji politycznej fala uchodźców z Afganistanu może wynieść od miliona do 5 milionów osób. Ta informacja została szybko zdementowana, ale jednak sondaże wskazują na obawy Niemców przed kolejnym napływem uchodźców. Rozumie Pani te obawy?

Ucieczka zawsze jest ostatecznością. Afgańczycy uciekają do Iranu, Pakistanu, gdzie są traktowani w okropny sposób. Pakistan zresztą bardzo się wzbogacił na uchodźcach z Afganistanu. Zastanawiam się, dlaczego debata nagle dotyczy obaw przed kolejną falą imigracyjną zamiast tego, jak sprawić, by Afgańczycy nie musieli uciekać z własnych domów. Dla mnie osobiście to jest upokarzające. Gdyby wcześniej wypracowano lepsze warunki wycofania, to teraz nikt by nie drżał przed napływem ludzi z regionu. Mam wiele pytań do Zachodu, które pozostają bez odpowiedzi, i boję się o moje rodaczki, kobiety, z którymi wciąż mam kontakt, a które znów chodzą zasłonięte i są niepewne każdego dnia. ■

Info o rozmówczyni:
Laila Noor – córka wieloletniego burmistrza Kabulu, projektantka mody, przewodnicząca stowarzyszenia działającego na rzecz pomocy afgańskim kobietom i dziewczętom. Jej rodzina zbiegła z Afganistanu w 1979 roku po wkroczeniu Sowietów. Laila Noor mieszka w Bremie, jej działalność społeczna zwłaszcza na rzecz podnoszenia poziomu edukacji w Afganistanie została wielokrotnie doceniona przez władze Republiki Federalnej Niemiec i Afganistanu.

eprasa.pl 32b92d6aea

Kulisy chińskiej fabryki



eprasa.pl 32b92d6aea

medali

Hanna Shen



Chiny zajęły drugie miejsce w klasyfikacji medalowej na Igrzyskach Olimpijskich w Tokio. Za tymi sukcesami stoi jednak jeden z najbardziej okrutnych systemów szkoleniowych na świecie, oparty prawie w całości na starym modelu znanym ze Związku Radzieckiego, który ma pokazać wyższość komunistycznego państwa nad Zachodem. Ofiarami tej rywalizacji są młodzi Chińczycy.

FOT. SIMON BRUTY FOR IOS HANDOUT/PAP/EPA

Gdy 14-letnia Quan Hongchan zdobyła złoty medal w Tokio w skokach do wody z 10-metrowej wieży, stwierdziła, że potrzebowała tej nagrody, by były pieniądze na leczenie mamy chorej po wypadku samochodowym. Ta wypowiedź zbulwersowała cały chińskojęzyczny świat. Pokazała stopień ubóstwa chińskiego społeczeństwa. Kontrastuje to z kolejnymi hucznymi oświadczeniami przedstawicieli władzy, jak to Komunistyczna Partia Chin (KPCh) walczy z sukcesem z biedą.

Quan pochodzi z wioski, gdzie przeciętny roczny dochód na mieszkańca to 1700 dolarów (około 6600 zł). I nie jest to wyjątek. W maju ubiegłego roku premier Chin, Li Keqiang, oficjalnie przyznał, że w ChRL 600 mln ludzi ma przeciętny dochód w wysokości 1000 yuanów (około 600 zł) i dodał, że największym problemem jego kraju jest ubóstwo. Dla biednych rodzin szansą na lepsze życie jest oddanie dziecka na treningi do szkoły sportowej i liczenie, że odniesie ono sukces i wspomoże finansowo rodzinę.

Ale wypowiedź Quan Hongchan zszokowała także dlatego, że pokazała, iż produkcja mistrzów odbywa się kosztem edukacji. Dziennikarze słuchający olimpijskiej mistrzyni zauważyli, że ma trudności ze zrozumieniem pewnych podstawowych treści. W tym sensie jest osobą niepełnosprawną. Ceną za jej mistrzostwo jest brak normalnego rozwoju.

Zakorzeniony w modelu sowieckim chiński system tworzenia medalistów zaczyna się od trenowana dziesiątek tysięcy dzieci w ponad 2000 państwowych szkołach sportowych. Aby w maksymalny sposób zdobyć wszystkie możliwe złote medale, Pekin koncentruje się na mniej popularnych i mniej finansowanych sportach na Zachodzie lub dziedzinach, które oferują wiele złotych medali olimpijskich.

75 procent złotych medali olimpijskich, które Chiny zdobyły od 1984 roku, dotyczy zaledwie sześciu dyscyplin: tenisa stołowego, strzelectwa, skoków do wody, badmintona, gimnastyki i podnoszenia ciężarów.

Cel: pobić USA

Chińska Republika Ludowa uczestniczy w igrzyskach olimpijskich od lat 80. Jednak dopiero na początku XXI wieku komunistyczny reżim uznał, że priorytetem jest zdobywanie złotych medali za wszelką cenę. W 2002 roku powstał tzw. Projekt 119, który pochłonął ogromne sumy i stawiał za zadanie zdobycie 119 złotych medali na Igrzyskach w Pekinie w 2008 roku. Zadanie wykonano z nadwyżką – ChRL zdobyło wtedy 122 złote medale. Jednak nie osiągnięto wtedy innego celu – tj. pobicia Stanów

eprasa.pl 32b92d6aea

Zjednoczonych w łącznej klasyfikacji medalowej. Nie udało się to też w 2012 roku w Londynie i w 2016 roku w Rio de Janeiro. Plan nie wypalił również na ostatnich igrzyskach, ale o tym Chińczycy z ich gazet i telewizji się nie dowiedzą. Oficjalnie najwięcej medali na Olimpiadzie w Tokio 2020 zdobyli Amerykanie. Jednak chińskie media przedstawiają inną „rzeczywistość".

Sportowcy z Państwa Środka zgarnęli w sumie 88 krążków (38 złotych, 32 srebrne, 18 brązowych). Lepsi od nich byli Amerykanie, którzy zdołali zdobyć aż 113 (39 złotych, 41 srebrnych, 33 brązowe). Chińskie media postanowiły jednak dołożyć do swoich medali te, które zdobyli Tajwańczycy i Hongkończycy i wyszło im, że przez większą liczbę złotych medali są na szczycie klasyfikacji medalowej. Jest to oczywiście zwykłe oszustwo naruszające zasady olimpijskie, zgodnie z którymi Hongkong i Tajwan rywalizują niezależnie od Chin.

Na Igrzyskach Olimpijskich w Montrealu w 1976 roku ZSRS zwyciężyło z 49 złotymi, 41 srebrnymi i 35 brązowymi medalami, czyli łącznie z 125 medalami. USA zajęły drugie miejsce z odpowiednio 34, 35 i 25, łącznie 94 medalami. Nikt nie uwierzył wtedy, że sowiecki komunizm był lepszy od amerykańskiej wolności.

Dziś za pomocą kłamstwa Pekin próbuje udowodnić, że komunistyczny reżim jest lepszy niż Americam Dream i zachodnie demokracje.

Z tej kreatywności medalowej Made in China możemy się pośmiać. Nie do śmiechu jest jednak wtedy, gdy przyjrzymy się, jaką cenę płacą ci, którzy są narzędziem dla Pekinu w głoszeniu ich propagandy o Chinese Dream.

Korupcja, ból, molestowanie i doping

W 2020 roku Duan Daili opowiedział gazecie „Epoch Times", jak działa chińska fabryka medali.

Duan trafił do szkoły sportowej w wieku 13 lat. Miał być lekkoatletą. Po latach mówi, że nie był to żaden honor. „Bogatsi rodzice nie posyłają swoich dzieci do szkoły sportowej. To bardzo trudne. Dzieci cierpią tu o wiele bardziej niż inne dzieci w tym samym wieku".

Chińczyk opowiadał dziennikarzowi „Epoch Times" o korupcji i znęcaniu się w chińskich instytucjach sportowych. „Chińscy sportowcy muszą budować dobre relacje ze swoimi trenerami. To trener decyduje, czy zaczniesz grać, a nie twoje wyniki" – mówił Duan. A trener traktuje członków swojego zespołu jak niewolników – mają mu robić pranie, sprzątać mieszkanie, a nawet kupować prezenty świąteczne. Niektórzy trenerzy molestują seksualnie młodych sportowców, a zdecydowana większość zespołu nie ma odwagi reagować. Do tego dochodzą diabelskie i destrukcyjne treningi. Nie ma czegoś takiego jak czas prywatny. Granice biologicznej tolerancji i możliwości młodych nie są oceniane i brane pod uwagę.

W takich warunkach kontuzje na treningach w szkołach sportowych są na porządku dziennym. Powszechne jest stosowanie zakazanych leków zwiększających wydajność chińskich sportowców. Duan mówi o zawodniczkach, które nagle przestały miesiączkować, czy sportowcach, którzy stali się bezpłodni z powodu długotrwałego stosowania używek. To właśnie trenerzy doradzają swoim zawodnikom branie dopingu.

W kwietniu bieżącego roku indyjski portal informacyjny WION opublikował artykuł o szkole gimnastycznej Li Xiao-Shuang w mieście Xiantao, w prowincji Hubei, nazywanej kuźnią olimpijskich gimnastyków z Chin. Wielu trenujących tu ma tylko 6 lat i już potrafi „wyginać się jak precel". Dzieciaki pytane o to, kim chcą zostać, odpowiadają „mistrzem" lub „rekordzistą". Pytane, co znaczą te słowa, mówią, że nie wiedzą, ale dodają, że każdy tu tak mówi. Ale wiedzą za to, że jeśli na treningu nie osiągają odpowiednich wyników, to mają kłaniać się przed trenerem i przepraszać i że karą będzie m.in. podnoszenie ciężarów.

Taką chińską fabrykę medali mógł zobaczyć brytyjski wioślarz, czterokrotny złoty medalista olimpijski, Matthew Pinsent. W 2005 roku odwiedził on elitarną szkołę sportową w Pekinie, Shi Cha Hai. Widział młodych zawodników ze śladami pobicia. Zapytał o to wicedyrektora szkoły i ten potwierdził użycie przemocy wobec dzieci. „To było dość niepokojące doświadczenie" – powiedział wtedy dziennikarzom Pinsent. „Wiem, że to gimnastyka i ten sport w szczególności musi zaczynać się w bardzo młodym wieku... ale byłem naprawdę zszokowany tym, co się działo. [...] Zdecydowanie uważam, że te dzieciaki były maltretowane".

Medal dla partii

Gdy w 2010 roku na zimowych igrzyskach w Vancouver 18-letnia wówczas łyżwiarka szybka Zhou Yang odważyła się podziękować za zdobyte złote medale najpierw swoim rodzicom, a dopiero potem państwu, spłynęła na nią fala krytyki. Yu Zaiqing, zastępca dyrektora Narodowego Biura Sportu, podał nawet w wątpliwość patriotyzm Zhou. „Możesz podziękować matce i ojcu, ale przede wszystkim powinnaś podziękować swojemu krajowi" – powiedział Yu.

W tym roku w Tokio błędu Zhou Yang nie powtórzył Shi Zhiyong. Gdy wywalczył złoto w podnosze-

eprasa.pl 32b92d6aea

niu ciężarów w kategorii do 73 kilogramów, dedykował zwycięstwo partii komunistycznej. „Jestem członkiem Komunistycznej Partii Chin i medal jest nie tylko dla mnie, lecz także dla mojej partii, ponieważ obchodzi ona 100-lecie powstania i to wiele znaczy" – powiedział Shi.

Duan Daili mówi o tym, że chińscy sportowcy są pod ogromną presją sukcesu, ponieważ państwowe media sprawiają, że ich występ jest kwestią narodowej dumy. Ci, którzy kończą jako ostatni, ze łzami w oczach przepraszają w telewizji za „zawstydzenie ojczyzny" lub są piętnowani przez media i określani jako „porażki".

Gdy reprezentanci Tajwanu Lee Yang i Wang Chi-Lin zdobyli złoty medal w deblu w olimpijskim turnieju badmintona w Tokio, pokonując chińską parę Li Junhui i Liu Yuchen, chińska telewizja przerwała transmisję z wydarzenia, a chińscy internauci określili przegraną jako „wstydliwy dzień" i „hańbę". Tajwańczyków określili „wrogami".

Od wschodzącej gwiazdy do żebraka

Dopóki zawodnicy zdobywają medale, członkowie ich rodziny bezpośrednio otrzymują pieniądze, a po przejściu sportowca na emeryturę może on liczyć na stanowisko państwowe. Ale jeśli im się nie uda, tracą wszystko. W tak funkcjonującym systemie zawodnicy są gotowi nawet stracić życie, by zdobyć medal. Duan mówi, że sportowcy z ChRL mają wyprane mózgi lub mają zniekształcone myślenie przez KPCh, bo dają sobie wmówić, że to ma coś wspólnego z honorem czy dumą. „Jest całkowitym kłamstwem mówienie o przynoszeniu dumy narodowi w takim systemie. To tylko propaganda stworzona przez KPCh. Większość sportowców jest pod ogromną presją" – twierdzi Duan.

W 2011 roku chińska opinia publiczna z szokiem przyjęła wiadomość, że znany chiński gimnastyk Zhang Shangwu utrzymuje się z żebrania na ulicy. W połowie lat 90. Zhang w wieku 12 lat trafił do narodowej drużyny olimpijskiej. W wieku 18 lat zdobył dwa złote medale podczas Letniej Uniwersjady w Pekinie w 2001 roku. Media przedstawiały go jako wschodzącą gwiazdę. Jednak w 2002 roku podczas treningu Zhang zerwał ścięgno Achillesa. Nie było już nadziei na udział w igrzyskach olimpijskich w 2004 roku. Po powrocie do rodzinnej prowincji Hebei jego trenerzy zignorowali kontuzję i dalej prowadzili z nim intensywne treningi. W 2005 roku Zhang zrezygnował z kariery sportowej, a za swoją kontuzję i brak odpowiedniej pomocy medycznej nie otrzymał żadnej rekompensaty. Za około 15 dolarów za sztukę sprzedał swoje złote medale na targu staroci. Często sypiał w kafejkach internetowych lub pod mostami. W 2007 roku został złodziejem. Przyłapany na kradzieży w Pekinie, został skazany na ponad cztery i pół roku więzienia. Po wyjściu na wolność pozostało mu żebranie. W 2011 roku na ulicy zobaczył go jeden z jego byłych fanów i zrobił mu zdjęcie, które trafiło do mediów. I tak Chińczycy poznali drugą stronę fabryki medali. Tę o niegdyś wschodzących gwiazdach i porzuconych, bo nie przynoszą medali.

Sprawa Zhanga rzuciła światło na trudną sytuację czołowych sportowców w Chinach, których zabiera się ze domów rodzinnych często w wieku zaledwie pięciu lat, a skazuje na zapomnienie, a nawet głodowanie, gdy nie są już w stanie konkurować i zdobywać medali dla chwały partii i państwa.

Trafiający do szkół sportowych młodzi Chińczycy, tak jak wspomniana Qu Hongchan, tracą możliwość nauki przedmiotów objętych zwykłą edukacją. Ich rozwój umysłowy zostaje zatrzymany i po odejściu od sportu często trudno im znaleźć pracę czy wrócić do szkoły.

Do wielu z tych, którzy wcześniej zakończyli karierę sportową, pasuje chińskie powiedzenie „mężczyźni do rabunku, kobiety do prostytucji". Znalezienie pracy graniczy z walką i często byli młodzi sportowcy są zmuszani do nielegalnej albo poniżającej pracy.

W 2016 roku „Epoch Times" opisał historię urodzonej w 1986 roku Tang Ying, która w wieku 12 lat rozpoczęła treningi na olimpijskiego skoczka. Kiedy odpadła w eliminacjach na igrzyska w Atenach w 2004 roku, odesłano ją na „emeryturę". Nie miała nic poza uszkodzonymi stawami i dodatkowym zagrożeniem dla zdrowia w przypadku zajścia w ciążę.

Tang próbowała zostać nauczycielką wychowania fizycznego, ale okazało się, że urzędnik oferujący jej tę pracę chciał ją po prostu wykorzystać. Innym razem, gdy starała się o pracę w dziale kadr w swoim rodzinnym mieście, powiedziano jej, że dostanie to stanowisko tylko wtedy, gdy zechce zostać kochanką urzędnika partii. Ostatecznie znalazła pracę w sklepie odzieżowym za około 800 yuanów miesięcznie (około 480 zł) i sprzedając lalki na ulicy w wolnym czasie. Tang twierdzi, że wielu jej koleżankom – byłym sportowcom – nie pozostaje nic innego jak zgoda na rolę utrzymanek partyjnych oficjeli.

O Chinach mówi się, że są sportowym mocarstwem. Chińskie fabryki medali rzeczywiście sięgają po złoto. Cena, jaką płacą za to młodzi zawodnicy głównie z biednych rodzin, jest ogromna – stracone dzieciństwo, zahamowany rozwój. A gdy zawodnik nie zdobywa złota na chwałę partii, to te same fabryki poza kalectwem i wykluczeniem nie oferują nic więcej. ■

eprasa.pl 32b92d6aea



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Wózek, niedźwiedź i wielki kamień

Nie wiem, który obraz parku Yosemite jest bardziej prawdziwy. Czy ten oglądany okiem niepełnosprawnej Francine, uciekającej na swoim skuterku przed niedźwiedziem, czy ten widziany zza lustrzanki operatora Senders Films. Kręcącego naprawdę niesamowite ujęcia wprost z pionowej ściany El Capitan, po której wspinają się szaleni Caldwell i Jorgeson.

eprasa.pl 32b92d6aea



FOT. CHRISTOPH STRÄSSLER

eprasa.pl 32b92d6aea



Są takie dni, kiedy nad potokiem Merced nie ma nikogo

Wreszcie upragniona przerwa. Francine wychodzi z samochodu. Musi odpocząć. Dla niej ta droga trwa już zdecydowania za długo. Na niewielkim parkingu asfaltowej zatoczki stoi jeszcze kilka aut. Ktoś pożywia się przy pobliskim stoliku. Butelka coli i jakieś chrupki. Francine prostuje ramiona i zaczyna głęboko oddychać. Tak, to powietrze jest zdecydowanie inne od tego z rodzimego hrabstwa Marin. Tam, gdzie wszystko podporządkowane jest chłodnej bryzie znad oceanu. Śpiewowi mew, szumowi fal. Tutaj w górach wszystko zdaje się inne. Inny zapach, inny kolor nieba, inna feeria leśnej palety barw.

– Richard, ależ tu pięknie, prawda? – Dopiero teraz kobieta spostrzega, że także jej mąż opuścił ich pickupa. Para spogląda na majaczące daleko w dole pejzaże. Widać już nawet pierwszy camping parku. Z porozstawianymi nań namiotami i kamperami. – Pamiętasz, kochanie? My też tak zaczynaliśmy. Kiedy to było?...

– Ćwierć wieku temu, skarbie, że tak na szybko policzę – odpowiada z uśmiechem wysoki mężczyzna. By po chwili podać rękę siedzącej na wózku inwalidzkim kobiecie.

– Tak, rzeczywiście. Jakoś tak... – uśmiecha się pogodnie Francine.

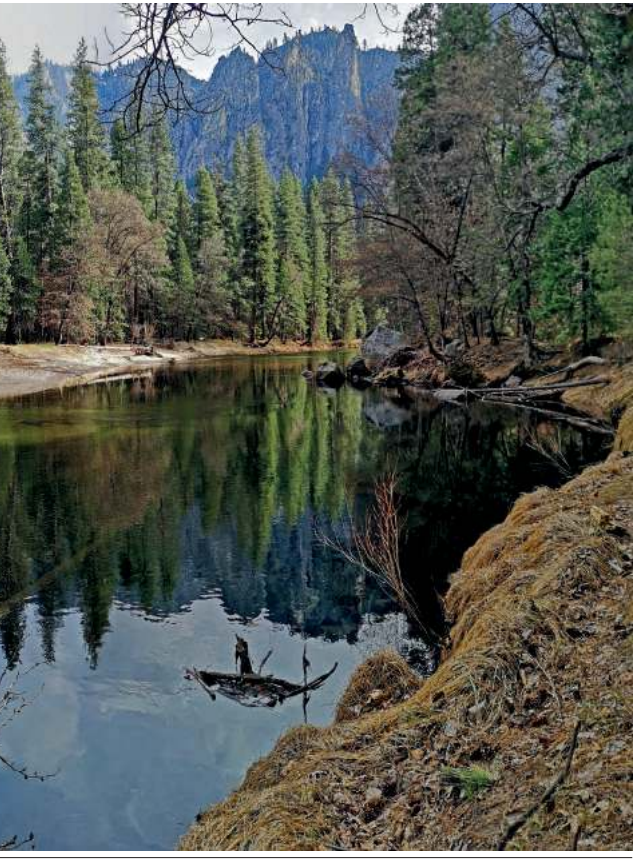
– Jak się czujesz? – Richard łagodnie pochyla się nad żoną.

– Wszystko dobrze. Potrzebowałam tylko zaczerpnąć nieco powietrza. I poruszać ramionami. Możemy wracać do samochodu. Zresztą, niewiele nam już zostało.

▶ Pobyć na serio

Francine zna tę drogę perfekcyjnie. Przez 25 lat aż do 65. urodzin rokrocznie biwakowała przecież na terenie ulubionego parku. Yosemite National Park przyciągał nie tylko odległością – wszak z rodzinnego domu do serca parku jest ledwie 220 mil – lecz także niepraw-

eprasa.pl 32b92d6aea



FOT. STEFAN CZERNIECKI

dopodobnym pięknem. Dla wielu odwiedzających to miejsce to najcudniejszy park na świecie. I w zasadzie trudno im się dziwić. Góry zachodniego masywu pasma Sierra Nevada nadają temu miejscu niepowtarzalny wprost klimat. Gęste lasy, gigantyczne sekwoje, pionowe granitowe ściany, spływające z nich kilkusetmetrowe wodospady i wreszcie przecinająca wszystko w poprzek rzeka Merced River. Mekka amerykańskiej turystyki obozowej. Pejzaż, o którym siłą rzeczy myślimy, gdy wyobraźnia podpowiada nam miejsce, do którego na kilkudniowe trekkingi mogłyby pojechać amerykańskie rodziny. Z odrobiną survivalu, z dziewiczą przyrodą. Z górską egzotyką.

Francine poznawała tę egzotykę na swój sposób. Troszkę inaczej niż jej rówieśnicy. Gdy miała trzy latka, jej organizm stanął na froncie nierównej walki z chorobą. Polio było bezlitosne. Malutka Francine już nigdy nie będzie normalnie chodzić. Brak czucia w nodze spowodował, że dziewczynka, a następnie już kobieta, będzie musiała korzystać z pomocy. Jak nie kul, to wózka inwalidzkiego. Nie podda się. Wszak nazwa Yosemite zdążyła już wygrawerować w jej sercu niezmywalne ślady wspomnienia.

Teraz, kiedy park zaoferował turystom opcję wypożyczania elektrycznego skuterka, jej spacery nabrały jeszcze innego wymiaru. Wreszcie mogą z Richardem wyjść na szlak bez samochodu. Wspólnie wdychać woń polnych kwiatów. Przyjrzeć się z bliska motylom. Pobyć na serio.

Posąg na polanie

Po kilku dniach odpoczynku w parku Francine nabiera już takiej pewności siebie, że coraz częściej eksploruje dolinę na własną rękę. Tego wieczoru wraca swoim skuterkiem z obozu Housekeeping do położonego nieco wyżej schroniska. Jak zawsze wybierając szlaki o utwardzonej powierzchni. Obok jadącej powolnym tempem Francine spacerują inni turyści. Idący w przeciwnym niż ona kierunku. Powoli schodzący z gór i kierujący się do zaparkowanych w dolinie samochodów. Uwagę Francine zwraca szczególnie jedna para turystów. Idą żwawiej niż ci mijani przez nią do tej pory. Zamiast iść środkiem ścieżki, maszerują tuż przy krawężniku oddzielającym ją od asfaltu. Niewiele brakuje, a Francine potrąciłaby dziewczynę kierownicą skutera. W pierwszym odruchu Francine ma ochotę się zatrzymać i zwrócić uwagę pieszym, aby byli bardziej ostrożni. W końcu jednak odpuszcza. Może są tu pierwszy raz? Może po prostu się zagadali? Choć z drugiej strony zastanawiający jest ten ich pośpiech. I dość nerwowe ruchy. Ostatecznie Francine porzuca jednak te rozmyślania i postanawia skupić się na podziwianiu widoków. Wszak to ostatnie chwile przed zmierzchem.

A cieszyć oko z pewnością jest czym. O właśnie, na przykład tą mijaną w tej chwili po lewej stronie leśną polanką. Francine uśmiecha się w duchu sama do siebie. Mijana parka była chyba ostatnią, jaką spotka dziś w lesie. Wszyscy zdążyli już zejść ze szlaków. Las jest tylko dla niej. Co za cudna prywatność! Romantyczna wizja egalitarnej wyłączności tego skrawka pięknego świata tylko dla siebie. Naraz kobieta dostrzega na polance ogromnych rozmiarów posąg. Dziwne. Jeździła tą drogą już tyle razy i nigdy wcześniej nie zwróciła na niego uwagi. Posąg przedstawia niedźwiedzia.

„Pewnie kolejny pomysł tutejszych rangersów, aby przestrzec ludzi przed dokarmianiem tych zwierząt" – tłumaczy sobie w myślach kobieta. „Rok temu na pewno go tu jeszcze nie było".

W momencie, gdy Francine zaczyna zastanawiać się, dlaczego władze parku przewidziały dla tak dużego pomnika akurat to dość mało odwiedzane przez turystów miejsce, posąg odwraca głowę i spogląda na kobietę.

eprasa.pl 32b92d6aea

Ucieczka

Ciemnobrązowy niedźwiedź stoi w tej chwili w odległości około sześciu metrów od ścieżki, wzdłuż której porusza się Francine. Zwierzę ma ze dwa metry długości. Spory, szeroki łeb. I sylwetkę przypominającą nieco grizzly. Czyli gatunek niedźwiedzia, którego w parku Yosemite nie widziano już od dziesięcioleci. Osobnik bacznie obserwuje, co dokładnie zrobi kobieta-intruz. O tej godzinie przecież nie powinno tu już nikogo być.

Francine zawiesza przerażony wzrok na oczach niedźwiedzia. Przez dłuższą chwilę nie odrywają od siebie wzroku. Nagle niedźwiedź robi krok w stronę kobiety. Ta szybko uświadamia sobie, że nawiązany przed momentem kontakt wzrokowy był najgorszą rzeczą, jaką mogła zrobić. Prędko odwraca więc głowę, by ustawić na skuterze maksymalną prędkość. Wie, że trzeba uciekać.

Niestety, maksymalna prędkość to zaledwie 6 mil na godzinę. To tyle, co nieco bardziej żwawy chód. Wyobraźnia podaje kobiecie coraz nowsze scenariusze. A to, by zacząć krzyczeć i piszczeć, aby odstraszyć zwierzę. A to, by rzucić niedźwiedziowi plecak – przecież nieraz słyszała od rangersów, że ciekawskie misie lubią przeszukiwać napotkane pakunki w nadziei na znalezienie w nich jedzenia. Od tego ostatniego powstrzymuje Francine fakt, że w środku plecaka znajduje się jej służbowy laptop. Z tyloma niezabezpieczonymi plikami, z owocami takiej pracy... Kobieta tylko mocniej przytula plecak do siebie, przymykając oczy. Nie chce się odwracać, aby sprawdzić, czy niedźwiedź biegnie za nią.

Nie biegnie.

Przygoda o poranku

Podobnych historii jest w parku Yosemite znacznie więcej. Część z nich obrasta później w legendy, często dość mocno podkolorowane. Opowiadane najlepiej późnym wieczorem na jednym z tutejszych obozowisk. Koniecznie przy ognisku. I tylko przez wytrawnych gawędziarzy. Wskutek czego tworzy się mit mitycznych krwiożerczych niedźwiedzi przeczesujących gęste lasy Yosemite w poszukiwaniu ludzkiego mięsa. Tak naprawdę jednak od lat w tutejszym parku rangersi nie odnotowali żadnego ataku niedźwiedzia na człowieka. Poza jednym.

Działo się to w sierpniu 2015 roku. W maleńkim Midpines, u zachodnich wybrzeży doliny Yosemite. W ten, jak się potem okaże, pamiętny dla siebie czwartkowy poranek 66-letni Larry Yepez udawał się akurat do toalety. Była 4 nad ranem. Powoli zaczynało świtać. Do końca nieprzebudzony jeszcze weteran wojny w Wietnamie usłyszał nagle jakieś zastanawiające szuranie. Wyjrzał z domu, by ku swojemu zdziwieniu stanąć naraz oko w oko z niespełna stukilogramowym niedźwiedziem czarnym. Zwierzę szukało pożywienia w ustawionym przy wejściu śmietniku. Mężczyzna zaczął krzyczeć, wziął do ręki plastikowy pojemnik i ze wszystkich sił uderzył nim niedźwiedzia. Zwierzę nie pozostało dłużne napastnikowi. Powaliło go na ziemię i zaatakowało. Niedźwiedź ugryzł mężczyznę w ramię, podrapał po twarzy, klatce piersiowej i nogach. Yepez bronił się, kopiąc zwierzę, by wreszcie wydostawszy się z pułapki, uciec do domu. Po chwili uwagę niedźwiedzia odwrócił maleńki yorkshire terier, ujadając na kilkaset razy większego od siebie intruza.

Gdy zwierzę wreszcie się oddaliło, zdyszany Yepez wsiadł zakrwawiony do samochodu i udał się do szpitala. Miał szczęście. Przeżył.

Sprytna Babcia

To jednak naprawdę niezwykle rzadki przypadek. Zaś o wspominanych wcześniej atakach na ludzi przez niedźwiedzie grizzly już na pewno nie może być mowy.

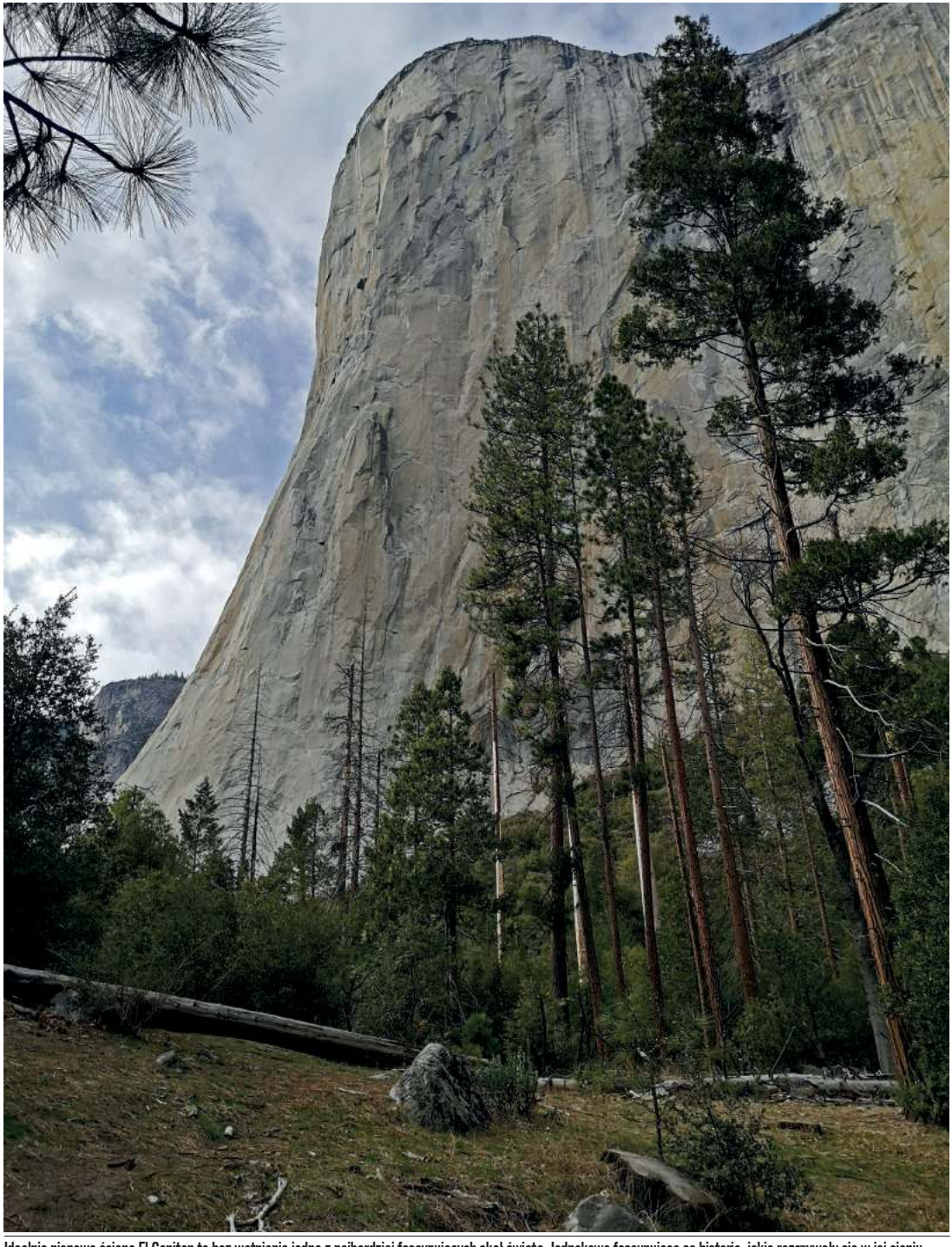
– Rzeczywiście, kiedyś stanowiły tu większość – tłumaczy Michael Misselwitz, jeden z rangersów Yosemite National Park. – Ale to było za czasów, gdy nie istniał tu jeszcze park. Sama jego nazwa „Yosemite" pochodzi zresztą od słowa „Miwok" oznaczającego właśnie niedźwiedzia grizzly. Indianie plemienia Awahneechi, rdzenni mieszkańcy tych gór, nazywali je „Ooo-se-mah-te" i stąd taka współczesna nazwa.

Jak wspomina Misselwitz, ostatni znany grizzly w Yosemite został zastrzelony w 1895 roku nad Crescent Lake. Skórę tego niedźwiedzia można dziś zobaczyć w Muzeum Zoologii Kręgowców Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley w San Francisco.

Dziś w miejsce grizzly pojawiły niedźwiedzie czarne. W znakomitej większości łagodne i dość płochliwe. Strażnicy parku szacują całkowitą ich liczbę na maksymalnie 500 osobników. Co przy terytorium 1169 mil kwadratowych daje naprawdę niewielką szansę na ich spotkanie z człowiekiem. Oczywiście prawdopodobieństwo nieco się zwiększa przez fakt, że większość turystów eksploruje park od strony Yosemite Valley, gdzie misie czują jedzenie. Lecz nadal szanse na spotkanie ze zwierzem w cztery oczy pozostaje znikome.

Wyjątkową sprawność i spryt w zdobywaniu turystycznego jedzenia posiadła swego czasu słynna wśród leśników parku niedźwiedzica o imieniu Babcia. To właśnie z jej powodu w lipcu 2016 roku zamknięto najpiękniejszy bez wątpienia camping całego Yosemite National Park. Znajdował się na samym szczycie szlaku Snow Creek na północnym skraju kanionu Tenaya. Wychodzący rankiem ze swoich namiotów turyści stawali oko w oko ze słynną ścianą Half Dome. Ten widok przyciągał tysiące chętnych ze wszystkich stron świata. O ile Babcię akurat sam widok nie bardzo interesował,

eprasa.pl 32b92d6aea



FOT. STEFAN CZERNIECKI

Idealnie pionowa ściana El Capitan to bez wątpienia jedna z najbardziej fascynujących skał świata. Jednakowo fascynujące są historie, jakie rozgrywały się w jej cieniu

eprasa.pl 32b92d6aea



Jakkolwiek od dziesiątków już lat w parku nie odnotowano żadnego śmiertelnego ataku niedźwiedzia na człowieka, warto być czujnym

o tyle gromadzone przez koczujących w tym miejscu turystów konserwowe puszki już jak najbardziej. Legendy opowiadają o tym, jak sprytna niedźwiedzica potrafiła w środku dnia wejść niezauważona do pełnego ludzi obozu i wynieść z niego upragnione jedzenie. W ciągu pierwszych sześciu miesięcy 2016 roku ukradła w ten sposób około stu pojemników.

Jak je potem otwierała? Babcia miała swój sposób. Opracowała wpierw technikę trzymania zdobycznych puszek w jednej łapie, podczas gdy trzy pozostałe służyły do ucieczki. Ucieczki nad ulubiony skalny klif, z którego następnie zrzucała puszki. Te rozbijały się, spadając u stóp ściany, i otwarte czekały na schodzącą na dół ślamazarnym tempem sprytną niedźwiedzicę.

▶ Na niej niedźwiedzia raczej nie spotkacie

Dziś po likwidacji campingu Snow Creek spotkanie z Babcią należy już do rzadkości. Podobnie jak z resztą zamieszkujących okolice Yosemite Valley niedźwiedzi czarnych. Prawda jest jednak taka, że wszyscy, którzy przybywają do parku, nie robią tego ze względu na występujące tu niedźwiedzie. Robią to raczej dla niej. Najsłynniejszej skały w całych Stanach Zjednoczonych. I najprawdopodobniej jednego z największych kamieni świata. 900-metrowego granitowego monolitu. Z wyślizganymi przez lodowiec idealnie pionowymi ścianami. I kolejnymi widocznymi na niej z dołu miniaturowymi czarnymi punkcikami – śmiałkami, którzy zapragnęli zdobyć dzięki niej sławę. Witajcie pod El Capitan!

– No to jesteśmy... – zadzieram głowę, spoglądając wysoko nad siebie.

– Ależ ścianisko! – wykrzykuje stojący obok mnie Michał. – Już na zdjęciach robiła wrażenie. Ale teraz, gdy stoi się pod... To coś zupełnie innego.

Wkoło nas pustka. W parku Yosemite jeszcze za wcześnie na ludzi. Poza tym stoimy nieco poza utartym szlakiem. Amerykanie to wygodni turyści. Lubią podjechać pod samą atrakcję, zrobić zdjęcie i coś zjeść. My chcieliśmy zaś podjeść nieco bliżej. Posmakować słynnej ściany.

El Capitan zamyka od strony północnej wspomnianą już prześliczną dolinę Yosemite Valley. Pionowe ściany jakby kryły przed wścibskimi oczyma żądnych nowych wrażeń turystów coś zupełnie tajemniczego. Coś skrytego na samym dnie coraz to węższej doliny. Srogie i pionowe turnie, szumiący potok na dole. I huk spadających wodospadów. Górska bajka.

eprasa.pl 32b92d6aea

I właśnie w takiej oto bajkowej scenerii garstka wspinaczkowych szaleńców od lat próbuje wytyczyć coraz trudniejszą trasę po płaskiej i wyślizganej płycie niemal kilometrowego El Capitan. Po latach doszli do wniosku, że najtrudniejszą trasą, praktycznie niemożliwą do sforsowania przez zwykłego śmiertelnika, będzie droga Dawn Wall. Długo nie było zdolnego do jej sforsowania techniką klasyczną. Aż do zimy 2015 roku.

Chwyty na paznokieć

Właśnie wówczas pojawili się pod ścianą oni. Tommy Caldwell i Kevin Jorgeson. O niedźwiedziach nie myśleli. Doskonale zdawali sobie sprawę, że gdzie jak gdzie, ale tam, dokąd oni się wybierają, żaden niedźwiedź nie będzie miał dostępu. Podobnie zresztą jak też żaden ze zwykłych śmiertelników. Potężna 900-metrowa ściana El Capitan to nie jest gościnne miejsce.

Wspinaczka zajęła tej dwójce dokładnie 19 dni. Na swój wyczyn wybrali zimę, gdyż, jak twierdzili, wówczas ściana lepiej „trzyma", skała daje większe tarcie, a ręce mniej się pocą. I łatwiej o sukces, o powodzenie całej akcji. Ruszyli.

Wcale nie byli pewni siebie. Trudno bowiem być pewnym sukcesu, gdy przed tobą najtrudniejsza klasyczna, wielowyciągowa droga na świecie. Trasa, która do połowy XX wieku była postrzegana w kategorii „nie do przejścia". Dokładnie do 1958 roku, gdy trzech wspinaczy pokonało ją stylem wyprawowym: a więc korzystając z lin, haków, rozbijając kolejne obozy ze sprzętem. Caldwell i Jorgeson postanowili zrobić to klasycznie. Używając tylko swoich palców i nóg. Bez wspomagania. Pomysł wydawał się szalony. Chcieli jednak spróbować.

Zasady były bardzo proste. A jednocześnie nad wyraz surowe. Za każdym razem, gdy jeden ze wspinających się odpadnie od ściany, będzie musiał wrócić na początek fragmentu, w polskim slangu wspinaczkowym nazywany wyciągiem. W górę trasy Dawn Wall podobnych wyciągów doliczono się 31. Przygotowując się do swego skalnego projektu Caldwell i Jorgeson byli pewni, że najwięcej trudności przysporzy im wyciąg czternasty. W praktyce okaże się jednak, że to na kolejnym, piętnastym zaczną się prawdziwe problemy. Tylko na tym odcinku Jorgeson odpadnie od ściany aż jedenaście razy. Tego samego dnia wieczorem napisze na portalu społecznościowym krótką relację: „Przy czwartej próbie, gdzieś o godz. 23, ostry brzeg zerwał jak brzytwą plaster i skórę palców. To rozczarowujące. Ale i pouczające. Dowiaduję się o kolejnych pokładach cierpliwości, uporu i pragnienia, jakie we mnie tkwią. Nie poddam się. Odpocznę. Spróbuję znów. Uda mi się".

W tym czasie starszy o sześć lat od kolegi Caldwell wespnie się na koniec wyciągu dwudziestego. Dlaczego aż tam? Z bardzo prozaicznej przyczyny. To jedyne na całej drodze Dawn Wall miejsce, gdzie znajduje się niewielka skalna półeczka. Mężczyzna usiądzie, wyciągnie nogi i zacznie czekać na Jorgesona.

Ten zaś w tym samym czasie będzie się głowił, gdzie tu znaleźć miniaturową szczelinę, o którą mógłby oprzeć palec dłoni. A po jego odnalezieniu tak się zaprzeć, by móc skoczyć (!) dwa metry w bok. Do pokonania tego fragmentu drogi zwanego Crux Dyno potrzeba nieludzkiej wręcz sprawności. Gdy dwa najbliższe chwyty – małe na szerokość paznokcia od małego palca – oddalone są od siebie o dwa metry. A pod nim znajduje się jakieś 400 m pionowej ściany.

Jorgeson weźmie zamach, skoczy... I złapie się upatrzonego chwytu. Po chwili jednak odpadnie. Wspomnienia sprzed kilku dni wrócą niczym stara mara. Przecież dopiero co odpadał od ściany jedenaście razy. Teraz jednak znów będzie cierpliwy. Powalczy do skutku. By wkrótce dołączyć do kolegi. A następnie by razem stanąć na szczycie El Capitan. Po 19 dniach walki w ścianie.

Pytanie na koniec

Nie będzie to jednak romantyczna wizja samotnej walki człowieka z górą. Na wierzchołku El Capitan będą na nich czekać wycelowane w nich obiektywy kamer największych stacji telewizyjnych. Na dole ścianę każdego dnia z uwagą będą obserwować setki gapiów. Wyposażeniu w lornetki i lunety. Sami wspinacze wszystkie wrażenia będą codziennie spisywać w swoim namiocie i publikować na portalach społecznościowych. Tuż obok nich każdą chwilę filmować będzie ekipa Senders Films, która nakręci w ten sposób głośny na cały świat film „Dawn Wall". Gromadzący za kilka lat miliony widzów w kinowych salach całego świata. Będzie rozgłos, będą sponsorzy, będzie globalna sieć. Wszystko. Oprócz mistyki gór.

To nie jest wspinaczka, jaką znali nasi dziadkowie. Romantyczni taternicy i alpiniści, którzy w góry szli... właśnie dla gór. Często nawet bez aparatów fotograficznych. By pobyć tam, w samotności. Z dala od zgiełku. Teraz w XXI wieku cały ten zgiełk wzięto razem ze sobą w ścianę. Na trasę, gdzie rozgłos i emocjonalny ekshibicjonizm będzie ważniejszy od tego, co ciche i osobiste.

Nie wiem, który obraz parku Yosemite jest bardziej prawdziwy. Czy ten oglądany okiem niepełnosprawnej Francine uciekającej na swoim skuterku przed niedźwiedziem, czy ten widziany zza lustrzanki operatora Senders Films. Kręcącego naprawdę niesamowite ujęcia wprost z pionowej ściany El Capitan, po której wspinają się szaleni Caldwell i Jorgeson. Pytanie z kategorii tych nierozwiązywalnych. Bo prawdziwe obrazy pewnie są oba. Który jednak bardziej odpowiada mnie? Który bardziej odpowiada tobie? Na to pytanie już z pewnością można odpowiedzieć. I warto. ■

FOT. CORY DOCTOROW

eprasa.pl 32b92d6aea

Olga Doleśniak-Harczuk



Pamięci profesora Hohendorfa

12 lipca 2021 roku zmarł prof. Gerrit Hohendorf, historyk medycyny, psychiatra i psychoterapeuta, który swoją karierę naukową związał ze studiami nad eutanazją w III Rzeszy. Od czerwca 2017 roku prof. Hohendorf kierował też pracami nad ustaleniem personaliów osób, których ciała spreparowano na potrzeby niemieckich eksperymentów medycznych. Wśród ofiar tego procederu byli obywatele Polski. O sprawie pisaliśmy dwukrotnie na łamach „Nowego Państwa". I nadal ją śledzimy. Śmierć prof. Hohendorfa jest wielką stratą dla dochodzenia do prawdy o jednym z najbardziej koszmarnych i do dziś niewyjaśnionych rozdziałów niemieckiej historii II wojny światowej.

Chcesz poznać człowieka, spójrz na jego otoczenie. Czasem to się sprawdza. W przypadku prof. Hohendorfa wystarczy spojrzeć na dorobek ludzi, z którymi współpracował i współtworzył.

Eutanazja – wtedy i dziś

Jesienią 2015 roku w Niemczech ukazała się książka „O dobrym umieraniu" autorstwa trzech wybitnych naukowców niemieckich. Fuata Shamouna Oduncu, onkologa, profesora medycyny Uniwersytetu Ludwika Maksymiliana w Monachium, filozofa – Roberta Spaemanna i historyka medycyny – Gerrita Hohendorfa. Każdy z autorów zasługuje na osobny artykuł. Mała próbka: Fuat Shamoun Oduncu (rocznik 1970) urodził się w Turcji, na terenie południowo-wschodniej Anatolii w rodzinie chrześcijańskiej mniejszości przynależnej Syryjskiemu Kościołowi Ortodoksyjnemu. W 1974 roku rodzina przyszłego eksperta od onkologii i medycyny paliatywnej wyemigrowała do niemieckiej Bawarii. W Monachium była matura, studia medyczne i filozofii, specjalizacja, doktorat, w 1998 roku nadanie obywatelstwa Niemiec i później profesura. Dziś Oduncu jest jednym z czołowych bioetyków Niemiec, specjalistą w dziedzinie hematologii, członkiem stowarzyszeń chrześcijańskich działających na rzecz najbiedniejszych regionów świata i zdecydowanym krytykiem zalegalizowania eutanazji.

Drugi z autorów, Robert Spaemann (1927–2018), to filozof skoncentrowany w swojej pracy na etyce chrześcijańskiej, bioetyce, ekologii i prawach człowieka. Ceniony przez Jana Pawła II i Benedykta XVI, założyciel Stowarzyszenia na rzecz obrony liturgii trydenckiej w Kościele katolickim. Wiąże się z nim ciekawa historia rodzinna. Spaemann został ochrzczony w wieku 3 lat, kiedy jego rodzice zdecydowali się przejść na katolicyzm. Po przedwczesnej śmierci matki, ojciec wówczas 12-letniego Roberta wstąpił do stanu duchownego i sprawował posługę kapłańską w ich rodzinnym miasteczku, Dorsten. Do chłopca na dobre przylgnęło wtedy „syn księdza". Wiosną 1944 roku przyszły filozof narysował na szkolnej tablicy karykaturę Adolfa Hitlera. Tylko dzięki wstawiennictwu dyrektora szkoły (zresztą należącego do NSDAP) udało się uratować chłopaka przed gestapo, które chcieli zaalarmować nadgorliwi nauczyciele. Po

eprasa.pl 32b92d6aea

wojnie Spaemann przeżył krótką fascynację Marksem i Leninem, ale szybko na własnej skórze przekonał się, czym jest „realny socjalizm", i do końca życia pozostał antykomunistą. Dobrze się dziś czyta jego wypowiedzi dotyczące zmian obyczajowych i prawnych idących w ślad za postępem. Bardzo krytycznie odnosił się do liberalizacji prawa pod kątem tzw. małżeństw jednopłciowych, był przeciwnikiem eutanazji i aborcji. Warto sięgać po te zachowane świadectwa zdrowego rozsądku w rozpędzonym świecie.

Trzeci autor wspomnianej książki to właśnie Gerrit Hohendorf, człowiek, który całe życie naukowe poświęcił na przypominaniu o 300 tys. ofiar morderstw eutanazyjnych dokonanych przez jego rodaków podczas II wojny światowej. Hohendorf zabiegał, by ofiary tej zbrodni zostały godnie upamiętnione, by pamięć o dzieciach i chorych dorosłych, którym aplikowano śmiertelny zastrzyk, uznając ich życie za nic niewarte, przebiła się do świadomości dzisiejszych Niemców. Nie mniej ważna okazała się jego antyeutanazyjna działalność celująca w bieżące trendy, wyrażana w licznych publikacjach naukowych i książkach, takich jak „O dobrym umieraniu", gdzie wyjaśniał, dlaczego nie wolno nam w XXI wieku bawić się w Boga. Lektura takich książek zazwyczaj uświadamia, że od totalitaryzmu zabijającego słabszych i chorych z uwagi na ich „ułomności" wcale nie jest tak daleko do sterylnych łóżek, gdzie ludzi zabija się „dla ich dobra".

Ważna postać dla pamięci o polskich ofiarach

Kiedy w 2017 roku prof. Hohendorf zgodził się porozmawiać o swoim zaangażowaniu w popularyzację wiedzy o ofiarach eutanazji III Rzeszy, projekt dochodzenia do prawdy o innych ofiarach – tych preparowanych i przechowywanych do dziś w archiwach niemieckich instytutów naukowych – stawiał pierwsze kroki. W tamtym czasie profesor kierował już Instytutem Historii i Etyki Medycyny Uniwersytetu Technicznego w Monachium. Towarzystwo Maxa Plancka poprosiło jego i dwóch innych naukowców – prof. Paula Weindlinga (Oxford Brookes University) i dr. Herwiga Czecha (Medizinische Universität Wien, dziś już prof. Czech), o ustalenie personaliów ofiar, od których pobrano m.in. mózgi, by spreparować je na potrzeby niemieckiej nauki. Czas projektu zaplanowano na trzy lata, w lutym 2020 roku naukowcy złożyli w landtagu Bawarii pierwsze sprawozdanie ze swoich działań, kolejne miało trafić do polityków pod koniec czerwca 2021 roku. Wiadomo, że personalia zostaną zgromadzone w bazie danych Narodowej Akademii Nauk Leopoldina w Halle i w ten sposób udostępnione opinii publicznej. Same preparaty są formalnie własnością Towarzystwa Maxa Plancka i pochodzą ze zbiorów byłego kierownika działu histopatologii Instytutu Cesarza Wilhelma, Juliusa Hallervordena.

Ze wstępnego raportu wynika, że w okresie od stycznia 1939 do grudnia 1945 roku do Niemieckiego Instytutu Psychiatrii trafiły preparaty lub całe mózgi pochodzące od 1634 osób. W 2019 roku członkowie grupy badawczej mieli ustalić, skąd przysyłano preparaty. Okazało się, że w kartotece zachowały się informacje o tysiącu pacjentów, 506 mózgów pochodziło z Kliniki Opiekuńczo Leczniczej Eglfing-Haar. Część z nich najprawdopodobniej należała do ofiar eutanazji. Szacuje się, że ze wszystkich preparatów od 1100 do 1300 może pochodzić od ofiar eutanazji.

Szczątki ofiar mających obywatelstwo polskie odnaleziono głównie na oddziale histopatologii kierowanym przez Juliusa Hallervordena (Hallenrvorden nigdy nie odpowiedział za swoje zbrodnie) w Instytucie Badań nad Mózgiem Instytutu Cesarza Wilhelma w Berlin-Buch i na oddziale neuropatologii Willibalda Scholza w Niemieckiej Klinice Badawczej nad Psychiatrią w Monachium. Ofiary podzielono na trzy grupy: pierwsza to w większości żydowskie i kilka nieżydowskich ofiar cywilnych z terenów okupowanych przez Niemcy, przede wszystkim Polski. Druga – jeńcy wojenni, Trzecia – ofiary egzekucji dokonywanych w niemieckich więzieniach. Wcześniej zakładano, że preparaty ze zbiorów Hallervordena (co najmniej 1500 spreparowanych mózgów) pochodzą od żołnierzy poległych w walce lub po prostu zmarłych z innych przyczyn. Najnowsze badania pokazały, że co najmniej 210 mózgów należy do nieniemieckich cywili, z czego 166 osób zidentyfikowano na podstawie raportów z autopsji i większość z tych ofiar okazało się polskimi Żydami.

Czekamy na rejestr

Wiele ze zidentyfikowanych próbek pochodzi od ludności żydowskiej z getta warszawskiego zmarłej w 1940 roku na tyfus plamisty. Naukowcom udało się ponadto ustalić tożsamość 148 ze 189 osób, których mózgi Hallervorden dostał w paczkach z Warszawy. Było to możliwe dzięki 111 odnalezionym w Federalnym Archiwum Wojskowym we Fryburgu Bryzgowijskim raportom z autopsji. Prof. Weindling znalazł dodatkowo w Państwowym Archiwum w Monachium akta procesowe 23 osób oskarżonych o mniejsze lub większe przewinienia na karę śmierci. Wszyscy zostali straceni w więzieniu Stadelheim przez zgilotynowanie. Mózgi skazańców przesyłano do Monachium. Niestety nadal nie ma dostępu do rejestru zidentyfikowanych ofiar, jedyne nazwiska, które znamy, to udostępnione przez prof. Weindlinga „Nowemu Państwu" w 2017 roku: Czesław Rokwicz, lat 20, stracony w więzieniu Karnym w Monachium-Stadelheim 28.11.1941 roku, i Zygmunt Żagowski, stracony w wieku lat 27, miejsca egzekucji nie znamy.

Będziemy pilotować sprawę rejestru ofiar i szczegółów z raportu końcowego. Szkoda, że prof. Hohendorf nie dokończy tego projektu. R.I.P. ■

eprasa.pl 32b92d6aea

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Kambodża

90-letni Khieu Samphan, ostatni żyjący przywódca Czerwonych Khmerów, odwołał się od wyroku dożywocia za swoją rolę w ludobójstwie dokonanym w Kambodży ponad 40 lat temu.

Samphan był wówczas prezydentem Demokratycznej Kampuczy.

Kiedy w 2009 roku ruszył proces przywódców Czerwonych Khmerów, francuski prawnik Samphana Jacques Verges, który wcześniej reprezentował niemieckiego zbrodniarza Klausa Barbiego i terrorystę „Carlosa", przyjął linię obrony polegającą nie na negowaniu zbrodni, lecz twierdzeniu, że Samphan jako głowa państwa nie był za nią bezpośrednio odpowiedzialny. W 2014 roku Trybunał Kambodży uznał Khieu Samphana współwinnym ludobójstwa, twierdząc, że odegrał on kluczową rolę w śmierci około 2 mln Kambodżan w okresie komunistycznego reżimu Pol Pota (znanego jako Brat Numer Jeden) w wyniku głodu, pracy przymusowej i masowych egzekucji.

W 2018 roku Trybunał Kambodży dodatkowo skazał Samphana wraz z Nuonem Chea, głównym ideologiem Czerwonych Khmerów, zwanym Bratem Numer Dwa, za ludobójstwo przeciwko muzułmanom Czam i Wietnamczykom.

Teraz Samphan odwołuje się od wyroków, twierdząc, że nie był współodpowiedzialny za dokonane masowe morderstwa, a jego prawnicy przekonują, że Trybunał, który go skazał, selektywnie traktował zeznania świadków i nie przywiązywał odpowiedniej wagi do zeznań na korzyść oskarżonego. Oczekuje się, że wydanie wyroku w procesie apelacyjnym może nastąpić po wielu miesiącach.

Reżim Czerwonych Khmerów (1975–1979) to jedna z najkrwawszych tyranii komunistycznych w historii. Pochłonęła prawie 2 mln ofiar, głównie inteligentów, mnichów, „wrogów rewolucji" – oskarżanych na podstawie fałszywych lub wymuszonych zeznań. Główny sprawca tej tragedii, Pol Pot, uczeń Jean-Paula Sartre'a, umarł nieosądzony. Na łożu śmierci Pol Pot twierdził, że ma czyste sumienie, a o rządach Czerwonych Khmerów mówił: „Byliśmy jak dzieci uczące się chodzić". Świat początkowo nie wiedział, co dzieje się w Kambodży, a gdy pojawiły się pierwsze doniesienia o rozgrywającej się tam tragedii, przyjmowano je z niedowierzaniem. Wielu informacjom zaprzeczali m.in. członkowie francuskiej partii komunistycznej. Jednym z pierwszych, który przekazał informacje o zbrodniach Pol Pota w Kambodży, był ks. Francois Ponchaud. W wywiadzie dla Radia Watykańskiego stwierdził on, że przed trybunałem powinni stanąć także ci, którzy na Zachodzie wspierali reżim Czerwonych Khmerów. Ksiądz Ponchaud wspomniał na przykład o szczegółowej dokumentacji, którą przesłał w 1978 roku do Amnesty International. Nie było jednak żadnej reakcji ze strony tej organizacji.

Chiny–USA

20 sierpnia Biały Dom ogłosił, iż nominację prezydenta Joe Bidena na ambasadora Chin otrzymuje Richard Nicholas Burns. Burns przedstawiany jako zawodowy dyplomata, był m.in. ambasadorem przy NATO oraz za prezydentury George'a W. Busha podsekretarzem stanu ds. politycznych, tj. trzecim najwyższym rangą dyplomatą USA. Po odejściu ze służby zagranicznej został wykładowcą Uniwersytetu Harvarda. Podczas kampanii wyborczej 2020 roku był jednym z doradców Joe Bidena do spraw zagranicznych.

Amerykański portal National Pulse przypomina te fragmenty z życiorysu Burnsa, które wskazują, że nie jest to trafiona nominacja. Pisze nawet, że Burns ze

eprasa.pl 32b92d6aea

względu na swoje związki z komunistyczną elitą Chin, zamiast być tytułowanym zawodowym dyplomatą powinien być nazywany „zawodowym aparatczykiem Komunistycznej Partii Chin".

Zanim Nicholas Burns dołączył w kampanii wyborczej do drużyny Bidena, pracował jako doradca w Cohen Group, firmie konsultingowej założonej przez Billa Cohena, sekretarza obrony z czasów prezydentury Billa Clintona. Cohen Group ma dwa biura w ChRL, w Pekinie i Tianjin, zatrudnia członków KPCh jako konsultantów i bierze udział w programie, w który zaangażowana jest chińska firma, na którą rząd USA nałożył sankcje za łamanie praw człowieka.

Zastępcą głównego przedstawiciela Cohen Grupy w Pekinie jest Xiaorong Wu, który z ramienia chińskiego MSZ brał udział w chińsko-brytyjskich negocjacjach dotyczących przekazania Hongkongu Chinom. W biurze Cohen Group w Tianjin pracuje Yinghua Wang. Wcześniej był on w samorządzie miejskim Tianjin kontrolowanym przez KPCH. Jako urzędnik „często organizował spotkania z zagranicznymi oficjelami w celu wzmocnienia współpracy politycznej i gospodarczej między Tianjin a rządami stanowymi w Stanach Zjednoczonych. Grupa Cohen jest też partnerem Rady Biznesu USA–Chiny, organizacji określanej jako prochińska.

Cameron Turley, wiceprezes Cohen Group, przedstawia się jako członek prochińskiej grupy lobbystycznej znanej jako Narodowy Komitet ds. Stosunków USA–Chiny (NCUSCR).

Bill Cohen, założyciel Grupy, często twierdził, że „pomaga chińskim firmom wejść na rynek globalny i prowadzić inwestycje w Stanach Zjednoczonych", co National Pulse określa jako działanie w rzeczywistości służące KPCh do „kradzieży własności intelektualnej, szpiegostwa i wyprowadzania miejsc pracy z USA".

Cohen Group uczestniczy w programie Harvard Ash Center o nazwie „Chińscy Liderzy Rozwoju", który komunistyczne władze Chin uznają za „jeden z najlepszych zagranicznych programów szkoleniowych dla urzędników państwowych". W programie od kilku lat biorą udział pracownicy Xinjiang Production and Construction Corp., firmy, która według „The Washington Post" jest „narzędziem represji" wobec Ujgurów, a na którą administracje Trumpa i Bidena nałożyły sankcje za „poważne łamanie praw człowieka wobec mniejszości etnicznych w Xinjiangu".

Dodatkowo Burns jest w zarządzie Belfer Center na Harvardzie, które organizowało spotkania robocze dotyczące cyberbezpieczeństwa. Obecni na nich byli przedstawiciele chińskiego rządu i wojska. „Na spotkaniach omawiano wrażliwe kwestie technologiczne związane ze sztuczną inteligencją, Huawei i kontrolą zbrojeń".

Burns pojawił się także jako komentator w chińskich mediach państwowych, w tym w China Global Television Network (CGTN). Stacja ta jest kontrolowana przez KPCh i za prezydentury Trumpa zarejestrowana została w USA jako agent obcego państwa.

Nominacja Burnsa na ambasadora USA w Chinach musi być jeszcze zatwierdzona przez Senat.

▶ Tajwan–Litwa

Litewski minister gospodarki i innowacji Ausrine Armonaite w wypowiedzi dla tajwańskiej Centralnej Agencji Prasowej stwierdził, że plany Litwy dotyczące utworzenia biura handlowego na Tajwanie są częścią jej wysiłków na rzecz dywersyfikacji rynków i rozwoju relacji z partnerami w Azji.

W odpowiedzi na działania służące nawiązaniu więzi Litwy z Tajwanem, Pekin odwołał swojego ambasadora z Wilna i zażądał opuszczenia Chin przez ambasadora Litwy. Chiny są szczególnie niezadowolone dlatego, że powstające na Litwie tajwańskie przedstawicielstwo będzie miało w nazwie słowo Tajwan. Inne państwa UE, chcąc uniknąć konfliktu z Pekinem, zgadzają się, aby istniejące na ich terenie przedstawicielstwa Wyspy miały w nazwie słowo Tajpej.

Poza odwołaniem ambasadora, Chiny wstrzymały też połączenia kolejowe w ramach Nowego Jedwabnego Szlaku na Litwę. „China Railway Container Transport" (CRCT) poinformowała litewskich klientów, że ze względu na pogorszenie stosunków dwustronnych w sierpniu i we wrześniu zawiesza bezpośrednie przewozy kolejowe na Litwę. Litwa o takich działaniach Chin nie została oficjalnie poinformowana.

Ramūnas Rimkus, radca Ambasady Litwy w Chinach, odpowiedzialny za sprawy transportowe, zwrócił uwagę, że stanowisko Chin to wyłącznie decyzja polityczna. Stwierdził, że „wiele dużych chińskich firm to przedsiębiorstwa państwowe i ich kierownictwo musi aktywnie wykazywać lojalność wobec przywódców politycznych, aby utrzymać swoje pozycje. Pogorszenie relacji między Chinami a Litwą jest dobrą okazją do takiego działania". W wypowiedzi dla Baltic News Service Rimkus dodał, że dla CRTC wstrzymanie bezpośrednich dostaw nie przynosi dużych strat i jest mniej ryzykowne niż wywołanie gniewu partii.

ACE Logistics, estońska firma logistyczna zajmująca się transportem towarów z Chin na Litwę, oceniła, że decyzja Pekinu rzeczywiście spowoduje niedogodności, ale nie przyniesie ogromnych strat. Towary nadal mogą wjeżdżać na Litwę z Chin przez Polskę i inne kraje, choć koszty dostawy i frachtu na pewno wzrosną. ■

eprasa.pl 32b92d6aea

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński

Mińsk balansuje na krawędzi niebezpiecznej eskalacji

Nie tak dawno Mińsk zdobywał punkty w polityce zagranicznej, pozycjonując się jako siła na rzecz stabilności regionalnej; przeciwwaga dla agresywnej Rosji. Dziś niechęć Moskwy do uwikłania się w poważniejsze konflikty z NATO pod wpływem kaprysu jej sojusznika może być jedynym czynnikiem powstrzymującym Łukaszenkę – pisze Artiom Szrajbman. Tekst tego znanego białoruskiego analityka opublikowany został na stronach Moskiewskiego Centrum Carnegie 12 sierpnia 2021 roku.

Przez rok od kontestowanych wyborów prezydenckich na Białorusi, Alaksandr Łukaszenka zmiażdżył swych oponentów w kraju i wielokrotnie podsycał rzekome zagrożenie z zagranicy, aby zmobilizować swój aparat państwowy i wiernych mu jeszcze zwolenników. Teraz Mińsk stworzył kryzys migracyjny na swych granicach zachodnich z sąsiadami w odpowiedzi na ich wsparcie dla białoruskiej opozycji i zachodnich sankcji. Biorąc pod uwagę skłonność do eskalacji ze wszystkich stron, sytuacja może łatwo wymknąć się spod kontroli.

Problem z migrantami

Mińsk nie robił wcale tajemnicy z tego, że otworzył przysłowiowe śluzy na sąsiednią Litwę dla imigrantów pochodzących z Iraku i innych krajów Bliskiego Wschodu. Jego rozumowanie było takie, że wcześniej chronił UE przed napływem migrantów, ale teraz, kiedy Zachód nałożył surowe sankcje na Białoruś, nie ma powodu, by nadal oferować tę ochronę. Wilno przez kilka miesięcy przyjmowało migrantów, aż pojawiły się problemy: zamieszki w obozach dla uchodźców i protesty miejscowej ludności. Na początku sierpnia litewscy pogranicznicy zmienili taktykę i zaczęli odsyłać migrantów z powrotem na Białoruś. Mińsk oskarżył Litwinów o użycie siły przy odsyłaniu ludzi, strzelanie do nich gumowymi kulami i pobicie jednego Irakijczyka tak mocno, że rzekomo zginął w ramionach białoruskich strażników granicznych. Litwa temu wszystkiemu zaprzecza i twierdzi, że strzały słychać było po białoruskiej stronie granicy. Wilno udostępniło też film, na którym białoruscy pogranicznicy eskortują grupy migrantów do granicy oficjalnym transportem i kierują ich na stronę litewską. Istnieje również wiele filmów dostępnych w Internecie, na których funkcjonariusze bezpieczeństwa z obu stron zbliżają się do siebie, pozostawiając między sobą grupy migrantów nie wiedzących, w którą stronę się zwrócić.

Dzięki międzynarodowym wysiłkom dyplomatycznym Irak odwołał loty do Mińska i zaczął odbierać z powrotem Irakijczyków, którzy utknęli na Białorusi, więc napływ migrantów na Litwę ustał. Ale kryzys się nie skończył: Polska i Łotwa również zgłaszają wzrost liczby osób nielegalnie przekraczających ich granice. Wydaje się, że to nie koniec dla władz białoruskich. Podczas ośmiogodzinnej konferencji prasowej, która odbyła się w rocznicę spornych wyborów 9 sierpnia, Łukaszenka kilkakrotnie i bez wahania sugerował, że może podnieść stawkę. Oskarżył litew-

eprasa.pl 32b92d6aea

skich strażników granicznych o wkroczenie na stronę białoruską i zagroził odwetem.

Łukaszenka od dawna znany jest oczywiście ze swojego melodramatycznego języka, ale to nie są zwyczajne czasy. Już wiele lat temu zaczął grozić UE napływem migrantów przez terytorium Białorusi, lecz nikt nie traktował tego poważnie – aż do teraz. Tak jak nikt, nawet wśród białoruskiej opozycji na uchodźstwie, nie mógł uwierzyć, że sam przelot nad ich ojczyzną nie jest bezpieczny – dopóki samolot Ryanair z Romanem Protasewiczem nie został zmuszony do lądowania na Białorusi, a działacz opozycji natychmiast aresztowany.

Kolejne kłopoty reżimu

W ostatnich tygodniach i tak już fatalny wizerunek białoruskiego reżimu otrzymał kolejne ciosy. Najpierw białoruska lekkoatletka Kristina Cimanouskaja odmówiła powrotu do Mińska z Igrzysk Olimpijskich w Tokio, obawiając się represji po wystąpieniu przeciwko działaczom sportowym. Jej historię śledził cały świat, gdy szukała schronienia w polskiej ambasadzie pod ochroną japońskiej policji, aby uniknąć przymusowej repatriacji. Następnie 3 sierpnia w Kijowie znaleziono martwego Witalija Szyszowa, szefa organizacji białoruskiej diaspory. Białoruscy reżimowi dziennikarze szybko ogłosili, że miał on powiązania ze skrajną prawicą ukraińską, co wiąże się z kolei z długą listą podejrzanych i niewyjaśnionych zgonów. Ale mainstreamowe media zachodnie przedstawiły tylko jedną wersję: że za tym musi stać Białoruś i że sankcje wobec Łukaszenki powinny być odpowiednio zaostrzone. Kilka dni później dziennikarze z CNN donieśli, że dawny magazyn rakiet pod Mińskiem został przerobiony na „możliwy obóz dla dysydentów politycznych", ponieważ miał strażnika wojskowego, nowe kamery bezpieczeństwa, zaś ekipa CNN nie była w stanie uzyskać dostępu do wnętrza.

Reputacja Łukaszenki jako globalnego wyrzutka oznacza, że w każdym konflikcie lub spornej sytuacji nie ma już prawa do wątpliwości. Zachodni urzędnicy otwarcie określili go jako międzynarodowego terrorystę, a działania Mińska na granicy z Litwą – jako „wojnę hybrydową". W związku z tym żaden wpływowy polityk zachodni nie zaryzykowałby teraz innego podejścia do polityki wobec Łukaszenki niż zaostrzenie sankcji. To z kolei tylko jeszcze bardziej skłania Łukaszenkę do eskalacji konfliktu. W końcu jeśli wszyscy uważają cię za pariasa, bez względu na to, czy coś zrobiłeś, czy nie, po co się powstrzymywać? Żadne wrogie działanie nie może pozostać bezkarne, aby nie wyglądać na słabego.

Nowe status quo

W rocznicę wybuchu białoruskich protestów Stany Zjednoczone, Kanada i Wielka Brytania nałożyły na Mińsk nowe sankcje. Środki kanadyjskie i brytyjskie były podobne do unijnych sankcji sektorowych, a Londyn wycelował je w starego przyjaciela Łukaszenki, rosyjskiego oligarchę Michaiła Guceriewa, którego rodzina ma aktywa w Wielkiej Brytanii. Sankcje USA wydają się najbardziej bolesne dla Mińska. W następstwie niedawnych restrykcji nałożonych na dużą część białoruskiego przemysłu petrochemicznego, nowe sankcje wymierzone są w głównych eksporterów Białoruśkalij (państwowego producenta nawozów potasowych) i fabrykę tytoniu w Nieman, a także biznesmenów bliskich Łukaszenki i ich firm handlujących ropą. Teraz kryzys migracyjny może skłonić do dalszych sankcji. Po incydencie z samolotem Ryanair Łukaszenka po raz kolejny nie tylko łamie prawa człowieka, lecz także stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa regionalnego.

Jeśli kryzys nie zostanie rozwiązany do końca lata, Bruksela podejmie działania. Litwa planuje zainicjować rozszerzanie unijnych sankcji sektorowych wobec Mińska i rozmawiała już z NATO o możliwości rozmieszczenia na Litwie specjalnego zespołu Counter Hybrid Support Team. To bardziej radykalny krok niż jakikolwiek wcześniej, jak na przykład całkowity zakaz tranzytu białoruskiego potażu – jednego z głównych produktów eksportowych kraju – przez litewski port Kłajpeda.

By napięcie było jeszcze większe, Białoruś i Rosja mają przeprowadzić wspólne ćwiczenia wojskowe Zapad 2021 we wrześniu. Za każdym razem, gdy odbywają się takie ćwiczenia, istnieją obawy, że mogłyby posłużyć jako osłona dla wojsk rosyjskich do ataku na sąsiedni kraj lub zakończyć się tym, że Rosjanie odmówią opuszczenia Białorusi po zakończeniu ćwiczeń. Ale w przeciwieństwie do stosunkowo spokojnych lat 2013 i 2017, tym razem ćwiczenia odbywają się w czasie konfliktu między Mińskiem a jego sąsiadami oraz w czasie, gdy Łukaszenka ma żywotny interes w utrzymaniu atmosfery wojującego kraju dla własnych politycznych celów wewnętrznych. Po raz pierwszy istnieje realne ryzyko niezamierzonych incydentów zbrojnych na granicy białoruskiej: nie dlatego, że jedna ze stron planuje atak na drugą, lecz z powodu oczekiwań wzajemnych prowokacji i tendencji do interpretowania i przedstawiania działań drugiej strony w jak najbardziej wrogim świetle.

Nowe status quo w Europie Wschodniej najlepiej odzwierciedla fakt, że do 2020 roku Mińsk zdobywał punkty w polityce zagranicznej, pozycjonując się jako pragmatyczny partner Zachodu, przyczyniając się do stabilności regionalnej i działając jako przeciwwaga dla agresywnej Rosji. Dziś niechęć Moskwy do uwikłania się w konflikty z NATO pod wpływem kaprysu jej sojusznika może być jedynym czynnikiem hamującym osławioną impulsywność Łukaszenki. ■

———

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 32b92d6aea



Marcin Wolski

ROZKOSZE WIEDZY

Przykra sprawa, ale historia rzadko uznawana jest przez młodzież szkolną za ulubiony przedmiot. Przytłacza ogromem faktów, dat, przeważnie niepowiązanych ze sobą, a w dodatku – do czego po latach przyznał mi się mój syn – uchodzi za dyscyplinę zbędną, nieprzydatną w praktycznym życiu, i musiały upłynąć kolejne lata, by zrozumiał, że bez historii nie sposób poznać samego siebie ani świata, który nas otacza. Bez minimum wiedzy historycznej każdy jest na straconej pozycji w starciu z oponentem politycznym, a także nie ma szans w dialogu z Obcym, nauczonym zupełnie innej historii, niezależnie zresztą, czy jest to Rosjanin, Niemiec czy Żyd. W ich narracjach my, Polacy, możemy wybierać głównie między rolą „zacofanych podludzi", „zdrajców panslawizmu" czy „wspólników w Zbrodni".

Tylko jak pokochać Historię od pierwszego wejrzenia? W moim przypadku zdecydował odpowiedni dobór lektur na czele z czytaną mi w odcinkach „Trylogią" Sienkiewicza, opowieści babci o historii mej rodziny i pokolorowany „Poczet Królów Polskich" Matejki, który przewertowałem przed IV klasą, toteż gdy na lekcji prowadząca ją siostra Kinga powiedziała, że po Bolesławie Śmiałym tron Polski objął Bolesław Krzywousty, wrzasnąłem na całe gardło: „A Władysław Herman to pies?". Do historii nic nie zniechęca bardziej jak nuda i marny belfer, wymagający formułek, a nie zrozumienia i samodzielnej interpretacji, a przede wszystkim rozbudzonej wyobraźni. Historia bowiem to nie tylko szelest kartek, lecz ogrom kolorów, zapachów, smaków, w których zgiełk bitewny miesza się z muzyką powszedniego życia – trwania i przemijania.

Zainteresowania można rozbudzić na różne sposoby – małego miłośnika fantasy da się przekonać, że historia to praktycznie to samo co w baśniach, tyle że dziejące się naprawdę, a jej cuda i niespodziewane zwroty akcji przekraczają wielokrotnie pomysłowość autorki Harry'ego Pottera. Można też porównać historię do powieści detektywistycznej, w której na podstawie niewielu śladów trzeba rekonstruować całą wiedzę, a i tak do końca nie dowiemy się, czy Mieszko I był Słowianinem czy Normanem (osobiście uklęknąłbym przed uczniem, który odważnie przedstawiłby hipotezę, że w ogóle nie istniał).

W rozwijaniu zainteresowań pomocna też bywa historia rodzinna, zwłaszcza gdy pewnego dnia wnuczek odkryje, że przysypiający na kanapie dziadek szedł kiedyś z butelkami na czołgi, a mama poznała tatę podczas pracy w tajnej drukarni.

Oczywiście w historii trzeba się rozsmakować, to nie hamburger, frytki i cola, które smakują od pierwszego razu każdemu. Trzeba też przyswoić podstawową siatkę czasoprzestrzenną, w której będziemy się poruszać – chronologię epok i kilkunastu przynajmniej dat jako punktów orientacyjnych, aby wiedzieć, czy coś zdarzyło się przed czy po czymś.

Wspomagające mogą tu być zainteresowania dodatkowe – fascynacja techniką może wywoływać pytania, co i jak zostało wymyślone. Historia najbardziej przemawia ukazywana szeroko – jako ewolucja architektury, malarstwa, mody, literatury i myśli. W pewnym momencie całość staje się dla nas wielkim, acz przyjaznym budynkiem, w którym możemy swobodnie się poruszać, a jednocześnie za każdym odwiedzeniem odkrywać coś nowego lub zyskiwać odmienną perspektywę. Wiedza o przeszłości to zarazem klucz do zrozumienia teraźniejszości, a także szansa stawiania prognoz na przyszłość. Być może dzięki postmodernistycznym filmom traktującym dzieje z pełną dowolnością, mniej zwraca się dziś uwagę na wzorce osobowe, które kiedyś stanowiły istotę nauczenia. Jednak wystarczy pożyć trochę dłużej, by pojąć, że każda epoka ma swoje Termopile, swoje Alamo, Westerplatte czy lotnisko w Kabulu. Historia wprawdzie się powtarza, lecz każda powtórka bywa w jakimś stopniu niepowtarzalna. ■

> HISTORIA TO NIE TYLKO SZELEST KARTEK, LECZ OGROM KOLORÓW, ZAPACHÓW, SMAKÓW, W KTÓRYCH ZGIEŁK BITEWNY MIESZA SIĘ Z MUZYKĄ POWSZEDNIEGO ŻYCIA – TRWANIA I PRZEMIJANIA.

eprasa.pl 32b92d6aea

Tomasz Sakiewicz

Kiedy zaczyna się zdrada

Gwałtowny wzrost napięcia w stosunkach z Białorusią, co faktycznie oznacza podniesienie temperatury w relacjach z Moskwą, działania niektórych państw UE bez względu na intencje osłabiające nasz kraj, ogromna chwiejność polityki USA ujawniona w Afganistanie, powodują, że musimy zdecydowanie większą wagę przykładać do własnych zdolności obronnych. Chodzi tu zarówno o armię, gospodarkę, system informacyjny, jak i szeroko rozumianą spójność społeczną. Polska armia pewnie bez trudu poradziłaby sobie z wojskami białoruskimi, ale z pełną potęgą sił obronnych Rosji nie ma dzisiaj wielkich szans. Za to jest w stanie zadać im na tyle duże straty, by wojnę uczynić mało opłacalną. Ma szansę też bronić się na tyle długo, by sojusznicy, jeżeli na to się zdecydują, udzielili nam pomocy. Oznacza to, że Rosja ponosi zbyt wielkie ryzyko, by pakować się w dużą wojnę z naszym krajem, zakładając racjonalność polityki Kremla. Jednak absolutnie możliwe są – zresztą realizowane – scenariusze hybrydowego ataku. Taka ofensywa ma osłabić przeciwnika, doprowadzić do destabilizacji jego państwa, a nawet zmiany władzy. Wysyłanie wojsk nie jest wtedy potrzebne, a w każdym razie jest dużo mniej kosztowne. Odpowiedzią na hybrydowy atak jest uniemożliwienie realizacji jego celów i unieszkodliwienie służących temu mechanizmów. Z kolei wsparciem agresji jest każde działanie, które ułatwia realizację zamierzonych celów.

Jednym ze sposobów prowadzenia wojny hybrydowej jest oczywiście przełamywanie granic, frontu, zapór poprzez wysyłanie konwojów z pomocą humanitarną. W konwojach przemyca się broń, a często i żołnierzy. Widzieliśmy to na Ukrainie. Masowy napływ uchodźców jako rodzaj ataku na granice i infrastrukturę państwa znany jest od wielu lat. Stosowała go nie tylko Rosja, lecz także na przykład Turcja.

To samo dotyczy wojny informacyjnej. Kolportowanie dezinformacyjnych materiałów jako ważny element każdej wojny znane jest od tysięcy lat. Rosjanie są pod tym względem mistrzami.

Zarówno próba zalania kraju uchodźcami, jak i ataki informacyjne nie mają większego sensu, jeżeli społeczeństwo jest spójne i solidarnie staje po stronie własnego państwa. Nie chodzi tu o poparcie dla rządu jako takiego, bo w demokracji rządy się zmieniają i powinny się zmieniać, lecz o akceptację wszelkich działań służących obronie. Tak zachowuje się opozycja w większości atakowanych krajów. Polska jest tu jakimś niesamowitym wyjątkiem – znaczne odłamy opozycji szykują się do ataku na wojsko, straż graniczną i policję. Podważają każde, i to dosłownie każde, działanie rządu służące ochronie kraju. Jednocześnie wzmacniają te działania, na których przeciwnikowi najbardziej zależy. Kiedyś tego typu zachowania nazywano po prostu zdradą. Komunizm, a szczególnie postkomunizm, przewartościował wiele pojęć. Cała pedagogika „Gazety Wyborczej" czy zagranicznych mediów służyła zatarciu granicy między zdradą i normalną działalnością opozycyjną. Nie wolno jednak o tej granicy nie mówić. Jeżeli nie będziemy o tym wspominać, wielu nawet nie zauważy, że to, co robią, jest po prostu zdradą. ■

ZARÓWNO PRÓBA ZALANIA KRAJU UCHODŹCAMI, JAK I ATAKI INFORMACYJNE NIE MAJĄ WIĘKSZEGO SENSU, JEŻELI SPOŁECZEŃSTWO JEST SPÓJNE I SOLIDARNIE STAJE PO STRONIE WŁASNEGO PAŃSTWA. NIE CHODZI TU O POPARCIE DLA RZĄDU JAKO TAKIEGO, LECZ O AKCEPTACJĘ WSZELKICH DZIAŁAŃ SŁUŻĄCYCH OBRONIE. TAK ZACHOWUJE SIĘ OPOZYCJA W WIĘKSZOŚCI ATAKOWANYCH KRAJÓW. POLSKA JEST TU JAKIMŚ NIESAMOWITYM WYJĄTKIEM.

eprasa.pl 32b92d6aea







Najlepsi wracają do gry



4K

Dekoder polsat box | 4K

Wybierz ofertę TV **od 30 zł/mies.**
z nowym dekoderem 4K
i dobieraj pakiety sportowe



polsat box

Wybierz swoje wszystko

TV satelitarna TV kablowa IPTV

Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i kablowej IPTV przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. Usługa telewizji kablowej IPTV działa z Internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange i wymaga łącza o min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów w jakości HD i 25 Mb/s dla kanałów w jakości 4K na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl LaLiga Santander w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images.

eprasa.pl 32b92d6aea